

PITIGRILLI

*LUKSUSOWE
ZWIERZĄTKA*

DREAM PRESS LTD
ŁÓDŹ-KOPENHAGA

Whisky and Soda

Wielka kawiarnia, wypełniona po brzegi.

W ciepłym kąciku — panna.

W jej błyszczących zębach, jakby w maleńkich wypukłych zwierciadłach, odbijają się zmniejszone lampki. Prawie oświetlają jej uśmiech.

Whisky mówi do Sody rzeczy bezwstydne, a Soda słucha — i podoba się sobie.

— Zajmę się dzisiaj wszystkimi trzema dziurkami. Nie możemy dopuścić, żeby któraś z nich czuła się pokrzywdzona. Jeśli się nie mylę, zaniedbaliśmy poważnie tę najmniejszą. Ostatniej nocy wyraźnie miała o to pretensję. Biedna mała.

— Ale ja wybiorę kolejność — prosiła Soda. Zawsze robisz to po swojemu, a dla mnie kolejność nie jest bez znaczenia.

— Ależ tak, kochana, dzisiaj ty wybierzesz kolejność.

Nazywano go Whisky albowiem — pomiędzy karykaturami, które usiłował uwiecznić na marmurowym stoliku kawiarni — piętrzyły się kielichy tej płowej trucizny.

Soda nie była wyjątkową dziewczyną.

Nie była Rosjanką, nie miała zielonych oczu, nie ka-
zała się biczować mężczyznom, nie przystawała przed
klatkami z mandrylami i nie brudziła sobie końca nosa
kokainą.

Miała dość gustu, aby być dziewczyną jak wszystkie
inne.

Kochanki artystów powinny być kobietami zwykłymi,
manekinami, na których męski esteta może tworzył nowe
formy i nową duszę.

Soda była przepięknym manekinem marzeń dla swego
młodego malarza i dla sukien znakomitego krawca.

On szedł o ósmej przed magazynem na jej spotkanie,
prowadził ją do baru, fundował — stojąco — amerykański
trunek, bez cytryny i z odrobiną wody sodowej.

Potem szli do restauracji, siadali do stołu, mówili
o menu. On przysuwał jadłospis, ona go odsuwała, nie
chcąc nawet zadać sobie trudu wybierania.

Ona rzucała dokoła zabójcze spojrzenia.

On kochał ją od kilku miesięcy.

Ona kochała go od pierwszego wieczoru, kiedy poszli
razem do łóżka. A poszli razem do łóżka pierwszego wie-
czoru, kiedy się poznali.

Potem wychodzili, przechodzili koło kiosku z dzienni-
kami, kupowali *La Vie Parisienne* albo *Le Rire*, albo
Fantasio.

Rzucali okiem na wystawę kwaciarni.

On kupował papierosy zawsze w tym samym sklepie.
Częstował ją. Odmawiała.

Potem wchodzili do kawiarni, zawsze do tej samej.

On zamawiał humorystycznie codziennie whisky i prze-
glądał dzienniki.

Soda przybierała postawę pełną godności i żądała na-
pojów odpowiednich do pory roku.

Najczęściej kazała sobie podać kawę, ale bez sacharyny.

Sacharyna, jak wszystkie ludzkie słodocze, pozostawia gorycz.

Whisky próbował uwiecznić na marmurze profil jakiejś sąsiadki lub mężczyzny ogłupiałego nad artykułem wstępnym.

W rybach tych było wszystko prócz podobieństwa.

— Cóż ja mogę zrobić — tłumaczył — jeżeli osoby nie chcą być podobne do moich karykatur?

Postarzał straszliwie swoje ofiary.

— To wielka zaleta! — objaśniał. — Moje karykatury będą podobne jeszcze za dziesięć lat.

— Czemu mnie pan zrobił taką brzydką? — napadła go pewnego wieczoru kokota, której najbardziej widoczny towar jak zwykle uszkaradził.

— Mój ołówek, o pani! nie jest żadnym instytutem piękności.

Potem przychodzili przyjaciele; gadało się o sztuce i o dziennikarstwie.

— „*Tabero*,” owszem, jest dobrym pismem humorystycznym, ale bardziej humorystyczny jest spis umarłych.

— Któregoś dnia Simonetti wszedł do redaktora w chwili, gdy telefonował — oczywiście — do hrabiny Lovadina — i mówił: „dzięki, hrabino, wpadnę na momentik ucałować rączki, ale zaraz ucieknę, bo o dziewiątej oczekuje mnie księżna Letycja...”

— No, i cóż w tym dziwnego?

— To że od tygodnia był strajk telefonistek...

Wygłaszano nieodwołalnie wyroki:

— Nino Bertini: aptekarz z teatru dramatycznego.

— Wydawca S. Lattes: przytułek dla rachityków literackich.

— Karola Prosperi: Jedna z najlepszych tłumaczek z piemonckiego na włoski.

— Pani X — to „czekoladka”, gdyż oddaje się dzieciom.

— Pani Y — szkarlatyna, bo ją wszyscy mieli.

— Panna Z — to tysiąc i jedna noc.

Ale ktoś rycersko stawał w jej obronie:

— To oszczerstwo! Rodzice jej są bardzo surowi, ledwie ją puszczają.

— Toteż puszcza się z kapitanem.

Przybywali przyjaciele. Inni odchodzili.

Whisky i Soda odchodzili ostatni, kiedy kelnerzy zaczęli stawiać krzesła na stoły, gasić lampy i maltretować klientów.

Odbywali co wieczór tę samą drogę i wchodzili na drugie piętro.

On, zmarzluch, wdziewał białą piżamę.

Ona siadała naga na łóżku. Brała swoją piżamę koloru zielonej laguny, obszytą szarą lamówką. Wsuwała jedną nogę, wdychała chłód materiału w lecie, a ciepło w zimie.

Potem zatrzymywała wzrok przed lustrem, oglądała swoje ramiona i badała piersi — młodsze od niej o dziesięć lat.

Wreszcie wsuwała drugą nogę.

O północy oboje byli w łóżku w swoich piżamach.

Jest to bardzo szykowne postępowanie kochanków.

O pierwszej obie piżamy leżały na ziemi po obu stronach łóżka.

Whisky gasił światło.

Miłość uprawiana po ciemku jest dla zaawansowanych czymś zupełnie innym niż dla początkujących. Osoby nie-doświadczone kochają się w ciemnościach, ponieważ się wstydzą. Dopiero później, często po latach, szukając nowych, mocniejszych wrażeń zapalają światło i podniecają się wyglądem tych części ciała, które dotychczas

znali głównie z wrażeń dotykowych bądź smakowych. Ale później i ten okres mija — zmysł wzroku ma już utrwalone obrazy i oglądanie ich po raz kolejny może stać się monotonne. Następuje wówczas wyższa faza — powrót do ciemności, która daje pole do popisu dla wyobraźni. Nie wszyscy docierają do tej fazy — niektórzy zaczynają od ciemności i na ciemności skrywającej jedynie wstyd kończą. Inni szukają doznań także wzrokowych, więc zapalają światło, i na tym poprzestają. Tylko ludzie obdarzeni pewną i wyobraźnią ponownie zanurzają się w mroku, ale pełniącym już jakże inną funkcję, niż wtedy, gdy po ciemku zaczęli.

Whisky lubił czuć obracający się wokół niego język Sody i wyobrazać sobie jak wygląda wówczas jej twarz. Dawało mu to większą przyjemność niż oglądanie twarzy Sody w pełnym świetle dnia czy przy sztucznym oświetleniu. Czasami tylko, by dopomóc niemrawo działającej wyobraźni, zapalał zapałkę i przez krótką chwilę przypatrywał się słodkiej buzi zajętej przyjemną czynnością. Soda także lubiła wyobrazać sobie język kochanka ślizgający się po jej nabrzmiątych ustach dolnych. Soda nie zapalała jednak zapałki i to ich różniło, ale nikomu z nich to nie przeszkadzało. W parę minut po tym, jak rozlegał się po raz drugi lub trzeci ich zdławiony jęk, Soda zasypiała. Whisky także.

Rano, następnego dnia, wracał do pracowni; a ona do magazynu.

Spotykali się znowu wieczorem. Dni ich obracały się zawsze na tych samych zawiasach, z tą samą szybkością, z tym samym rytmem, z tą samą muzyką, z tym samym skrzypieniem, jak płyta gramofonowa.

Przyjaciele uważali ich za szczęśliwych... W rzeczy samej ona miała pogodną twarz szafarki szczęścia.

Kochali się. Niekiedy się kłócili. On w końcu dawał jej się wygadać i milczał.

Ona nie obrażała się z powodu jego milczenia.

Po kilku minutach — mówili o czym innym.

Czasami kazał jej czekać na siebie. Jest rzeczą roztropną kazać kobietom czekać na siebie.

Oczekując gniewają się i myślą o nas jak najgorzej, wypominają wszystkie nasze wady, przypisują nam te, których nie mamy. Aby żyć z kobietami, trzeba mieć dużo wad, bo nie kochają nas na pewno za nasze zalety.

Przyjaciele mówili z pewną złośliwością o wierności Sody.

Inni krytykowali jej piękność.

— Jest za mała — mówił jeden.

— Ale dobrze zbudowana — poprawiał drugi.

— Zresztą kobiet nie kupuje się na wagę.

— Wynajmuje się je na godziny. Czasami na miesiące.

Whisky był odpornym młodzieńcem.

Na jego widok kobiety nie dostawały ataków hysterii.

Czasami jakiś mężczyzna oglądał się za Sodą. Nosiła zawsze obciste suknie, które pozwalały czynić doniosłe odkrycia.

Ale Whisky nie był zazdrosny, a jeżeli był, nie okazywał tego przyjaciółce. Trzeba jej dawać do zrozumienia, że jest bardzo mało warta.

Whisky myślał, że niewierność kobiety nic nie ujmuje z własnej godności. Kobieta zdradza nas nie dlatego, że ramiona naszego przyjaciela mocniej ją ściskają niż nasze — albo, że jego wąsy bardziej ponętniej łaskoczą jej nozdrza.

Kobieta zdradza nas dla przyjemności oszukiwania, bo wygodniej jest oddawać się niż odmawiać.

Po krótkiej podróży na Cyterę wraca do nas, jak my wracamy do domu po nocy spędzonej w hotelu. Odnajdu-

jemy w łóżku miękkość i zapach domowych prześcieradeł. Prześcieradła hotelowe nie budzą ochoty powrotu.

Zazdrość jest najbardziej zwierzęcym ze wszystkich uczuć.

Jest bardziej zwierzęca od miłości.

Mózgiem rozważamy spokojnie, że zazdrość jest uczuciem bez sensu.

Ciało jednak krzyczy, bo czuje się okradzione.

Ciało kochanej kobiety jest jak akumulator energii. Dotykając jej ręki lub ustami — doznajemy zawrotnych dreszczy.

Kiedy jednak wiemy, że ktoś inny zbliżył ręce lub usta do tego cielesnego akumulatora energii, nie czujemy już nic, jak gdyby go wyładowano.

Kobieta natomiast ma dużo kilowatów i dla nas, i dla wspólnych przyjaciół.

Zazdrość jest pomyłką naszych organów czucia.

Whisky zdołał przewyciężyć swoją zwierzęcość siłą rozumowania.

Powróciwszy po roku służby na dwutygodniowy urlop, żywił nedorzeczne podejrzenie, że Soda poznała się przelotnie z kimś, kto był zwolniony z wojska. Rzeczywiście! Poznała kilku młodzieńców, którzy z kolei ją poznali...

Znalazła dalekiego krewnego. Tak dalekiego, że uznała za swój obowiązek zbliżyć się do niego. Zbliżyła się tak dokładnie, że, przez dwa tygodnie urlopu Whisky'ego, nie mogła się obejść bez kuzyna, bez jego wizyt i bez zapraszania go na filiżankę „Ceylonu” z kropelkami rumu.

Pewnego deszczowego wieczoru, o niezwyłej porze, Whisky wrócił do domu, powiewając dziennikiem z entuzjazmem:

— Czy wiesz?! — krzyczał, pukając na próżno do drzwi. — Wiesz, że Verdun jest wzięte?

A Soda, głosem zdławionym od rozkoszy (rozkoszy z wesołej wiadomości), odparła, nie otwierając drzwi:

— Ja także!

Whisky nie stracił rezonu i poszedł dokończyć czytanie dziennika w klubie artystycznym, duchowej łaźni kolorowych obmów i plotek.

Wieczorem widziano Whisky i Sodę w kawiarni, jak zwykle.

Wojna. Rozejm. Pokój.

Whisky wrócił do domu.

Przez ten czas Soda zawarła inne znajomości.

Przypadek zbliżył ją do pewnego studenta, który afiszował się młodym foxterrierem bielutkim i różowym, jak biała jedwabna pończocha na czystej nodze kobiecej.

— Lubię czytanie i lubię książki — mawiał. Ale nie pociąga mnie myśl założenie sobie biblioteki, porządkowania jej, oprawiania książek. Biblioteka — to jak kochanka. Jest ci droga, jesteś o nią zazdrosny, boisz się, że cię będą prosili o jakiś tom, którego nie oddadzą lub zwrócą zniszczony. Dlatego wolę książki z czytelnicy tak, jak zamiast stałej kochanki wolę kokoty, które są czytelniami miłości.

Takie teorie niezbyt podobały się Sodie.

— Jak się wabi pański foxterrier? — zapytała natchnionym głosem, podnosząc oczy znad papieru, na którym pisała do Whisky, żołnierza-sapera. Pisała list pełen szczerych kłamstw, którym kobiety oddają się w dobrej wierze, zaledwie zasiadają nad prostokątem papieru.

— Wabi się Foxtrott — odpowiedział student, nie odrywając ust od szklanki cocktailu.

Kiedy kobieta, która nigdy jeszcze nie przemawiała do ciebie, pyta o imię twego psa, nie umawiaj się z nikim innym na następny dzień.

Ci, którzy posiadają psa, mają daleko więcej szczęścia do kobiet, niż ci, którzy psa nie mają.

Jeżeli pies oddawał ludziom nieocenione usługi na polu bitwy, był to pies wojenny; albo ratował przemarzniętych — pies z gór św. Bernarda; albo ścigał złoczyńców — pies policyjny; trzeba przyznać, że psem najbardziej zasłużonym w oddawaniu delikatnych usług mężczyznom i kobietom zostanie na zawsze pies — swat.

— Pójdź tu, Foxtrott! — zawołała Soda.

A że pies nie usłuchał, student przyprowadził go, machającego ogonem.

Wielu innych — z psem lub bez psa — zbliżało się do Sody.

Zbliżali się:

1) Pewien dentysta, serdeczny przyjaciel Whisky'ego (Znieczulenie lokalne i całkowite). Ale jakkolwiek wyrywał on zęby bez bólu, umiał sprawić jej cierpienie w dniu, kiedy ją porzucił. Wtedy znalazła sposób osuszenia u pewnego instalatora termosyfonów.

2) Instalator termosyfonów (Zapłata ratami. Specjalne ułatwienie dla szpitali, instytucji naukowych, klasztorów i dancingów). Ten był żonaty, ale pomimo termosyfonów — jego żona chodziła ogrzewać się do innego.

3) Grajek na rogu angielskim ukochany przyjaciel Whisky'ego. Mówiono, że brał pieniądze od kobiet. Ale nie wydawał ich źle: chował je na czas, kiedy mu już nie

będą dawały, lecz przeciwnie, żądały od niego pieniędzy. Nigdy nie myślał o starości.

Muzycy zajmowali pierwszorzędne miejsce w erotycznych dziejach Sody.

Kiedy jej matka zajmowała się odnajmowaniem pokoi, przygarnęła kiedyś grajka na bębnie i talerzach, który zakochał się w Sodzie — i byłby się z nią ożenił, gdyby ona nie była go odrzuciła, albowiem, czując się powołana do wyższych przeznaczeń, oznajmiła: „Albo skrzypek, albo nikt. Panowie grajkowie na bębnach i talerzach, jesteście wydziedziczeni ze sfer harmonii.

Grajek na rogu angielskim podobał się jej. Może dlatego, że przez przyzwyczajenie zawodowe, całując ją, dmuchał jej czasami w usta.

To ją rozśmieszało.

4) Porzucona przez grajka, płakała, i spędziła kilka dni w muzycznej rozpacz, zaludnionej przeważnie instrumentami dętymi.

Nieraz, na ulicy, przystawała przed sklepami z gitarami i harmonijkami, ocierając łezkę.

Pewnego wieczoru jej oczy — pełne rozbitych złudzeń — spoczęły na studencie kończącym medycynę, który czytał dziennik i w roztargnieniu bawił się stetoskopem.

Ten nieznaną przyrząd odciągnął myśl zawiedzionej od grajka ku nowemu strefom.

— Przepraszam — zagadnęła — czy ten instrument to flet czy klarnet?

Student zagłębił się w dzienniku.

— Pani zajmuje się muzyką? — zapytał potem. Lubi pani opery? Cyrulika Sewilskiego?

— Tak. Cyrulika, Carmen... Ach, szaleję za muzyką hiszpańską!

Student przygotowywał pracę doktorską o znaczeniu odżywiania mlekiem roślinnym.

W pracy tej Sody widziała mało ducha.

5) Odnalazła go więc w młodym poecie (bratniej duszy Whisky'go) który, jakkolwiek od czasu do czasu stosował rym, był jednak specjalistą od białego wiersza.

Wynalazek białego wiersza spowodował raptownie odkrycia dusz poetyckich w ludziach zrodzonych do handlu świecami lub produkcji mydła. Biały wiersz stał się legitymacją uprawniającą do bezpłatnego krążenia po gaju Helliconu i do goszczenia wszystkich analfabetów na intelektualnych herbatkach Muz.

— Ułożę sonet dla pani.

— Dziękuję, ale żeby nie był długi.

Młody poeta nazywał się Ludwik Ceretti, a odkąd pisywał wiersze, dodał sobie imię „Maria”.

Soda była natchnieniem Ludwika Marii Ceretti. Krążyły wieści, że i ona nauczyła się pisać poematy. Jest to zupełnie możliwe. Bakcyll literatury udziela się bardzo łatwo przez drogi moczopłciowe. Mogę przytoczyć przykłady.

Miała również namiętności o krótkim przebiegu ku pewnym drugorzędnym osobnikom jak to: komiwojażer pracujący w anilinie i innych produktach smolnych (przyjaciel z lat dziecięcych Whisky'ego) oraz brzuchomówca.

Wszyscy mniej więcej jesteśmy brzuchomówcami, ale staramy się to ukrywać. W każdym z nas — przemawia brzuch. Bo mózg myśli to tylko, co brzuch mu podpowiada.

Zapaliła się krótkim kaprysem do pewnego „niezależnego” malarza. Tak zowią się malarze, którzy rzucają na papier walący się dom, butelkę i kawałek bezpłatnej nogi, zatytułowują to "Stany duszy" i żądają za obraz bez ram osiemnaście tysięcy lirów. Żądają.

Potem wróciła do studenta o małym foksie i o teoriach czytelnicy publicznych.

Soda była czytana przez niego i przez wielu innych uczonych.

Pewien blondyn marzyciel kochał ją miłością czystą i nie śmiał przerzucać jej kartek, bo myślał, że jeszcze są nie rozcięte. Inny natomiast doprowadził ją do tak złego stanu, że biedaczka musiała kazać się oprawić.

Oprawiona na nowo spotkała filozofa, metafizyka i suchotnika, który pluł krwią i sentencjami, i który szukając w niej duszy.

Szukamy najpierw duszy w kobiecie, ale potem bierzemy ciało.

Czynimy jak poławiacze pereł. Otwierają ostrygę. Jeżeli znajdują perłę, tym lepiej. Jeżeli nie — zjadają mięczaka.

Filozof przygotowywał do druku wielkie dzieło o monadach Leibniza.

— A któż tam będzie zajmował się monadami?! — zaczęła go Soda. — Napisz pamiętniki z łóżka małżeńskiego. To bardziej zajmujące.

Ale że filozof nie słucał zbawczej rady, Soda zrazo-
na do spekulacji filozoficznych, przeszła do mężczyzny,
który chciał robić na niej inne spekulacje.

Inny pan, Murzyn anglo-amerykańsko-australijski, przez ręce którego przeszły setki kobiet i tysiące dolarów, zaproponował, że będzie ją lansował, ale dał do zrozumienia, że nie można lansować, to jest wyrzucać pocisku, którego się najpierw nie wzięło.

Soda zażądała dwunastu godzin do namysłu — i odpowiedziała odmownie.

Byłaby to bowiem zbyt wielka nieostrożność. Gdyby tak wydała na świat małego mulata albo, kto wie, małego Murzyna! Whisky z trudnością chciałby go uznać.

W końcu wróciła do filozofa, któremu przecież była wdzięczna, bo dał jej trochę kultury.

Nauczył ją, że Senigallia nie jest w Senegalii, że nie mówi się "drzewo ginekologiczne domu Savoia" ani: „wioska, która mi dała genitalia”.

Gdy wróciła w jego ramiona podjął lekcje i — aby nie zaniedbywać żadnej gałęzi wiedzy — zaczął od gramatyki objaśniając, że omówienie jest figurą retoryczną, która polega na tym, że się mówi o czymś udając, że nie o tym się mówi.

— Daj mi przykład — rozkazał nauczyciel. — Zobaczmy, czy zrozumiałaś.

Odpowiedziała:

— Przykład? Oto tak: „Nie powiem ci, że potrzebuję bucików wysokich, sznurowanych, obłożonych reniferami, z lakierowanym czubkiem. I nie powiem ci także, że nie mam na nie pieniędzy”. A co, dobry przykład omówienia?

— Tak — odrzekł nauczyciel. — Widzę, że pojęłaś.

A Soda:

— Ale widzę, żeś ty nie pojął.

I puściła go kantem.

Zrozpaczony filozof wlał cały swój ból w dzieło, które od dawna obmyślał: „*Dialogi między szkieletem i płodem*”. Ale praca ta nie dała mu upragnionego spokoju.

Aby go znaleźć powiedział Whisky'emu, że Soda była kochanką komiwojażera.

Whisky udawał, że jest na niego obrażony.

Ten usprawiedliwił się, rzucając oskarżenie na poetę białowierszoroeba.

Whisky udawał, że jest wściekły na wierszoroba.

Ten zaczął bąkać o grajku na rogu angielskim.

Whisky przestał się kłaniać grajkowi.

Grajek, aby odzyskać jego łaski, dał do zrozumienia, że Soda była kochanką dentysty.

Whisky, który był dłużny dentyście za wyrwanie zęba, nie cofnął swej przyjaźni, ale nie zapłacił długu.

— Kochasz mnie jeszcze? — zapytał Whisky.

— Kocham cię zawsze — odpowiedziała Soda.

— Nigdy mnie oszukałaś?

— Nigdy cię nie oszukałam.

Whisky udawał, że wierzy.

Własność jest kradzieżą nawet w miłości.

Pocałował ją w usta, którym wszyscy ci samcy nie odjęli smaku kobiecości. Poczęstował wermutem, zaprowadził ją na obiad do kawiarni — a o północy, nagadawszy się z wszystkimi starymi przyjaciółmi sprzed czterech lat, z którymi Soda utrzymywała stosunki, poszedł z nią do domu pod rękę.

Myślał z zupełną słuszością, że zazdrość jest najgłępszą z namiętności, bo kiedy kobieta jest w naszych objęciach, jest naprawdę nasza, choćby należała wczoraj do innego, a jutro należeć miała znowu do innego.

Sprzeciwiać się niewierności kobiet, to jakby sprzeciwiać się upływowi czasu. Jedyna rada to łykać chwilę szczęścia.

Kobieta z natury jest niewierna. Wszystkie kobiety są niewierne. Wszystkie są zmienne. Wszystkie wyślizgują ci się z palców, kiedy myślisz, że je trzymasz w garści.

W zmienności leży ich urok. Urok nieprzewidywalności i niebezpieczeństwa.

— Kochasz mnie? — pytała Soda.

— Kocham cię — odpowiadał Whisky.

A gdy przyszedli do domu, rozebrała się i usiadłszy na

łóżku, wzięła piżamę koloru zielonej laguny, wsunęła jedną nogę i zaczęła oglądać swe piersi zuchwałe, wulkaniczne, niewzruszone.

Whisky, który od dawna już nie widział piżamy swojej przyjaciółki przeznaczonej wyłącznie do ceremonii miłosnych zauważył, że była trochę zniszczona.

I kiedy Soda wsuwała leniwie drugą nogę, w myślach widział defiladę: dentysta, poeta, grajek, filozof, komiwojażer...

Kładąc pierścionki i zegarek na kryształ stolika Whisky powiedział:

— Hm... Już bardzo zniszczona ta twoja piżama. Jutro kupimy nową.

Oczyszczenie

W młodej i pięknej blondynce poznał młodzieniec młodą i piękną brunetkę, którą kochał czystą miłością przed rokiem.

Nosiła suknię czarną, ciężką, obcisłą, z bielušką kamizelką. Wyglądała jak jaskółka.

Paczka biszkoptów kołysała się na jej palcu w rękawiczce.

Wyciągnęła rękę — a młodzieniec patrzył na nią długo, z tą swoją niepokieszoną i fatalną twarzą niezrozumianego geniuszu.

- Jakaś ty piękna i elegancka...
- Nikt tego nie dostrzega.
- Prawdziwa elegancja nie zwraca uwagi.
- Odprowadź mnie dwa kroki.
- Nawet trzy.
- Weźmiemy samochód?
- Nawet dwa.

Wsiedli do taksówki, która zdawała się czekać na nich na rogu ulicy. Szofer wprawił w ruch motor i oczekiwał rozkazów.

- Jedźmy w cień i chłód — powiedział młodzieniec.

Wewnątrz auta, w srebrnej rurce, drzemały dwie jasne róże:

— Widzisz — powiedziała kobieta — co za przesubtelny szofer? Można by pomyśleć, że to auto dla kochanków.

Pojazd zatrząśnięty się na żwirze ze szmerem. Skręcił w aleję i biegł spokojnie pod lipami.

— Poznałam twój przyjaciel — rzekła panna.

— Niemożliwe.

— Dlaczego?

— Nie mam przyjaciół.

— Czemuś taki zgorzkniały? Co właściwie porabiasz?

— Jestem humorystą. Piszę do gazet.

— To przyjemna praca.

— Wszystkie prace są przyjemne, jeżeli się je robi dla rozrywki. Ale gdy trzeba je robić dla rozrywki innych, stają się...

— Ciężkimi robotami.

— A ty co porabiasz? Kochasz kogoś?

— Jest pewien człowiek, który bardzo mnie kocha. Ja go kocham znacznie mniej.

— Namiętność mężczyzny jest, w porównaniu z namiętnością kobiety, jak ciepło słoneczne wobec księżycowego.

— Co mówisz?

— Nie ja mówię. Mówi to Tennyson.

— Ile ty rzeczy umiesz! Ale możesz w końcu stać się nudny z twoimi cytatami.

— Nie chcę nic więcej, niż milczeć i słuchać ciebie. Opowiedz mi o swoim życiu.

— Och, to takie zwykłe! — odparła, patrząc przez szybę i nie widząc nic. — Bardzo proste! Tak proste, że zdarzenia potoczyły się bez mojej woli. Robiłam to, co wszystkie. Mam dwa doświadczenia. Najpierw próbowałam życia spokojnego, uczciwego, surowego — i nie udało

mi się znaleźć tych pożytków, o których mówią pedanci. Potem próbowałam życia nieco innego, mniej surowego i nie widziałam tam tych krwawych i ohydnych łachmanów, które pokazują nam osoby trwożliwe.

— Co więc robiłaś?

— Pewien pan zaprosił mnie kiedyś do siebie na filiżankę herbaty. Poszłam wstydliwie z przyjaciółką. Zaprosił mnie po raz drugi i poszłam sama. Potem zapytał z wielkim szacunkiem, czy nie odrzuciłabym tej bransolety, a ja odpowiedziałam: „Nie wiem. Niech pan spróbuje mi ją ofiarować”. Następnie, z wielką delikatnością zapłacił rachunek mojej krawcowej. Nareszcie, dał mi pieniądze, abym sama płaciła, nie fatygując go. Jest to człowiek niestychanie subtelny.

Mężczyzna oparty o poduszki, wyciągnął rękę do otwartego okna. Wiatr powiewał rękawiczkami, które trzymał w ręku i wlatywał do rękawa, napełniając go chłodem.

— A kto to jest?

— Człowiek, który mnie kocha, a którego ja nie kocham.

— I możesz żyć z mężczyzną, którego nie kochasz?

— Nie żyję z nim. Chodzę czasem do niego. Byłam przedwczoraj, pójdę jutro.

— Kto to jest?

— Stary sędzia. Taki dobry, biedaczysko...

— Dlaczegoż się z tobą nie żeni ten stary sędzia?

— Bo nie jest zbrodniarzem! Wyjść za niego? Wolałabym trzydzieści lat więzienia! To, co mi teraz daje się we znaki, jest przynajmniej więzieniem prewencyjnym. Chciałabym, żebyś go zobaczył. Nie. Nie chciałabym, żebyś go zobaczył... Jest gruby, mały, okrągły jak wazon chiński, żółty jak telegram i brzydki jak prawda.

Auto podskoczyło cztery razy na szynach, które przecinały dolinę. Ciała obojga młodych zetknęły się.

Była ciepła i miękka, jak młoda małpka. Kołnierzyk gronostajowy zarzucony na szyję, zsunął się powoli i powiało od niej tym lekkim, nieokreślonym zapachem eleganckich kobiet, składającym się z pudru, perfum, futra i młodego ciała.

Pantofelki *mordorees* miały refleksy róży, złota, srebra i fiołków jak rybie skrzela.

Róże w metalowej rurce drgały lekko, miękko, niepostrzeżenie.

— Wyglądają jak piersi osiemnastoletniej szwaczki w czerwcu około siódmej wieczór.

— Co za gbur! — pomyślała dziewczyna. — Jedzie ze mną, a wspomina piersi innych kobiet, zamiast zająć się moimi.

Ucałował jej rękę.

— Rękę twoje mają *une douce odeur fanee comme des fleurs conservees entre les pages d'un herbier!* Pomalowałaś sobie włosy!

— To on chce, żebym była blondynką.

— Obcięłaś je.

— Chce, żeby były krótkie. Widzisz, mój drogi, my kobiety jesteśmy dla mężczyzn jak gotowe ubrania. Podobają się, ale każdy chce zawsze, coś zmienić. Zresztą, nie jest mi z tym nie do twarzy, prawda?

— Przeciwnie.

— A ty kochasz się?

— Nie. Może dlatego jestem smutny, znużony, wyczerpany. Potrzeba mi miłości. Miłość jest tym dla mężczyzny, czym ocet dla korniszonów. Konserwuje. Ty, moja maleńka, jesteś tak świeża! Wyglądasz jak wiosna.

— Późna wiosna.

— Jakich perfum używasz?

— *Crab-apple.*

Piękna panna odpowiadała machinalnie na pytania, które jej zadawał, aby nie milczeć.

Między nimi jednak wznosiła się ściana lodowa.

Młodzieniec kochał niegdyś bardzo tę dziewczynę. — Ona kochała go miłością wieczystą, która trwała miesiąc. Potem go porzuciła, by kochać wiekuiście oficera marynarki na urlopie dwutygodniowym przed odpłynięciem na Antyle.

Od tej pory nie widzieli się więcej.

— Gdzie byłeś przez cały ten czas?

— W Brighton, aby się kąpać w morzu, a potem w Algierze, aby się osuszyć.

— Z nim?

— Z innym.

— Jak można tak często zmieniać kochanków?!

— Mężczyźni są tak podobni jeden do drugiego, iż mi się zdaje, że to zawsze ten sam.

Auto zatrzymało się przed szlabanem.

Gdy express nadleciał i znikł, samochód znów się potoczył.

— A twoje malarstwo?

— Nie dotykam już pędzli. — odparła panna.

— Szkoda.

— Naprawdę szkoda — dodała z prostotą — pewien wydawca chciał zamówić serię sylwetek na ilustrowane pocztówki i proponował mi doskonałe warunki.

— Dlaczego — wybuchnął jak zapalniczka młodzieniec — dlaczego stacasz się tak nisko, kiedy mogłaś mieć środki do życia — wygodnego, może nawet zbyt wygodnego! Dlaczego żyjesz jak kobieta która nie ma nic, prócz swej zwierzęcości? Musisz — słyszysz? — musisz stać się znowu dzieckiem, dzieckiem, które kochałem! Nie będziesz już przyjmowała klejnotów, sukien,

pieniędzy od mężczyzn, którzy cię najmowali! Będę cię kochał, jak niegdyś. Będę cię kochał — miłością, która odkupia.

Panna roześmiała się drwiąco.

— Głuptasku! Wierzysz w miłość, która odkupia? Złudzenie! Największą zniewagą dla kobiety jest to, gdy mężczyzna próbuje ją odkupić. Najniższym szczeblem, na jaki spaść może kobieta, jest oczyszczenie. Nie wiem co gorsze: przyzwyczaić osobę zdrową do upojeń morfiny, czy też odjąć morfinę narkomanowi?

Wstrząsnął głową.

— Bez porównań, maleńka! Porównania nigdy niczego nie dowiodły. Czuję, że będę cię kochał miłością uczciwą i pogodną, jak dzień dzisiejszy, miłością świeżą jak twoje ręce!

To mówiąc, wziął ją za ręce.

Były delikatne, giętkie, blade, chłodne, opatrzone mactwami, zagiętymi paznokietkami jak zmarzłe łapki gołębiczy.

Samochód wjechał do miasta.

Całował jeszcze ręce jej i przyciskał je łagodnie do zamkniętych oczu, podczas gdy ona odczytywała w myśli szyldy sklepów: „Rzeźnik...” „Akusz...”

— Znowu staniesz się tą, którą znałem... Przyjmiesz propozycję wydawcy i w sztuce znajdziesz zadowolenie!

Milczała.

— Jutro, maleńka, nie pójdziesz do sądziego...

Maleńka spojrzała na niego.

— I nigdy więcej nie pójdziesz. Pójdziesz ze mną. Zrobimy przejażdżkę, jak dziś. Opowiem ci dużo wesołych rzeczy.

— Wesołych rzeczy? — Dziewczyna zamyśliła się i nagle jej oczy zabłyśły. Pochyliła się nad jego twarzą.

— Padnij na kolana. Tam w dole znajdziesz tę samą

młoda, piękną brunetkę, którą pokochałeś czystą miłością przed rokiem.

Młodzieniec rzucił się między jej otwarte uda jak chart, który po długiej gonitwie dopada wreszcie zająca i zanurzył się w gęstwą czarnych włosów.

— Widzisz, nie okłamywałem cię. To naprawdę są *Crab-apple*. Niestety, niektórzy sędziowie mają zły gust i zapach tych wyrafinowanych perfum niezbyt im odpowiada.

Na szczęście zakochany w brunetce młodzieniec tego nie usłyszał, będąc pochłonięty czymś bardzo odległym od wokandy i spraw prawniczych, a ponieważ był to chłopiec niezbyt w miłości doświadczony, dziewczę czuło się w obowiązku udzielić mu kilku istotnych wskazówek.

— Jakże jesteś pojętnym uczniem. Ale poczekaj, sprawisz mi jeszcze większą ucztę.

Mówiąc to dziewczę podniosło się i klęknęło na skórzanym siedzeniu tyłem do młodzieńca.

— Zaczynaj od dołu i idź do góry. Nie, nie! Twoje palce są zbyt szczupłe. Później włożysz coś większego. I nie spiesz się. Pośpiech jest złym doradcą także w miłości.

Ale młodzieniec nie słyszał, zajęty dokładnym wypełnianiem instrukcji, które — trudno było by to ukryć — sprawiało mu większą przyjemność niż pisywanie do gazet humorystycznych.

Kiedy doszedł już do siebie, powiedział: Odnalazłem miłość. Czuję, że wraz z miłością odnajdę wesołość. Teraz wysiądziesz przy poczcie i napiszesz do sędziego, aby nie czekał na Ciebie. Zrobisz to? Odpowiedzią był pocałunek.

— Przy najbliższym urzędzie pocztowym zatrzymamy się na chwilę — rzekł szoferowi.

A gdy auto stanęło, wyskoczyła elastycznie, jednym susem. On pozostał.

Wziął rękawiczki, które pozostawiła, rozwinął je i wdychał z przejęciem ich ciepłą woń.

Usiadłszy przy stoliku, za szybą, pisała rezolutnie:

„Drogi sędzio, nie czekaj na mnie. Nie przyjdę jutro rano”.

Młodzieniec w samochodzie patrzył na nią z niewymownym wzruszeniem wdzięczności.

Obejrzała się, uśmiechnęła do niego i pisała dalej:

„Nie przyjdę jutro rano... Przyjdę po obiedzie”.

Zapieczerowała bilecik, wsunęła go do skrzynki, i wróciła do samochodu.

— Prędko napisałam, prawda?

Nie odpowiedział, ale jego milczenie przepełnione było wdzięcznością.

Przybyła do Paryża aby się nauczyć języka francuskiego, bo podobno najlepiej nauczyć się każdego języka w jego ojczyźnie.

A kiedy się już jest na miejscu, dochodzi się do przekonania, że nie można się nauczyć języka, zanim się nie pozna doskonale gramatyki.

Matylda Arabescu był Rumunką. Rumunką z Bukaresztu, ale urodzoną w Peru, skąd jej przodkowie przybyli do Europy około dwustu lat temu. Dwieście lat temu sprowadzono także z Peru do Europy kartofle (*solanum tuberosum*). Być może, że kartofle i przodkowie Matyldy Arabescu odbyli podróż razem. Zbyteczne jest wymieniać wszystkie tytuły Matyldy Arabescu, gdyż, jeśli się o niej powiedziało, że jest „rumunką”, nie potrzeba dodawać, że jest „hrabiną”.

Włosy jej były niesforne i jasne. Cera była biała i różowa, jaką mają wszystkie kobiety, spożywające w dużej ilości zsiadłe mleko.

Od dzieciństwa podróżowała po świecie, zwiedziła kopalnie soli kamiennej, plantacje kamfory oraz więzienia chińskie. Walki byków, linczowanie w Luizianie, połowy wielorybów, krzesła elektryczne były dla niej równie powszednią sensacją, jak dla nas gramofon, pogrzeb gene-

rała lub rozdawanie orderów członkom straży ogniowej. Zwiedziła Tybet, gdzie kobiety biorą jednocześnie po czterech lub pięciu mężów oraz Wyspy Salomona, gdzie mężowie, którzy mają po kilka żon, od czasu do czasu obdzierają jedną z nich ze skóry i zjadają ją na porcję, dzieląc te porcje między sobą tak, jak zresztą żony pozostałe przy życiu. Na ten temat i na inne, nierównie sensacyjne, wygłosiła Matylda Arabescu cały szereg odczytów, przyjmowanych w paru krajach Europy Środkowej ze szczerym entuzjazmem.

Także i w Rzymie pouczała szczupłe, ale dobrane grono słuchaczy Teatru Argentyna o zwyczajach „palaczy opium” i na ten sam temat przemawiała w innych miejscowościach Europy i siedmiu okolicznych wsiach.

Pewien młodzieniec, który przeszedł właśnie z literatury do dziennikarstwa, odkrył w niej czar rumuński i powiedział — zdania tego jeszcze nikt przed nim nie wygłosił — że ma zagadkowe, zielone oczy, o żółtych źrenicach, podobne do oczu tygrysy.

Reporter umiarkowanego dziennika twierdził, że ma oczy łagodne i słodkie jak oczy gazeli.

Rumunki są istotnie niemożliwe. Nie wierzą w czar rumuński. Wierzą natomiast w szatana rumuńskiego, w niebezpieczeństwo rumuńskie. Gdziekolwiek się zwrócić, spotyka się zawsze Rumunkę między 20-tym a 60-tym rokiem życia, urządzającą wystawy, koncerty, odczyty na temat przyszłości Rumunii. A zresztą, kto jest większą nudziarką od ich królowej, owej Marii rumuńskiej, która zapycha, wszystkie miesięczniki i dzienniki swoimi portretami, refleksjami, aforyzmami, kostiumami, opisami balów, znakomitych dzieci i wspaniałych kur?

Po ośmiu dniach pobytu w jakimś mieście, owe międzynarodowe kobiety popisujące się swoją uczonością *bas bleus* zaprzyjaźniają się z wszystkimi literatami,

zwiedzają pracownie malarskie, salony mecenasów sztuki, garderoby aktorów, a kończy się na tym, że zmuszają do robienia swego portretu, do wystawienia swojej sztuki oraz do wyrażenia specjalnego uznania przez ministra oświaty za „zacieśnienie węzłów przyjaźni z Rumunią”.

Nasza Rumunka w Paryżu poznała słynnego Anatola de Blac, ulubieńca publiczności, który w każdym numerze popularnego pisma umieszcza kursywą ironiczne refleksje na temat życia, sztuki i miłości.

Anatol de Blac (lat pięćdziesiąt, bródka assyryjsko-babilońska, zielone okulary, elegancki, szykowny, jak krawiec londyński) był żywą encyklopedią. Gdyby kto zadał sobie trud zrobienia sekcji jego mózgu, znalazłby w nim wszystkie dzieła historyczne i filozoficzne w miniaturowym wydaniu.

Jego erudycja rozpościerała się od techniki budowy silników elektrycznych do pisma klinowego, od produkcji armat do zagadek filozofii hinduskiej, od poezji epicznej i miłosnej do poezji futurystycznej.

Zwracano się do niego tak, jak się wchodzi do wielkich paryskich magazynów, Luwru i galerii Lafayette, gdzie można nabyć wszystko: budziki, sypialnie, kosmetyki, papugi, jaszczurki w spirytusie, bożków chińskich, rowery, rybaków i samobójców.

Odcyfrował hieroglify na obelisku z Luxoru, na placu de la Concorde, z równą łatwością, jak my czytamy "La we *parisienne*", albo „*Ostrożnie! świeżo pomalowane*”, kiedy idziemy ulicą.

Literatura rumuńska, podobnie zresztą jak wszystkie inne, nie miała dla niego tajemnic. Znał na pamięć sporo urywków poematów, które recytował Matyldzie Arabescu we własnym gabinecie, gdy woda gotowała się w imbryku.

Matylda Arabescu była tym wzruszona do łez i ponieważ dotąd tytułowała go mistrzem, nie zawahała się w przystępie literackiej poufałości nazwać go starszym bratem i poprosić o pożyczenie książki.

— Czy pan ją posiada w swojej bibliotece?

— Tak.

— Czy pan mi ją pożyczy?

— Nie.

— Ależ ja ją zwrócę!

— Postąpiłabyś karygodnie.

— Zwracam wszystkie pożyczone książki.

— To źle. Nigdy nie dojdiesz do tego, aby posiadać własną bibliotekę.

— Nie jest pan logiczny.

— Ależ przeciwnie! Doszedłem w ten sam sposób do tego, że mam bibliotekę. Droga przyjaciółko, książki są jak dzieci, gdy je puszczamy samopas, zawsze się gdzieś zgubią.

Ponieważ takie sprawy kończą się zawsze w pewien określony sposób, dobrze będzie zaznaczyć z góry, że w tym wypadku skończą się one inaczej. Anatol de Blac posiadał wszystkie tytuły akademickie i wszystkie zalety umysłowe odpowiednie do tego, by wzniecić miłość w sercu demonicznej Rumunki. Nosił swoje pięćdziesiąt lat z odwagą i przyznawał się do nich z rubaszną dezynwolturą, która cechowała młodość zakonserwowaną wbrew prawom czasu. Jego ogromna, lecz nie przedstawiona kultura, gdyż on sam się z niej często wyśmiewał, zanim uczynili to inni, robiła z niego nowoczesnego mędrca, uprawiającego najbardziej karkołomne skoki dia-

lektyki oraz wszelkie wybryki sofizmatów, które mu pozwalałam bronić z przekonaniem pewnej tezy, a jednocześnie tezy przeciwnej. Ciężar tej kultury pochylał z lekka jego ramiona, ale go nie skłaniał do pedanterii. Aby się uwolnić od brzemienia wiedzy, rozrzucił nieustannie na prawo i na lewo jej ziarna ruchem, który u innego człowieka byłby nieznośny i bakalarski, ale u niego był sympatyczny i zabawny.

Gdy mówiono o ślepych psie, o ślepej ulicy, o ślepej kiszce, wtedy on, naśladowując głos i gest pewnego wykładowcy akademickiego albo oficjalnego mówcy, dodawał z ironiczną powagą:

— Ślepy jak Homer lub jak Belisairio.

Gdy mówiono o młodym człowieku o skąpym owłosieniu.

— Łysy w trzydziestym roku życia — komentował — niczym Beranger.

Albo o panience, której ojciec naciskał nie płacących podatków.

— Córka poborcy podatków w stylu Horacego.

Gdy Matylda Arabescu zastanawiała się, jak zrobić kilkodniową wycieczkę do ojczystej Rumunii, wyraził się:

— Chce, jak Anteusz, dotknąć stopą ziemi ojczystej, by nabrać nowych sił do życia.

— Miałem szkarlatynę 917 roku — oświadczył ktoś.

— W 917 roku — podchwycił skwapliwie — w 917 przed Chrystusem wstąpił na tron Jehowy zacny Józefat i pa-
ował lat dwieście z górą.

Gdy go rozpytywano o tajemnicę jego doskonałej pamięci, przyznawał, że kiedy jeszcze był młodym chłopcem, postanowił kształcić się, ale nie obierać w tym celu metody fragmentarycznej. "Uniknąłem chaosu — miał — studiując każdego autora po kolei. I tak, w 1902 r. studiowałem Balzaca, w 1903 Victora Hugo, w 1904 Zolę...

Zamiast rozpocząć studia od najnowszych, rozpocząłem je od najstarszych autorów, doszedłem bowiem do przekonania, że myśli ludzkości ulegają podobnym ewolucjom, jak myśli jednostek. Opierając się na tej zasadzie, mając lat dziesięć, czytałem Homera i Platona, w 45 roku życia przygody Sherlocka Holmesa i Ruccchia!"

Byli tacy, co w to wierzyli.

— A kiedy pan czytał poetów rumuńskich? — zapytała raz znienacka Matylda Arabescu.

— Przez całe życie — odpowiedział bez wahania Anatol de Blac, patrząc jej w oczy przeciągłym spojrzeniem. Od tego dnia Matylda Arabescu pozwoliła, aby ją tykał.

Ale on się w tej kobiecie nie kochał. Chociaż potrafił utrzymać młodość serca, w stosunku do kobiet miał zawsze gusta trzydziestoletniego młodzieńca, Podobały mu się typy niewieście o szerokich zaokrągleniach rysowane rozszerzonym cyrkiem przez Guillaume'a. Matylda Arabescu była natomiast zbyt chuda, zbyt nerwowa, zbyt uduchowiona i miała płaskie piersi. Jej ciało hermafrodyty zaciekawiało go, ale nie budziło w nim żądy, Matylda Arabescu była dla niego, jednym słowem, ciekawością egzotyczną; nazywał ją w myślach niezaspokojoną histeryczką lub cyganką podróżującą w *sleepingu*.

Chociaż jej nie kochał, był o nią zazdrosny. Szczególny to objaw, wiemy bowiem dobrze, że zazdrość jest następstwem miłości, Któż jednak zna dokładnie chemię organiczną uczucia?

Wiedział bardzo mało o tej kobiecie, która twierdziła, że podróżuje w tym celu, by się nie przywiązać do niczego, ani do nikogo; która zgubiła walizkę w Texasie, a parasolkę w Japonii, ale nigdzie nie potrafiła zgubić swojej cnoty.

— Nie dla przesądów — tłumaczyła się — ale dlatego,

że nie spotkałam jeszcze mężczyzny, godnego tak wspianego daru jak moje serce.

— Ażeby zasłużyć na ten wspianą dar — zapytał nie bez ukrytej myśli Anatol de Blac — jakież trzeba mieć zalety?

— Nie wiem tego dokładnie. Nieraz poszukuję podobieństw, to znów nęcą mnie kontrasty. Kiedy jestem w Rumunii, spostrzegam, że moi znajomi są zupełnie do mnie podobni, a wtedy pociągają mnie swoją odrębnością cudzoziemcy. Kiedy zaś znajduję się za granicą, nurtuje mnie tęsknota za moim krajem i czuję, że uległabym rodakowi, który by mówił moim językiem.

O przeszłości erotycznej Rumunki krążyły dziwne wieści. Pewien lekarz rumuński, który przybył do Paryża, aby uczęszczać do Instytutu Pasteura, puścił w ruch pewne wersje (może — niestety prawdziwe?) o wybrykach jej dzieciństwa i młodości oraz kapryсах, które się w niej budziły i które zaspokajała między jedną a drugą podróżą. Roznamiętniona poezją — mówił — nie oddawała swych ust mężczyźnie, zanim się nie przekonała, że i on miał podobną do niej wrażliwość poetycką. Stwierdzono, iż w momencie psychofizjologicznym, w którym żadna kobieta nie byłaby w stanie odcyfrować na czeku własnego nazwiska, ona otwierała nagle oczy, już zachodzące mgłą i pytała:

- Jakie jest pańskie zdanie o muzyce Rymskiego-Korsakowa?

Albo też:

— Czy zna pan ten wiersz Baudelaire'a: *Sois belle et sois triste!* I tak to on mówił dalej: *Les pleurs ajoutent un charme au visage...* No, nie traćmy czasu!

Jeśli mężczyzna znajdował zaraz odpowiedź, otrzymywał nagrodę. Ale jeśli jej nie znalazł, biada mu! Na próżno błagał o amnestię! Był stracony bezpowrotnie.

Oficer marynarki holenderskiej, którego spotkała w Bang-taplang i z którym się zgodziła odbyć przejażdżkę poranną w *sampanie*, bez wioślarza, płynąc z biegiem fali, zaszeptał jej do ucha tak wymowne wyznanie i w tak przejrzystych barwach odmalował piękność miłosnego stosunku między Holendrem a Rumunką, którzy się spotkali przypadkiem na wodach Zatoki Syjamskiej w *sampanie*, płynącym z biegiem fal, że ona — już już — miała się poddać fali, podobnie jak *sampan*. Nagle spojrzała mu w oczy z przenikliwością urzędnika celnego i zapytała:

— Czy pan czytał Demetriusza Bolintineano?

Inny człowiek w podobnych okolicznościach byłby skorzystał z wielkiej samotności, zawieszanej pomiędzy syjamskim niebem a syjamską wodą, i byłby odważnie zepchnął do lazuruwej głębinie wód wymagającą Rumunkę, ale oficer marynarki nagle został tknięty paralizem literackim, który zaatakował jego struny głosowe, i zamilkł tak, jak milknie urzędnik państwowy we Włoszech, gdy go zapytać grzecznie o informację.

Wiele już lat minęło od tego czasu i gdy ów marynarz przebiega myślą wszystkie kobiety, które mu młodość uczyniły rozkoszną, uśmiecha się na wspomnienie Indianek, Czerkiesek i Maltanek.

Ale gdy na liście tych kobiet przychodzi kolej na Rumunkę, oficer marynarki już się nie uśmiecha.

Dzika zazdrość Anatola de Blac powiększyła się z chwilą, gdy spostrzegł, iż Matylda specjalnymi względami obdarza Maurycy Pantin.

Któż to był taki ów Maurycy Pantin?

Wystarczy przejrzeć w gazetach rubrykę teatralną. Wy-

starczy zwiedzić kabarety na Montmartre o lekkim programie, wystarczy śledzić pewne ulotki pisemka *courts-vetus* i pisma periodyczne *couleur cuisse de nymphe*.

Maurycy Pantin jest pisarzem bardzo *rive gauche*, pisze sprośne nowelki oraz wierszyki reklamujące krem przeciw piegom, albo pomadkę przeciw piegom, wywołanym przez użycie kremu. Ma lat dwadzieścia pięć i ogromną jasną czuprynę, którą Anatol de Blac nazywa sanatorium dla wszy. Jest nader dowcipny, choć widać od razu, z jakim mozołem goni za kalamburami.

— Nie rozumiem, w jakim celu wysilasz się, aby się wydać wykształconym, dowcipnym, interesującym, oryginalnym, wyszukany — mawiał do niego Anatol de Blac, gładząc swą coraz bardziej assyryjsko-babilońską bródkę — dlaczego, aby zdobyć kobietę, zadajesz sobie tyle trudu? Wystarcza w zupełności mieć dwadzieścia pięć lat, aby się podobać kobietom. Jesteś w błędzie! Zmuszasz kobiety do tego, aby były inteligentne, oryginalne, tajemnicze! O niepoprawny głupcze! Gdy kobieta ma ładne nogi, może sobie pozwolić na to, aby być analfabatką. Dwie ładne łydki kobiecie więcej znaczą w zdobyciu mężczyzny od całego rozumu Rabelego. Pamiętaj o tym, co ci mówię — ja, który mógłbym być twoim ojcem, choć nim być nie pragnę. Z kobietami wykorzystuj tylko to, że masz dwadzieścia pięć lat, nic więcej.

Anatol de Blac bardzo lubił go i nie szczędził mu mądrych rad.

— Nie pogardzaj blefem — doradzał. — Skromność nie jest niczym więcej, jak chybionym oszustwem. A gdy pierwszy blef zawodzi, powiększ dawkę. Po czym wzmocnij ją trzykrotnie, czterokrotnie.

„Jeśli chcesz powiedzieć jakieś głupstwo, powiedz je głośno. Ludzie oceniają trafność uwag według intonacji głosu...”

„Pisz dużo — radził dalej — pracuj bez chwili spoczynku: wydawaj moc książek, artykułów, pisz we wszystkich dziennikach. Ludzie tak mało czytają, że się nic na tym nie traci, gdy się pisze wiele.

Tak mu doradzał Anatol de Blac. Jednakowoż od chwili gdy Matylda Arabescu zwróciła uwagę na Maurycego Pantin, przyjacielska poufałość Anatola de Blac zmniejszyła się nieco.

— Anatolu de Blac — zagadnęła go pewnego dnia Matylda Arabescu — dlaczego mi pan jeszcze do tej pory nie wyznał, że mnie pan kocha?

— Bo jeszcze do tej pory cię nie kocham...

Nie kochał jej także Maurycy Pantin. Mimo to zacięka-
wiała go.

— I pan mi się także podoba — wyznała mu Rumunka — podoba mi się pan dla wielu błahych przyczyn, z których żadna nie ma większego znaczenia; ale wzięte razem dodają panu pewnego specjalnego uroku: podobają mi się pana paznokcie o nieskazitelnej czystości, fascynujące kolory pana krawatów, usta, cechujące wielki egoizm, cała sztuczna pana uroda, a także żargon, którym pan mówi z wdziękiem dżentelmena. Podoba mi się łatwość, z jaką pan się uczy modnych piosenek i werwa, z jaką je pan wyśpiewuje.

Może się wydawać dziwne, że kobieta, która po raz pierwszy zgadza się oddać swe usta mężczyźnie, zapytuje go o zdanie co do muzyki Strawińskiego. Ale jeszcze dziwniejsze jest to, że ta sama kobieta przepada za lekką muzyczką, którą rozbrzmiewają bulwarowe kawiarnie.

To wszystko jest nielogiczne. Ale wszystko w kobiecie jest wszak nielogiczne. Jej logiką jest właśnie absurd.

— Niech mnie pan odprowadzi do *Cafe de Princes*, na bulwarze Montmartre — powiedziała kiedyś wieczorem

do Maurycego Pantin, którego spotkała przed wystawą Flammariona.

— Do *Cafe des Princes*? Ależ tam chodzą same kokoty!

— Przecież są bardziej interesujące od kobiet uczciwych!

— *Garcon, une chartreuse et une orangeade. Bien tapee. C'est pour un malade.*

— *Bon* — odpowiedział garson, znikając wśród obłoków papierosowego dymu.

— Któż jest tym chorym?

— Ja.

— Chorym na co?

— Na miłość do ciebie, Matyldo! Czy tego nie wiesz?

Matylda Arabescu w odpowiedzi na żart paryski uśmiechnęła się po rumuńsku.

Muzycy cygańscy rozlewali wśród ogólnego milczenia tę glicerynę muzyczną, która rozlewa się po całym świecie pod nazwą *Serenady Tosellego*. Po krótkiej przerwie zaintonowali jedną z arii *Wollce'a*, której rytm dwóch żołnierzy angielskich i dwie jakieś damy wybębniali palcami na szklankach i talerzach.

Maurycy Pantin nucił pod nosem:

*La-bas par le monde
tout au bout de l'onde
il est une rive
ou tout nous captive...
Partons...
J'ai lu dans un livre
qu'il est doux d'y vivre
veux-tu, nous irons?
Hindoustan!*

*Terre exquise
ou la brise
en vous frôlant
nuit et jour,
fraiche et rose
vous murmure
un chant d'amour...
Ou le soir
partout rôde
une odeur chaude
d'encensoir
Hindoustan...*

— Ach Hindustan! — westchnęła Matylda. — W zeszłym roku oddychałam wonią Gangesu. Dotykałam własnymi rękami skóry kobiet z Benares i czuję jeszcze elektryczność w czubkach palców. W Bombaju porozumiewałam się przez dłuższą chwilę ze świętym słoniem. W Nagpur wpatrywałam się w krzak ciernisty. W Kalkucie widziałam, jak kruki rozszarpywały trupa poprzez kratę żelazną, którą go przycisnęli kapłani w tym celu, by żarłoczne ptaki, zaspokoiwszy głód odrywaniem kawałków ciała, nie rozniosły po świecie cząstek szkieletu.

— Innymi słowy — przerwał Maurycy Pantin, który nie lubił tematów makabrycznych — zmuszano w ten sposób kruki do pożerania jadła przy bufecie, jak w barze.

Guido de Verona zakończyłby ten rozdział temi słowy:
„A ciche skrzypki cygańskie powtarzały melancholijny refren:

Hindoustan..."

— Czy pan lubi ostrygi? — zapytała w godzinę później dama rumuńska paryskiego młodziana, który u Duvala podawał jej spis potraw. Ja za nimi przepadam!

— Szkodzą mi na żołądek, odpowiedział Maurycy Pantin, który zbyt często, niestety, zapominał o wskazówkach Anatola de Blac (nie bądź zbyt skomplikowany, nie staraj się być oryginalny, ani tajemniczy. Powinno ci wystarczyć to, że masz dwadzieścia pięć lat).

— Przeciwnie, mnie wcale ostrygi nie szkodzą — roześmiała się Matylda Arabescu. Strasznie mnie podnieca myśl o stanie duszy tych delikatnych stworzonek w chwili, gdy nóż wchodzi pomiędzy ich dwie skorupki. Pewnie szepcą: "Jesteśmy zgubione".

„Przychodzi mi na myśl chwila, w której otwierają celę więźnia skazanego na śmierć i mówią mu: „Odwagi!”

„Pieprz... cytryna... widelec... ubranie skazańca...”

— Dosyć! Matyldo Arabescu! Pani jest okrutna. Niech pani pożera żywcem swoje ostrygi, niech je pani gilotynuje, jak się pani żywnie podoba, ale niech pani pozwoli uczciwemu wegetarianinowi, aby połknął w spokoju makaron z pomidorami.

Po obiedzie zeszli do piwnicy, gdzie orkiestra murzyńska rzępoliła jakieś niesamowite melodie i gdzie nie grano *Hindoustan*.

— Czy pani ma w domu fortepian? — zapytał.

— Mam.

— To doskonale. Zamawiam sobie śpiew i muzykę.

Dom, w którym mieszkała Matylda Arabescu, znajdował się na jednej z ulic przecinających bulwary, podobnych do siebie w nocy jak dwie krople wody, bo wszystkie były puste i ciemne. Przed każdą sienią stała skrzynka na śmieci oraz nocna rozdawczyni ułudnych i krótkotrwałych wrażeń.

Mieszkanie Matyldy Arabescu, coś pośredniego między

pokojem kawalerskim, czytelnią a muzeum etnograficznym, zawierało wszystkie pamiątki, które przywiozła ze swych podróży po świecie i wszystkie najbrudniejsze książki, jakie skupywała u bukinistów na wybrzeżach Sekwany i w Quartier Latin. Powietrze przesycone tytoniem i perfumami przypominało zakład fryzjerski na przedmieściach, gdzie strzygą i golą po cenach przystępnych.

Matylda i Maurycy tak się czuli tego wieczoru dobrze ze sobą iż nie było wykluczone, że węzły pomiędzy Francją a Rumunią zacieśnia się bardziej.

Z rozstrojonego fortepianu *Maurycy* dobył melodię narodowego hymnu rumuńskiego oraz Marsylianki, które wnet przeszły w kombinację *Ave Maria* Gounoda i *Hindustanu*, przy akompaniamencie jazz-bandu, któremu towarzyszyła Matylda, dobywając z gardła krótkie, dzikie okrzyki i tupiąc obcasami o podłogę.

— Zmęczyłam się — oświadczyła Matylda, siadając na szezlongu...

To, że Matylda na tym szezlongu usiadła, nie jest określeniem dość ścisłym. Rzuciła się nań, opierając na łokciach i podnosząc kolana do góry. Po chwili kolana, jakby znudzone swoim sąsiedztwem, rozchyliły się, niby przypadkiem ukazując tajemnice jej kobiecości okrytą zaledwie przejrzystą mgłą najdelikatniejszego jedwabiu.

Maurycy zrobił minę, którą można by nazwać baranią.

Po paru chwilach westchnął.

Następnie metodą eksperymentalną pocałował ją w rękę.

Matylda nie wyrwała mu swej ręki. Wtedy Maurycy zaczął deklamować:

— Kocham cię, kocham cię nad życie! Jestem tobą pijany, oszalały! Daj mi usta, Matyldo Arabescu!

Ale kiedy już ją miał pochwycić w ramiona, nagle kobieta otrząsnęła się, wyciągnęła się na kanapie, oparła na łokciach, ścisnęła mu głowę w obu dłoniach i, wlepiając w Maurycego źrenice o badawczym spojrzeniu, spytała zmienionym głosem:

— Co pan wie o Michaelu Eminescu?

Maurycy stężał ze zgrozy, patrząc na nieubłaganą kobietę, która wlepiała w niego oczy podobnie jak Sfinks, gdy Edypowi objawił się po raz pierwszy wraz ze swoją zagadką.

— Co pan wie o Michaelu Eminescu? — powtórzyła.

Maurycy Pantin zrozumiał, że wszystko dla niego jest stracone. Nigdy jeszcze nie słyszał o tym rumuńskim poecie, którego poezja była natomiast chlebem powszednim dla Matyldy: Michael Eminescu podróżował w marokenowej oprawie w jej walizce po całym świecie i w niejedne kartki wsiąkały jej łzy, spływając po różowych policzkach.

— No i cóż mi pan powie o Michaelu Eminescu?

W chwili, gdy Maurycy miał już wyznać całą swoją ignorancję i przyznać się do porażki, rozległ się w przedpokoju dźwięk dzwonka.

Sfinks w osobie Matyldy Arabescu zszedł z piedestału i przeszedł dwa czy trzy pokoje, aby otworzyć drzwi wejściowe.

Gdy Maurycy pozostał sam, rzucił okiem na półkę z książkami w nadziei, że znajdzie encyklopedię. Ale jej tam, niestety, nie było.

Albo też, jeśli chodzi o ścisłość, owszem była. Stało wszystkich siedem tomów Larousse'a, razem z suplementem, ale wystraszony Maurycy ich nie dostrzegł.

— Kto by powiedział — myślał — iż, aby zdobyć kobietę, trzeba zdać egzamin z historii powszechnej, jakby chodziło o posadę na kolei. Głupi jest ten Anatol

de Blac, który twierdzi, że nie potrzeba inteligencji i erudycji, aby się podobać kobietom. Ciekaw jestem, na co mi się przydało to, że mam dwadzieścia pięć lat? Gdybym ich miał z 15 więcej, może bym miał jakieś choćby słabe o tym pojęcie, kto to był ten *sale type*: Michael Eminescu?

„Tego rodzaju intelektualna kobieta wybaczyłaby swemu kochankowi latającą nerkę, skrzywienie kręgosłupa, nogi w kształcie litery X, ale przenigdy pomyłkę w dacie urodzenia jednego z Hohenzollernów — Hingmeringen! Moich dwadzieścia pięć lat... Do czego się przydały? Anatol de Blac jest skończonym idiotą!...

„Ach, ten Anatol de Blac!...

„Anatol de Blac...

„Ten Anatol...”

Spojrzał na telefon umieszczony na biurku i nagle doznał jakby jasnowidzenia. Telefon natchnął go nową nadzieją, jak tonącego widok telegrafu bez drutu. Zatelefonować do Anatola de Blac! O tej porze bywał zwykle w redakcji.

Zdjął słuchawkę, powiedział numer, czekał, niecierpliwiał się.

— Czy to ty, Anatolu?

— To ja, Maurycy. Posłuchaj. Jeśliby na miejscu...

— Nie przerywaj. Jeśli na miejscu serca nie masz kawałka antracytu, powiedz mi zaraz, nie zastanawiając się ani na jedną chwilę, — jutro ci to wytłumaczę — powiedz mi, co to za jeden, Michael Eminescu?

— Nie pytaj o nic, nie badaj mnie, odpowiadaj zaraz.

— Nie mam czasu na tłumaczenia. Sprawa nie cierpi zwłoki. Powiedz mi zaraz, kto to był Michael Eminescu?

— Ależ skądże znowu. Daję ci na to słowo honoru, że panna Matylda nie odgrywa w tym żadnej roli.

— Słowo honoru. Powiedz mi na miłość boską, kto to był Michael Eminescu?

— Jesteś tego pewny?

— Dziękuję ci z całego serca drogi przyjacielu: całuję w myśli obie twoje ręce.

Miał zaledwie czas pocałować w myśli jedną, kiedy Matylda powróciła do pokoju.

— Nic ważnego — powiedziała. To portier z dołu przyszedł w imieniu lokatorów z protestem przeciw naszym eksperymentom muzycznym. Ludzie nie mają żadnego poczucia harmonii. No, podejdź tu do mnie, mój maleńki i klęknij u mych stóp, jak przed chwilą...

Kiedy to uczynił, uniosła spódnicę pod którą, o dziwo, nie było już ani śladu przejrystego jedwabiu.

— No więc czy wiesz już, ty jasny efebie kim był Michael Eminescu?

Głosem, który nie zdrzął, z niezachwianą pewnością siebie, Maurycy wyrecytował:

— Był to pogromca perskich krokodylów, który, obrany generałem, pobił Norwegów w bitwie pod Pekinem.

Rumunka wymierzyła mu potężny policzek i powiedziała:

— *Domnaule, iesi de aci, ma plictisesti...*

Co w Bukareszcie znaczy: „Wynoś się stąd, ośle, bo patrzeć na ciebie nie mogę!”

Kapelusz na łóżku

Po dziesięciu latach niewidzenia, dwaj przyjaciele ze szkolnej ławy spotkali się na pogrzebie. Powracając z cmentarza, jeden zapytał:

— Czy byłeś przyjacielem nieboszczyka?

— Znałem go tylko z widzenia.

— I dlatego przyszedłeś aż na cmentarz?

— Tak. Godzina jest bardzo dla mnie odpowiednia. Wpół do czwartej. Spacer o tej porze pomaga w trawieniu śniadania i dodaje apetytu do obiadu. Właściwie należałoby z tego powodu uczestniczyć co dzień w jakimś obrzędzie pogrzebowym. A ty co właściwie porabiasz?

— Jestem fabrykantem bibuły. A ty?

— Mężem mojej żony.

— A ten pies należy do ciebie?

— Tak.

— Czy to *fox*?

— To widać od razu. Ma już dziś układ starego kamerdynera. Ale dlaczegoś mu właściwie nie kazał obciąć ogona, jak to się robi wszystkim *foxom*?

— Bo nie jestem idiotą.

— Jak się nazywa?

— Argus. Pies Ulissesa, który poznał swego pana po dziesięciu latach, także nazywał się Argus.

- Przypomniał sobie, jak brał od niego lanie.
- Ależ nie. Uważasz, kiedy Ulisses powróci do Itaki...
- Kpię sobie z Itaki i z Ulissesa. Czy tutaj mieszkasz?
- Tak. A ty?
- W pobliżu. W Condovie. Nudna dziura, ale jest mi tam nieźle.
- Ile to już lat minęło od czasu, gdy opuściłeś Turyn?
- Dziesięć!
- Jesteś zadowolony, żeś się tu znalazł?
- Nie. Nie mogę się doczekać chwili wyjazdu.
- Czy masz dzieci?
- Ominęła mnie ta przyjemność.
- Mój pociąg odjeżdża o 9.55. Mogę do tego czasu, jeśli sobie życzysz, dotrzymać ci towarzystwa.
- Ależ cudownie!
- Pozwól, że cię zaproszę na obiad.
- Dziękuję. Stołuję się w domu.
- No, to przynajmniej chodźmy na kawę.
- Dobrze, chodźmy się czegoś napić. Pamiętasz, dziesięć lat temu bywałem pijany jak bela? No, a obecnie...
- Już tego nie potrafisz?
- Piję jeszcze więcej.
- To tak, jak ja. Więc możemy się urządzić. Nieboszczyk był moim wujem. Jestem jedynym jego siostrzeńcem. Zapisał mi większą część swego majątku. Fermę, dom, ogród, woły. Wolałbym, żeby mi zostawił nieco gotówki, bo by ją było łatwiej stopić. No, ale chodźmy już w stronę via Roma. Kiedy patrzę na wszystkie znane i postarzałe fizjonomie, które widywałem dziesięć lat temu, wydaje mi się, że przeglądam album z pożółkłymi fotografiami.
- Czy pojedziemy autem?
- Co znowu?! Nie jestem kokotą! Czy jesteś żonaty? Z kim się ożeniłeś?
- Z panienką. A ty?

— Z moją służącą. Mężczyźni zazwyczaj każą po ślubie swoim żonom być służącymi. A ja się na to już zgodziłem przed ślubem.

— I zawsze jesteś tak przesądny, jak dawniej? Przypominasz sobie, jak się bałeś liczby 17 albo 27? Jaki to był jeszcze numer?

— 61.

— A pamiętasz, jak mnie zwymyślałeś od ostatnich za to, że położyłem kapelusz na łóżku?

— Nie, tego sobie nie przypominam. Ale za to pamiętam inny fakt, stokroć gorszy. Kapelusz leżący na łóżku jest zawsze zapowiedzią strasznego nieszczęścia. Ach, żebyś wiedział, co mi się kiedyś przytrafiło...

— **Opowiedz!**

— A więc musisz wiedzieć, że...

Przyjaciele znajdowali się na placu San Carlo. Była godzina piąta wieczorem. Listopad. Najpiękniejszy punkt w Turynie. Godzina i miesiąc, kiedy ten punkt jest najpiękniejszy. Zachody słońca na placu San Carlo.

W głębi dwa rywalizujące ze sobą pod względem piękności kościoły, odcinają się ostro na tle czystego błękitu. Pomiedzy fragmentami architektonicznymi osłoniętymi liliową mgłą a niebem gasnącym, słońce rzuca dwa promienie ze złota. Między jednym a drugim kościołem zawieszona jest lampa wśród mgieł. A poniżej spacerują eleganckie, pachnące, otulone w futra i drżące z chłodu kobiety, bardziej robiące wrażenie paryżanek, niż same paryżanki.

Turyn chełpi się bardziej swymi kobietami, niż ruchami z roku 21.

Pragnąłbyś pocałować wszystkie po kolei usta gorące i wilgotne, umieszczone ponad futrzanymi kołnierzami, chłodnymi i wilgotnymi od oddechu i od mgły; wchłonać woń kobiety, zwierzęcia i perfum — woń zimy.

I pozwolic, aby uwierzyły, że całujesz je dlatego, że są piękne, a nie dlatego, że cię wzruszyło melancholijne piękno zachodzącego słońca.

Ileż to razy drżały te kobieciątka w naszych ramionach, a myśmy je obejmowali jedynie dlatego, że chcieliśmy rozgrzać nasze ręce lub serca!

Długie i smętne są portyki starych pałaców oj surowej i prostej architekturze. Na prawo zachodzi słońce. A noc podnosi się z ziemi i wspina w górę. Zdaje się, jakby fioletowe opary podnosiły się z miasta. Oświetlone sklepy, bary, kawiarnie i składy apteczne rzucają jaskrawe światło na przechodzące kobiety. Rozjarzone okna otwierają w układających się do snu domach, swe kwadratowe usta, przez które wymykają się ostatnie szmery dnia.

Przyjaciele wdychali w siebie mrok, pełen słodkich, kobiecych zapachów.

— Nie wiem, czy wiesz o tym, że miałem kochankę. Dziś już jest zupełnie stara. Parę dni temu przeczytałem w dzienniku, że ofiarowała 10 tysięcy lirów na garbate sieroty po urzędnikach państwowych; chciałem i ja iść za jej przykładem, ale potem pomyślałem, że to zbyt cenne, gdyż w tych 10 tysiącach lirów są także i moje pieniądze. Dzisiaj jest filantropką, a wtedy za dawnych czasów była śpiewaczką kabaretową. Kochałem ją. Była piękna. Czy ją pamiętasz? Była rozkoszną kochanką. Może to miałeś sposobność stwierdzić osobiście? Teraz,

gdy już tyle wody upłynęło od tego czasu, możesz się, mój drogi, do tego przyznać. Bo przyznam ci się, że byłoby mi to nawet na rękę, gdybym wiedział, że i ty także... No, powiedz?

— Nie, nigdy!

— Kochałem się w niej jak wariat. Miłość nasza trwała trzy lata. Włóczyłem się za nią po świecie: byłem z nią w Venezueli i na Cejlonie, wśród tropikalnej aury Egiptu i lodów Norwegii... Podczas jednej ze zmian klimatu, zapadłem na silny bronchit. Ciągnęła mnie za sobą do Kalkuty (Indie) do Grenady (Hiszpania) do Sajgonu, na wybrzeża Amazonki, Wołgi, do przylądka Dobrej Nadziei...

— Dość już, dość. Wiem, że jesteś mocny w geografii!

— Ona mnie jej nauczyła. W każdym kraju, gdzieśmy przebywali, kochała się bez pamięci w typie lokalnym i groziła, że mnie zdradzi z zaklinaczem węży w Egipcie, z torreadorem w Hiszpanii, z fakirem w Indiach, z poszukiwaczem złota na Alasce. A ja, jak ten głupiec, aby nie być zdradzony na obcej ziemi, byłem zmuszony dawać jej złudzenia, że łączę w sobie wszystkie te typy, w których kochała się po kolei. I tak nauczyłem się jeździć na oklep, zarzucać lasso, śpiewać przy dźwiękach gitary smutne i sprośne piosenki. Na Alasce postanowiłem zostać dla niej poszukiwaczem złota. Ale ze względu na mój zły wzrok i na niezbyt spokojną przeszłość, musiałem, niestety, poprzestać na poszukiwaniu złota już obrobionego w sklepach jubilerskich. Dla tej kobiety nie zawahałem się wchodzić w najcięższe kompromisy z własnym sumieniem: popełniałem szaleństwa, podłości, zbrodnie. Stargałem nerwy, osiągnąłem wysoki stopień neurastenii, straciłem spokój. Kochaliśmy się, ale życie nasze składało się z bezustannych sprzeczek. Biliśmy się nawet kilkakrotnie...

Głos mu zadrżał, gdy wymawiał ostatnie słowa. Kiedy mężczyzna, mówiąc o kobiecie wyraża się: *biliśmy się*, znaczy to, że on często oberwał od niej. Gdyby bowiem okładali się wzajemnie, powiedziałyby po prostu: wsoliłem nieraz babie...

Po czym ciągnął dalej:

— Byliśmy związani węzłami miłości i nienawiści. Nasze kajdany były ze złota. Tak, skuwały nas złote kajdany! Nie mogliśmy się w żaden sposób obyć bez siebie. Ileż to razy splataliśmy się w spazmie upojenia i rozkoszy!

— Daj już spokój z tymi wyrażeniami z piosenek neapolitańskich.

— To ona mnie ich nauczyła. Życie moje stało się jedną męką. Nie mogłem żyć bez niej ani też z nią. Zdaje mi się jednak, że byłoby lepiej, gdybym żył bez niej. Tak twierdzili lekarze.

— Toś się nawet radził lekarzy? W ładnym zaiste stanie musiałeś się znajdować!

— Rzuć pan tę kobietę — radzili słynni lekarze chorób nerwowych (trzydzieści lirów za wizytę, w Indiach ta sama przyjemność kosztuje 2 funty sterlingi). Na próżno! Byliśmy tak sprzęgnięci ze sobą, jak dwa ostrza nożyczek.

Wreszcie pewnego dnia (mówiłem ci już, żeśmy się bili o byle drobiazg), wszedłem do domu, znalazłem na swoim łóżku jej kapelusz. Nie ma nic równie fatalnego w następstwach, jak znalezienie na własnym łóżku czyjś kapelusza. Na skutek grzecznej uwagi, którą jej na ten temat zrobiłem, zwymyślała mnie, ja jej oczywiście odpłaciłem pięknym za nadobne, po czym przeszliśmy do rękoczynów. Tego dnia rozstaliśmy się na dobre.

Zdarzało się już nieraz, żeśmy się rozstawiali po to, aby w godzinę później być znowu razem. Nie widziałem jej kilka dni.

Byłem tak uszczęśliwiony, iż zapomniałem, że nazajutrz miałem iść do lecznicy, aby tam zakończyć mój marny żywot. Życie moje się odrodziło i rozpoczęła się moja druga młodość. Chciałem w owym czasie zaznać jakichś zupełnie nowych wrażeń, aby się przekonać, że odrodziłem się istotnie. W tym celu oddałem się studiom nad inteligencją ryb morskich i rzecznych oraz nad chiromancją, która, jak wiadomo, polega na zdolności odcyfrowywania linii życia na dłoniach.

Ale i te wrażenia nie były dla mnie dość świeże i oryginalne. Kupiłem sobie poza tym tuzin gipsowych fajek i w korytarzu mego mieszkania strzelałem do nich z floweru. Czy jadłeś kiedy ślimaki? Nie? Są obrzydliwe. Czy dasz wiarę, że aby zaznać nowych emocji zacząłem pożerać ślimaki!

W ten sposób nabawiłem się tyfusu, który mnie mordował przez miesiąc. Najstynniejsi lekarze, którzy mnie leczyli, już mnie wysyłali na temat świat. No i widzisz, wylizałem się jakoś i jestem zdrow...

A jej jak nie było, tak nie było. Minęły trzy miesiące, odkąd sobie poszła. Kapelusz na łóżku przepowiedział nieszczęście z niesłychaną dokładnością...

— Przepraszam cię bardzo — przerwał przyjaciel — ale wydaje mi się, że ów kapelusz na łóżku wcale nie był powodem twego nieszczęścia. Przeciwnie! Nienawidziście się, kłóciliście się, biliście się nawet, ona sobie w końcu poszła. Czego chcesz więcej?...

— Poczekaj, pozwól mi skończyć. Pewnego wieczoru, kiedy owa kobieta usunęła się już zupełnie z moich myśli (właśnie minęły od tego czasu cztery miesiące, które mnie odmłodziły o osiem lat), powróciwszy do domu, zastałem znowu jej kapelusz na łóżku.

Wróciła.

Umilkli obaj. Właśnie znajdowali się w samym środku via Roma, gdzie jest najwięcej sztucznych świateł.

Mgła rozwiła się. Ciężkie chmury toczyły się po niebie. W górze świeciło kilka gwiazd (jasne są gwiazdy jesienne!) których chmury zapomniały nakryć. Kropił drobny deszczyk.

— Dlaczego nie otwierasz parasola?

— Aby go nie zamoczyć.

— W takim razie trzymaj go z drugiej strony. Czy nie zauważyłeś, że ciągle potrącasz nim moje nogi? Wyjdą na tym lepiej moje nogi i twój parasol.

— Do usług, ale mam na względzie jedynie mój parasol.

Wreszcie po długim milczeniu przyjaciel z prowincji zapytał.

— Dlaczego jesteś taki zgryźliwy! Czy jesteś nie-szczęśliwy?

— Niestety — odpowiedział przyjaciel z miasta. — Mam to nieszczęście, że jestem szczęśliwy.

— Wytłumacz to jaśniej.

W tej chwili pies, przypatrujący się bacznie nogom kanapy, widocznie w tym celu, aby odgadnąć jej styl, zawył na znak oburzenia.

— *Cherry Brandy?*

— Cóż to takiego? — spytał przyjaciel z prowincji.

— Rodzaj *kirschu*.

— A co to jest *kirsch*?

— Rodzaj wódki.

— Doskonale. A więc dwie!

Kiedy garson się oddalił, przyjaciel z prowincji odezwał się:

— No, odezwij się wreszcie. Mów mi o twojej utrzymanie.

Na co tamten:

— Poczekaj, aż garson przyniesie alkohol. Nie lubię, kiedy mi przerywają.

— Często tu przychodzisz?

— Codziennie.

Garson napełnił oba kieliszki gęstym płynem, podobnym do rozpuszczonego rubinu.

Przyjaciół z miasta podniósł kieliszek do ust i upuścił parę kropli na kamizelkę.

Przyjaciół z prowincji wciągnął w siebie piersi i wyciągnął szyję w ten sposób, jakby głowę podawał na ścięcie i pił, czubkiem ust, które tak ściągnął, jakby miał zamiar gwizdnąć.

— Ile się należy, chłopczyku?

— Trzy liry.

— Ależ pozwól, że zapłacę — powiedział przyjaciel z prowincji.

— Dlaczegoż to?

— Ludzie dzielą się na dwie kategorie: na tych, którzy płacą i na tych, którzy wykonują tylko gest płacenia. Ja należę do tych, którzy płacą.

I rzucił cztery liry na marmur.

— A teraz — posłuchaj. — Kobieta, w której się zakochałem po rozłące z jej poprzedniczką, była u mnie na utrzymaniu przez kilka miesięcy. Był to ideał kobiety. Wystarczała jej, jako pożywienie, kawa z mlekiem. Zdradziła mnie tylko kilka razy przez roztargnienie czy z konieczności. Raz zdradziła mnie — aby ci dać przykład — z jubilerem, który mieszkał w tym samym domu. Ale mi się przyznała z całą otwartością, że zdobyła się na przejście przez Rubikon w tym celu, aby mi móc ofiaro-

wać na imieniny szpilkę do krawata. Robią to wszak kobiety najuczciwsze.

Nie będę ci opowiadał o naszym pożyciu. Możesz je sobie łatwo wyobrazić. Nie rozchorowała się na cukrzycę z powodu przejedzenia. Przeciwnie, musiałem jej wstrzykiwać substancje odżywcze, aby ją wyleczyć z okropnej anemii, na którą zapadliśmy oboje. Ona zaś w zamian mnie robiła zastrzyki. Podobno obecnie, przez protekcję jakiegoś lekarza i akuszerki, wyspecjalizowała się w tym i bierze za jedno ułtucie lira.

— To niedrogo.

— Ten zawód zawdzięcza mojej skórze.

Ja zaś przez ten czas miałem mały harem prześlicznych kobietek. Nie wiem doprawdy, w jaki sposób udało mi się wypełnić wszystkie zobowiązania. Miałem między innymi węgierską malarzkę, *naturalnie* hrabinę, która przyjechała do Włoch, aby przestudiować tycjanowskie *błękity*. Oczywiście Turyn nie był najbardziej odpowiednim miejscem dla tych studiów, ale to mnie nie obchodziło. Miałem studentkę farmakologii, której wszyscy krewni zginęli podczas trzęsienia ziemi w Messynie (ta miała szczęście!) i u której bywałem dość często w mitej garsonierze. Byłem później jej kochankiem...

— Streszczaj się. Mój pociąg odchodzi o 9.55.

— W ogóle byłem przedmiotem słodkich miłości, jak mówi Vico o Catulli.

— Oszczędź mi cytatów!

— Moja matka była w rozpacz. Pragnęła, abym się ożenił, abym miał dzieci, abym — jednym słowem — wprowadził pewien ład do mojego życia. — W końcu odprawiłem moją przyjaciółkę, gdyż na aferze drzewnej zarobiłem parę tysięcy lirów i pragnąłem sam z tego szczęśliwego trafu skorzystać. Udałem się do pewnej miejscowości nad morzem, gdzie przebywała moja matka.

aby się z nią podzielić dobrą nowiną. Matka dowiedziawszy się, że uwolniłem się od tej kobiety, wpadła w taką radość, że, aby mnie za to wynagrodzić, z podwójną energią zabrała się do poszukiwania dla mnie żony. Pewnego dnia przy table d'hôte zwróciłem się do panienki, siedzącej naprzeciwko mnie z prośbą, aby mi podała dziadek do orzechów.

Nie masz pojęcia jaki wpływ na życie mężczyzny może mieć dziadek do orzechów.

Moja matka żyła w wielkiej przyjaźni z jej babką. Stare panie, jak wiadomo, zajmują się chętnie swataniem. Babka panienki od razu okiem znawcy oceniła mnie jako doskonały materiał na męża wnuczki. Była to panienka z prowincji, wysoka, cienka, chuda, jak cygario Virginia; jasna, ale tak jasna, iż miało się ochotę wylać na jej głowę butelkę atramentu.

Najbardziej zastanawiająca była jej chudość. Pomyśl, co za nagła zmiana dla mnie, który dotąd mierzył kobiety na metry sześcienne!

W kilka dni później, nie wiem już jakim sposobem, zaręczyłem się.

Marzyłem zawsze, że się ożenię — jeślibym miał się ożenić — z jakąś milutką kokotką. Jeśli inni byli z nią szczęśliwi — mówiłem sobie — dlaczego i ja nie miałbym być z nią szczęśliwy?

A tymczasem...

Dzień ślubu wyznaczono na samą Wielkanoc. Z okropnym żalem przygotowywałem się do zerwania z moim kawalerskim życiem, kiedy nagle otrzymałem wiadomość, że moja przyszła żona rozchorowała się śmiertelnie. Miała jakieś wspaniałe krosty na karku. Gorączka z każdym dniem zwiększała się: 38 i pół, 39, 40...

Na razie nie było mowy o operacji. Aż wreszcie wrzód zdeklarował się.

Pobiegłem co tchu do krawca, aby odmówić frak, w którym miałem brać ślub, ale był już skrojony.

Pobiegłem zatem do mieszkania chorej, a tam pokrajano także i wrzód. Chirurg, pokazując mi kawał waty higroskopijnej, pełnej jakiejś żółtej, świecącej, podobnej do brylantyny substancji, oświadczył mi, że wyszła z niebezpieczeństwa.

Przeznaczenie moje musiało się więc spełnić. Wesele odłożono na tydzień, zanim rana się nie zagoi. Byłem zgubiony! Pewnego razu, gdy siedziałem przy jej łóżku, myśląc: „Dlaczego nie zdycha?” położyła mi rękę na dłoni i powiedziała mi cichym głosem: „Miłość twoja przywróciła mi życie”.

Wtedy spostrzegłem ze zgrozą jak przede mną otwiera się przepaść. Zobaczyłem życie moje normalnie uregulowane, przewidziane w każdym szczególe, jak kariera urzędnicza. Myśl, że muszę zerwać z wesołym życiem kawalerskim, przerażała mnie. Tego rodzaju żona może zniszczyć życie człowieka — raz na zawsze.

Nadzieja, że mógłbym otrzymać rozwód na zasadzie tego, że charaktery nasze nie zgadzały się ze sobą, była absurdem, albowiem moja przyszła małżonka była wcieloną dobrocią, sprawiającą wprost obrzydzenie. Szaleństwem było spodziewać się, że mnie zdradzi, gdyż była za głupia. Czekać więc, aż mnie będzie miała dosyć? Zbyt długo nie wierzyła w to, że znajdzie męża... Jakże się go mogła od razu wyrzec? Czekać, aż umrze? Marzenia ściętej głowy! Rodzina jej dawała zastanawiające przykłady długowieczności. Wymieniają ją w dziełach przyrodniczych. Jeśli życzysz jednemu z nich: „Żyj sto lat”, obraża się tak, jakbyś mu powiedział: „Bodajbyś zdechł!”

Długowieczność krokodyli, papug, słoni, łabędzi, żółwi,

wielorybów jest fraszką w porównaniu z ich długo-wiecznością.

W miarę jak zbliżał się dzień egzekucji, wzmagająca się moja tęsknota za utraconą młodością, którą pragnąłem ocalić za wszelką cenę. Ale matka moja była nie ubłagana.

Wreszcie pewnego dnia, gdy czułem, że nic mądrego nie wymyślę, wydało mi się nagle, że znalazłem rozwiązanie tej kwestii. Uważaj dobrze na to, co ci powiem. Postarać się miałem o uczynienie mego pożycia małżeńskiego tak nieszczęśliwym, abym miał prawo przeciąć je przez rozwód albo w najgorszym razie unieszkodliwić przez legalną separację".

— Zrozumiałem.

— Powtórz więc.

— Postarać się o to, aby małżeństwo twoje było tak nieszczęśliwe, abys mógł je przeciąć przez rozwód lub separację.

Separacja posiada tę wyższość nad rozwodem, że unieważnia powtórne wejście w związki małżeńskie, czyli powtórzenie dawnych błędów.

— Uczynić moje małżeństwo nieszczęśliwym! Zdanie to prześladowało mnie, stało się jakąś *idee fixe*. Powtarzałem je sobie bez końca, wypisywałem na wszystkich skrawkach papieru, które mi wpadły pod rękę, miałem zamiar kazać je nawet wryć na pieczęci.

Kiedy zastanawiano się nad tym, jakich wybrać świadków do ślubu, doznałem jakby jasnowidzenia.

Wybrać do tej funkcji czarownika, jednego z tych, którzy wchodząc do czyjogoś mieszkania, powodują wybuch gazu oraz śmierć jednego z członków rodziny.

— Wierzysz w złe oczy?

— Czy w nie wierzę?. Gdy postuchasz do końca mojej historii — i ty w nie uwierzysz.

— Ależ to są bajki o żelaznym wilku!

— Istotnie. Jednak nie można zaprzeczyć ich istnieniu. Tak dzieje się nieraz z tymi, którzy są pod obserwacją lekarską, bo byli ugryzieni przez psa. Tak się obawiają wścieklizny, że sami stają się wściekli.

— Mów dalej. Mój pociąg odchodzi o 9.55.

— Znalazłem z łatwością czarownika o złych oczach. Był to nauczyciel gimnastyki, który miał rok rocznie pośród swych uczniów przeciętnie trzy wypadki śmierci i około 11 połamanych żeber. Twarz miał odrażającą. Podobny był do kata z okładki historii o Beatrix Cenci. W porównaniu z nim byłem wprost powabny. Ty zaś jesteś *Apollem Belwederskim*, *Madonną* Rafaela.

Nos miał czerwony, obsypany krostami tak, jakby był uwikłany w krzew róży, a reszta jego twarzy była zielona jak bilard. Jeśliby go spotkał amerykański impresario, zaproponowałby mu *tournee* po całym świecie. Był to znakomity typ chorego na złą przemianę materii, taki, jakiego przedstawiają na ostatniej stronie gazet, aby wywołać uczucie strachu u zdrowych. Spojrzenia jego nie da się opisać: było dzikie, ponure, przejmujące; na pewno w jego rodzinie musiały się znajdować mały...

— Streszczaj się! Mój pociąg...

— Odchodzi o 9-ej,

— Minut 55.

— Gdy go poprosiłem, aby był moim świadkiem podczas ślubu cywilnego u burmistrza, przyjął skwapliwie moją propozycję.

Byłem rozpromieniony jak reflektor. Ten człowiek był wszak najznakomitszym typem czarownika o złych oczach. Ile razy go spotkałem na ulicy, miałem wrażenie, że tego samego dnia spotka mnie nieszczęście.

Narzeczona odezwała się do mnie nieśmiało:

— Słyszałam, że ten pan nie przynosi szczęścia...

Ale zaprzeczyłem z oburzeniem:

— Nie wierzę w te przesady!

Nazajutrz, wyświeżony i wystrojony jak baranek wielkonożny, pojąłem za żonę tę panienkę z woli boskiej, a z pomocą mojej matki i jej babki.

Świadek ze złymi oczami stał między nami.

Nie znam nic bardziej ponurego niż obrządek ślubny. Przecież jest jota w jotę podobny do pogrzebu! Ci ludzie, którzy nam w milczeniu ściskają rękę. Kwiaty, świadkowie ubrani na czarno, matka ocierająca łzy, jakby jej córka miała się poddać najdzikszej operacji; księgi, w których trzeba się podpisać; drab, odczytujący jakieś paragrafy prawa, z których nie można zrozumieć ani jednej sylaby; ksiądz, który błogosławi; grzmiące organy, zawodzący śpiew, powozy na gumach... Pamiętam doskonale pewien szczegół; oto jegomość, którego spotkaliśmy po drodze, a który miał krótki wzrok, na nasz widok zdjął z głowy kapelusz...

Świadek, siedzący w karecie naprzeciwko mnie, obok narzeczonej, uśmiechnął się ironicznie. Udając, że mi ciasno, nacisnąłem jego kolana tak, aby dotykał kolan mojej narzeczonej. Czy zrozumiał mój manewr? Pragnąłem przyspieszyć przewidywane działanie za pomocą fatalnego kontaktu.

Podczas uczytu weselnej — trunki i przemówienia.

Nie sprawdziłem tylko, ile było w następstwie gorączek gastrycznych.

— W jakiej restauracji odbywało się przyjęcie?

— Nie pamiętam jak się nazywała. Musiano ją zamknąć w tydzień później na skutek pożaru i bankructwa. Gospodarz wpakował sobie sześć kul do mózgowicy i po dwóch tygodniach ciężkich cierpień, które znosił z chrześcijańską pokorą, wyzionął ducha. Sieroty włóczą się i żebrzą

po świecie, a wdowa sprzedaje na ulicy wykałaczkę. Jest to fach, który przynosi dentystom duże korzyści materialne.

Tego samego dnia wyjechaliśmy w podróż poślubną.

— Do Rzymu?

— Tak. W wagonie miałem ochotę kilkakrotnie pociągnąć za dzwonek alarmowy.

Z Genui do Sarzany liczyłem tunele. Było ich siedemdziesiąt trzy. Gdyśmy minęli Sarzanę, zabrakło nawet tej niewinnej rozrywki.

W Rzymie stanęliśmy w Hotelu Bebecchino, który słynie z grzesznych rozkoszy. W tym to hotelu narzeczona została moją żoną.

Po dokonaniu obrządku zgasiliśmy światło, a wtedy opowiedziała mi od początku do końca treść *Chały wuja Toma*.

Gdy nazajutrz zapytałem ją, jak się czuje, odpowiedziała mi, że babka jej powtarzała: "Bądź odważna, w danym momencie pomyśl o babce". Więc w danym momencie myślała o babce i była odważna.

Właściwie i ja w danym momencie myślałem o jej babce. Sądzę, że doznałbym przy jej boku podobnych sensacji.

Potem poszliśmy do Panteonu i przy grobach królewskich wpisaliśmy nasze nazwiska. Potem kupiliśmy nóż do przecinania papieru, z dziurką, w której widać Colosseum z lwami pożerającymi chrześcijan; wreszcie powróciliśmy do Turynu. Pociąg przyszedł punktualnie co do minuty.

Nasz miódowy miesiąc minął bez żadnych nadzwyczajnych przygód.

Szczęście trwało sześć miesięcy, osiem miesięcy, rok, półtora roku...

Nie biliśmy się ani razu.

Żona moja, zamiast serca, ma karmelek. W nocy nie śpi z lęku, że może mi się przytrafić coś złego.

— Przeciwnie, moja chrapie, jak stary pijak.

— Odgaduje moje myśli! Kiedy mam ochotę na jeszcze jedną łyżkę sosu lub na kilka winogron, zanim mam czas otworzyć usta, już mam przed sobą pełen talerz.

A wtedy na złość odsuwam talerz i odehciewa mi się jeść.

A ona mnie przeprasza.

Czy pamiętasz wykłady Lombrosa z Manicomio? Pokazywał nam kobiety zastygające w tej pozycji, w jakiej je ułożyliśmy. Taką kobietą jest właśnie moja żona. Jeśli jej powiem: „poczekaj na mnie w tym miejscu”, pozwoli się przejechać przez samochód, ale nie ruszy się ani na krok. Jest tak dobra, iż ma się ochotę ją bić za tę dobroć. Jest tak cnotliwa, iż pragnie się sprowadzić jej do domu paru mężczyzn.

— Przesadzasz!

— Zrobiłem to. Wierniejsza jest od zabalsamowanego psa. Przedstawiłem jej moich najlepszych przyjaciół. Wyzuciła ich za drzwi.

Przyprowadziłem jej pewnego kapitana-kawalerzystę, któremu uwiodłem żonę, o czym wiedział zresztą.

Nic!

- Skończyło się na tym, że musiałem się pojedynkować z kapitanem z powodu policzka, wymierzonego mu przez moją żonę, kiedy ją złapał, już nie wiem za co.

Prowadziłem ją do takich teatrzyków, w których można przejść kurs techniki cudzołóstwa. Ale ona wołała cyrk wędrowny.

Posłałem ją samą do kąpieli morskich. Jest to środek, który w tych wypadkach zawodzi raz na sto razy. Otóż to był właśnie ten jeden raz, kiedy środek zawiódł. Przyjechała tak opalona przez słońce, jak stara fajka i tak

nienaruszona, że z łatwością można było palić z niej na nowo.

Pisywałem sam do siebie listy podpisane: „twoja Ruru”, albo: „mała Gogo”, albo jeszcze: „twoja mała Zuzu, która cię gryzie”.

Ale ona nigdy sobie by nie pozwoliła na to, aby plądrować w moich kieszeniach.

Starąłem się ją rozgniewać, wtedy mnie przepraszała.

W ciągu dziesięciu lat nie mogłem znaleźć powodu do sprzeczki.

Można się wściec!

Lepsze byłoby krzesło elektryczne!

Czasem wieczorem wracałem do domu — albo, właściwie mówiąc, przynoszą mnie do domu, pijanego jak stróża. Ona już czeka z ciepłym rumiankiem, z gorącymi okładami, z pęcherzem pełnym lodu, z amoniakiem. Nazajutrz rano, szepce mi słodko do ucha: „wczoraj wieczór nie czułeś się dobrze...”

Nie wierzę, żeby mi miał pomóc czas, albo żeby starość przyniosła ulgę. Kobiety zazwyczaj w miarę jak się starzeją, stają się egoistkami i tracą pobłażliwość. Przeciwnie, ona jest jak wino, które im starsze, tym jest lepsze.

A teraz mi powiedz, powiedz szczerze, czy nie mam racji, że przeklinam świat i życie, że deptę po nogach ludzi, którzy stoją przy mnie w tramwaju, że pluję do skrzynek na listy, że biję dzieci, które mi się plączą między nogami.

— Nie lubisz dzieci?

— Nienawidzę ich.

— A kochasz psy?

— Naturalnie. Bo psy pozostaną psami, a z dzieci wyrosną ludzie.

O 9-ej min. 55 przyjaciel odjechał.

— Jednej rzeczy tylko nie mogę zrozumieć — powiedział przed odjazdem. — Jeśli twoje małżeństwo jest tak pogodne, ów słynny czarownik ze złymi oczami nie przyniósł ci nieszczęścia. Przeciwnie — przyniósł ci szczęście!

Na co tamten odpowiedział z pianą na ustach:

— Jedź już! jedź już na wieś, ty ośle! I tak nigdy nic nie zrozumiesz!

Jąkanie

— Tak, proszę pani. Skończyłem prawo, ale nie zajmuję się adwokaturą. Są mi wstrętne dwa zawody: być adwokatem i być praczką. Aby być adwokatem, trzeba być kłamcą i złodziejem, a ja jestem tylko kłamcą.

— A kto jest tylko kłamcą, ten nie mógł wybrać lepszego zawodu jak pański: poezji — odpowiedziała pani. — I ja także skończyłam prawo. Wie pan?

— Wiem i nie rozumiem tego. Kobieta jest z natury adwokatem. Jej metryka jest już sama w sobie dyplomem prawnym. Kobieta zna instynktownie przebiegłe kruczki, fałszowanie dowodów, podmawianie świadków, wykręty *alibi*. — I cóż pani znalazła w aulach uniwersyteckich?

— Znalazłam męża. Kiedy studiowałam prawo, zajmowałam się wszystkim, tylko nie kodeksami. Uczęszczałam na wydział filozoficzny i medyczny, i słuchałam wykładów profesora Mętlikowskiego-Ljanowicza, bo interesowała mnie psychologia eksperymentalna. Pewnego dnia przekonałam się, że interesuje mnie także profesor. I wyszłam za niego.

Profesor Mętlikowski-Ljanowicz uśmiechnął się rozczulony.

Poeta podał pani domu złotą papierośnicę, następnie profesorowi i zamknął z dyskretnym miękkim szmerem.

— A pan, Laurenzi, nie pali?

— Nie palę.

— A ma pan zawsze przy sobie papierosy!

— Skoro ja nie palę, nie byłoby sprawiedliwe, gdybym innych tego pozbawiał — odparł poeta ze źle ukrywaną afektacją. — Tym bardziej, że mam wspaniałą papierośnicę do pokazania. Podarowała mi ją pewna księżna duńska. Cóż! Ilu ludzi posiada koncertowy instrument, a nie umie grać, albo bibliotekę, której nigdy nie otwiera, albo kobietę, która ich nie kocha?...

Słynny profesor Mętlikowski-Ljanowicz był jednym z tych uczonych, których Jan Papini nazywał wyrobnikami psychologii.

Prowadził doświadczenia nad jąkaniem z pomocą mniej słynnego asystenta, a książka, która lada chwila miała wyjść z ich rąk, miała mu otworzyć wrota Akademii.

Doświadczenia nad jąkaniem pochłaniały całą jego energię, zabierały mu wszystkie godziny dnia, zaprzątały jego uwagę, gdziekolwiek się znajdował. W tramwaju, u fryzjera, w teatrze — przysłuchiwał się on rozmowom bliźnich, a gdy trafił na jąkałę, chwycił go w lot i zapraszał do swego gabinetu.

Wśród białych ścian, zimnych od emalii i surowości, wielu włóczęgów znajdowało bez trudu małą kopalnię złota. Trzeba było tylko dławić się jakąś sylabą lub zahaczać o jakąś oporną spółgłoskę.

W redakcji pewnego dziennika, Mętlikowski-Ljanowicz poznał młodego poetę Laurenzi'ego i błagał, aby go odwiedził.

Gabrio Laurenzi jąkał się nieznacznie; było to jąkanie sympatyczne, zajmujące, które nadawało coś oryginalnego i bardzo swoistego jego głosowi i wymowie.

Panie się tym bawiły, panny naśladowały go przez kokieterię. Ze stanowiska naukowego był to — co się zwie — „prześliczny wypadek”.

— Niech pan przyjdzie do mnie — prosił profesor. — Będę pana obserwował o wiele lepiej, niż w gabinecie. Będę mógł to robić, gdy tego nie spostrzeżesz. Przyjdzie pan?

— Oczywiście.

— Jutro, na śniadanie?

— Jutro.

Młody poeta posłał do willi uczonego Polaka duży pęk kamelii. Przybył w rękawiczkach antylopowych, koloru *acajou*, jak jego wielkie oczy i bardzo długie włosy.

Uśmiechnął się do pani Zuzanny Mętlikowskiej-Ljanowicz najpiękniejszym ze swych uśmiechów.

Przez wiele dni, poeta wchodził do willi profesora — willi kokieterijnej jak więzienie — niosąc swój uśmiech, swe interesujące jąkanie i swe rękawiczki antylopowe, koloru *acajou*, zaś jego przyjście było poprzedzane regularnie przez bukiet kamelii.

Dzieło profesora dowodziło, że jąkanie jest przerywanym stanem periodycznej niemocy, w której pogrążony jest centralny system nerwowy, niezdolny rozkazywać organom dźwiękowym.

Wada ta jest nader łatwa do wyleczenia.

Po półgodzinnej rozmowie z jąkałą — jąkamy się sami. Oddaliwszy się od niego, już się nie jąkamy.

Zwykle jąkanie zwiększa się, gdy jesteśmy ogarnięci nieśmiałością, obawą, zmieszaniem, albo też po prostu kiedy się wzruszamy.

W rzeczy samej, gdy stajemy się bardziej poufali z osobą, która nas zrazu onieśmiela, defekt się zmniejsza — i osobnik nabiera, jeżeli nie zupełnie swobody wyrażania się, to co najmniej — znacznej pewności.

„Jąkanie jest odwrotnie proporcjonalne do poufności i wprost proporcjonalne do nieśmiałości”.

Rozumie się, że argumentacja tak ważka nie wynikała z ubóstwa języka.

Tom, ważący 900 gramów, był wystawą próbek wszystkich języków martwych i wszystkich języków żywych.

Na każdej stronie był jeden wiersz druku prostego i wyraźnego oraz reszta odnośników, wielce uczonych, najeżonych skrótami, nawiasami, formułami matematycznymi.

Dzieło składało się z pięciu części.

Część pierwsza: Wstęp.

Część druga: Jąkanie poprzez stulecia.

Trzecia: Jąkanie i otoczenie społeczne.

Czwarta: Czy jąkanie jest zaraźliwe?

Piąta: Profilaktyka, diagnozowanie i leczenie.

Profesor robił właśnie korektę, gdy asystent przygotowywał analityczny spis rzeczy.

Ponieważ dzieło o jąkaniu zakończyło już swoją fazę w życiu profesora, przeszedł on do innych badań: o anormalności powonienia. Pożegnał wszystkich jękałów i nappełnił gabinet swój dziwnymi osobnikami, którzy wąchając fiołki parmeńskie, czuli odór zmokłego psa, i wykrzywiali okropnie usta przed flakonem perfum „Chevalier d'Orsay”.

Poeta nie przysyłał już kamelii pani Zuzannie i nie był zapraszany na śniadania. Ani nawet na podwieczorki.

Jednakże pani spotkała go raz w *Lyceum*, podała mu rękę u Latour'a i porozmawiała w hotelu Excelsior, gdzie

krawiec paryski Lewis urządził wystawę wspaniałych letnich modeli.

— Mam dla ciebie ukłony od p...ety Laurenzi'ego.

— Dziękuję, kochanie — odpowiedział profesor, unosząc lewe oko znad mikroskopu, pod którym badał kawałek ephitelium powonieniowego. — Ale... czyż i ty się jąkasz?

— Co znowu? Robię to przez żart. — Czy idziemy dziś do teatru Quirino?

— Kto gra?

— Tina di Lorenzo i Armando Fa...lconi — odparła, rumieniąc się.

— Co dalej?

Pani Zuzanna chciała odpowiedzieć „Drabinkę jedwabną” Chiarelli'ego, ale się nie odważyła, więc odpowiedziała ostrożnie:

— Ech!

I odeszła do swego pokoju. Profesor pozostał w laboratorium, z okiem nad soczewką mikroskopu.

— Także w innych formach patologicznych — myślał, badając kawałeczek ephitelium powonieniowego — spotykałem zboczenia podobne, jeśli nie identyczne. Może preparat mikroskopowy nie udał się. Hm... Moja żona spotkała adwokata Laurenzi'ego, poetę. Spróbujemy zabarwić mocno tę komórkę. Moja żona się jąka. Adwokat Laurenzi się jąka. Zarodek komórki przedstawia rozgałęzienia nitkowate. Torebka natomiast... Moja żona się jąka. Jest to jąkanie, które nazywamy gatunkiem trzeciego stopnia. Widocznie spotkanie z poetą było bardzo serdeczne i adwokat musiał mieć dużo do po-

wiedzenia, skoro defekt jego nabrał takiego natężenia, że udzielił się mojej żonie. Trzeba namaścić śrubki tranem. Reasumując, ephitellium powonieniowe osobnika rodzaju męskiego, z komplikacjami... Moja żona kocha adwokata. Liczne komplikacje dziedziczne. Adwokat kocha moją żonę. Od niedawna. Jąkanie jest wprost proporcjonalne do wzruszenia. Wzruszenie gwałtowne. Jąkanie gwałtowne. Gwałtowna zaraźliwość. Dobrze będzie, jeśli obniżę temperaturę, w której dokonuje się zabarwianie mikroskopowe, oczyszczę soczewkę i przypilnuję moją żonę.

Profesor Mętlukowski-Ljanowicz spędził połowę życia w Polsce, a połowę — nad mikroskopem, dzięki czemu stracił prawie zdolność widzenia w jednym oku. Skutkiem pozycji głowy, wąsy nabrały — w stosunku do twarzy — kierunku południowo-zachodniego. Wąsy wisiały nad płótem długich i rzadkich zębów, jak w złamanym grzebieniu. Czaszka nie była nadto chroniona przed promieniami słońca. Mówią, że pewne ptaki — marabuty — mają cztery włosy na czaszce. Profesor miał ich pięć.

Kochał żonę, ale bez uniesień, bez namiętności, bez wściekłej zazdrości. A przecież była kobietą zasługującą na uwielbienie.

Zuzanna czesała się z przedziałem po środku, z dwiema gładkimi wstążkami włosów, które jej zakrywały uszy jak na portrecie Lukrecji Crivelli Leonarda da Vinci. Podkreślała oczy tuszem i wyrwała sobie dwa włoski, rosnące w łukach brwi jak kępki traw poza klombem.

Suknie jej były proste, bowiem jej piękność nie wymagała retuszu.

Subtelna, zwinna, wysmukła — jak laseczka spacerowa — miała jednakże biodra jak grecka amfora —

i piersi dzwoniące dyskretnie pod krepdeszynową koszulą.

Był to typ kobiety na użytek letni.

A rzecz działa się w czerwcu.

A adwokat Laurenzi nie miał kochanki.

Miał jednakże ur,oczą garsonierę. Wszyscy to mówili.

Nazajutrz po spotkaniu na pokazie mody paryskiej, mówiła to także pani Zuzanna Mętlukowska-Ljanowicz.

— Jakież długie nazwisko — uśmiechnął się adwokat — dla tak subtelnej kobiety.

— Tak. Nieprawdopodobnie długie — zgodziła się pani. — Gdyby pan wiedział, jak pragnę czasem, żeby mnie nazywano krótko, na przykład: — Maria. Nie! Nawet nie: Maria! Chciałabym mieć imię jednosylabowe, jak kobiety japońskie: Lu, Czu, Ni... Jakżebym kochała mężczyznę, który by mówił do mnie: Ni.

— A mąż jak panią nazywa?

— Niech pan każe pokojówce podać mi szklankę wody.

— Może piwa?

— Nie znoszę piwa. Mąż tak mnie nim raczył, kiedy byliśmy w Frankfurcie! Studiował tam chrząstki ogonowe ludożerców z wysp Fidzi. — Niech mi pan każe przynieść dużą szklankę wody — bez cukru, bez soku, bez konfitur, bez łyżeczki, bez serwetki, żeby krople ściekały po palcach.

Zjawiła się pokojówka. Pan wydał rozkazy.

— To, co panu mówiłam o dziejach mego małżeństwa, nie jestem prawdą. Nie kochałam nigdy męża.

Był kolegą mego ojca.

Ja studiowałam prawo.

Rodzice wiedzieli, że jest bogaty i że mu się podobam (co za łaska!), i zaplanowali małżeństwo. A obawiając się, że gdybym na niego spojrzęła jako na przyszłego męża, wzdygnęłabym się ze zgrozy — prosili, abym uczęszczała na jego wykłady. Ponieważ był kolegą ojca... Są drobne przysługi, które nic nie kosztują — a podtrzymują przyjaźń. Żeby nie sprzeciwić się papie, chodziłam na te wykłady. Ileż tam widziałam gilotynowanych żab! Zaszczycając mnie specjalnymi względami, chciał zawsze, żebym dotykała zimnych mózgow, i żebym patrzyła przez szkła tych jego rur, przez które nigdy nic nie widziałam.

Po kilku miesiącach, gdy się już przyzwyczałam do jego brzydoty, zaczęto napomykać o małżeństwie. Przygotowania nie były ani krótkotrwałe, ani niedoświadczone. Propozycje małżeńskie są podobne do telegramów, które donoszą o śmierci bliskiego krewnego. Najpierw się telegrafuje: „Zachorował ciężko, przybywaj natychmiast”. A kiedy przybywasz, zastajesz trupa w rozkładzie.

Mówi się: „Ten a ten chciałby cię poznać, posłuchać twojej muzyki...” Lub też: „Niejaka panna N. pragnęłaby, abyś jej się wpisał do albumu, abyś jej polecił jakąś dobrą książkę...”

A kiedy już znajdziesz się w towarzystwie osoby o tak skromnych wymaganiach, jesteś zaręczony.

— Czy pani — zapytał Gabrio — nie powiedziała rodzicom, że nie może pokochać tego uczonego?

— Czy nie powiedziałam!?!... Wie pan, co odpowiedzieli? Istnieje niewzruszona formuła w tych wypadkach: „Miłość przyjdzie później, z pożyciem małżeńskim, wyniknie z wspólnego przebywania...”

Naiwni! Robią jak ci, co kupują owoce zielone, aby

dojrzały w kredensie. Mąż i żona, zamiast się kochać, są sobie wstrętni — a owoce, zamiast dojrzewać, gniją. — Ach, oto woda! Dziękuję. A to — co to jest? *Plum-cake*? Przepadam za tym! I figi indyjskie! Figi indyjskie — w lecie!

— Przynieś nóż — rzekł Gabrio do roztargnionej pokojówki, słuchającej rozumowań Zuzanny.

Służąca przyniosła dwa zgrabne nożyki i podała je panu, gestem Tetydy, wręczającej Achillesowi broń ukutą przez Wulkana.

I wyszła z godnością.

Podczas gdy Gabrio i Zuzanna oddają się jedzeniu, rzućmy okiem na lokal.

Garsoniera, drugie piętro, trzy pokoje, łazienka, używalność kuchni, telefon (20-174), winda, centralne ogrzewanie, widok na jedną z centralnych ulic dzielnicy Ludovisi, *dormeuße* z licznymi poduszkami na ścianach — lubieżne sztychy Hokusaja i Utamara; niski stolicek; biurko — lekkie i zgrabne; fortepian — niepokieszenie milczący, ale ukwiecony jak balkon; półki pełne złoconych książek i tak pięknie oprawnych (w safian), że szkoda je otwierać i czytać. W rzeczy samej...

Lwie skóry o autentycznych głowach i ziewających przełykach. Dywany pochodzące z Teheranu (czy ze Smyrny?). Portrety sławnych niewiast z autografami. (Zbyt wiele sławnych niewiast, zbyt wiele autografów. Wygląda to na wystawę perfumerii, gdzie widnieją wody wdzięczności „za doskonałe perfumy, bez których absolutnie nie można się obejść...”).

Lustra — wysokości człowieka, a raczej — kobiety.

Lampa — z efektami świateł.

Roślina egzotyczna. Kaktus? Calceolaria? Baobab?

Profesor Mętlikowski-Ljanowicz mógłby to objaśnić. Ale na razie, i na szczęście, nie ma go tutaj.

Jest teraz w laboratorium; dokonuje ważnych doświadczeń nad *sokodu*, chorobą Dalekiego Wschodu, spowodowaną przez ugryzienie myszy, oraz nad *tsi-gamatchi*, chorobą pochodzącą od zepsutego ryżu.

— Uwielbiam figi indyjskie — cieszy się, jak dziecko, Zuzanna — ale chcę je obrać sama.

— Ukłuje się pani...

— Ale gdzież tam! Rzeczy słodkie są słodsze, jeśli je zaprawić niebezpieczeństwem. Dobra jest ta figa indyjska. Chce pan ugryźć?

— Po pani.

Ugryzła.

Ugryzł.

— Ach! — krzyknęła pół-żartem a pół-serio Zuzanna. — Kolec, tutaj! Wyciągnij mi go pan, zanim wejdzie w ciało. Czy nie ma pan szczypczyków? Nie? Niech pan spróbuje zębami!

Gabrio zaczął wyciągać zębami kolec z palca pięknej pani.

Kolec wyszedł z łatwością, ale palec (i dziewięć jego towarzyszy), powracał kilkakrotnie do ust młodzieńca. Od palca Gabrio przeszedł do dłoni, a potem... Rozzuchwalony objął panią wpół i ucałował w usta.

— Za co mnie pan bierze? — oburzyła się pani, powstając.

— Za pasek.

— Proszę nie robić dowcipów, słyszałam to już od innych! Za kogo pan mnie uważa?

— Za najpiękniejszą kobietę na świecie!

- I to już wyszło z mody! Pan jest szalony! Gdyby tutaj był mój mąż!
- Nie ma go.
- Och, może pan prosić Boga, aby mąż nie przyszedł.
- Boże, proszę Cię, aby nie przyszedł!...

Tego dnia nie zdarzyło się nic, absolutnie nic z tego, co w komediach dzieje się w antraktach, a czego w powieściach trzeba się domyślać pomiędzy jednym rozdziałem a drugim, dzięki białej stronicy lub gwiazdkom.

Jako dowód niech starczy list, otrzymany nazajutrz przez panią Zuzannę.

Przyjaciółko,

w moim pokoju pozostał jeszcze zapach Pani, zapach młodej kobiety, który mnie przyprawia o zawrót głowy.

Zapaliła Pani we mnie żądze, a gdy ogień pożądał stał się nie do zniesienia, odeszłaś, jak nieprzyjaciółka.

Dlaczego?

Pani! To, czego chcę od ciebie, nie jest dreszczem, którego wszyscy mężczyźni żądają od wszystkich kobiet. Nie. Chcę Cię tylko całować. Pocałunek — to jedyna rozkosz, jakiej żądam od Pani. Chcę całować Twoją szyję, Twoje ramiona, piersi... Kto wie, dokąd bym zaszedł, gdyby tak kartka nie kończyła się tutaj...

Czekam jutro o trzeciej.

Addio. Oddaję Pani pazurkom moje bezbronne ręce.

Gab.

Zuzanna, poprzez przejrzysty papier, przypatrywała się filigranowej karcie listu — i położyła go na kryształowym stoliku w łazience. A tymczasem woda, sącząca się do wanny, napełniała pokój dźwiękiem, porannym słońcem i parą.

— Nie pójdę — myślała, wyciągając się w wannie.

— Nie pójdę — powtórzyła w myśli w dziesięć minut później, kiedy — ociekająca wodą — wychodziła z wanny.

— Nie idę — upierała się jeszcze o godzinie wpół do trzeciej, wdzierając lekki kostium z białej wełny, który Gabrio nazywał „boule de neige”.

Podczas śniadania nie mogła wymówić słowa „patetyczny”.

Poprzedniego wieczoru — dwa wyrażenia wyszły z ust jej nieco okaleczone: *kandelabry* i *figa indyjska*.

Profesor natychmiast wyciągnął z tego dokładne wnioski.

— „Przedwczoraj zająknęła się trzy razy. Wczoraj dwa. Dziś raz. Oczywiście, że jej wzruszenie znika. Było to może niespodziewane, krótkotrwałe wzruszenie. Nic groźnego. Gdyby on ją kochał, jąkałaby się coraz więcej. Wobec pomyślnego stanu, w jakim jest dzisiaj choroba, można określić ją prawie jako wzajemną obojętność”.

Nastroszone brwi wygładziły się, wąsy podniosły się z nad zeszytu i uśmiechnęły do Zuzanny.

— Teraz zostawię Cię, najdroższa. Czekają na mnie w senacie. Wrócę wieczorem, po ósmej piętnaście.

I wyszedł.

Służący zabrał jego serwetkę, złożył ją starannie, a służąca podała pani kawę.

Zuzanna sama w jadalni, rozciągnęła się na otomanie i zapaliła lekkiego papierosa.

„Gabrio — myślała — ma prześliczne ręce. Wydają

się rękami kobiety, i to kobiety o pięknych dłoniach! Ma dołek w podbródku, jak Baudelaire. I jest poetą. Ale choć jest poetą, ma tyle dobrego gustu, że nie czyta mi swoich wierszy, ani nawet poematu „Flirt ze śmiercią”, o którym mówią, że jest bardzo ładny. Poeci wydają nam się jeszcze bardziej poetyccy, gdy nie czytają nam nic ze swojej twórczości.

„Gabrio mówi mało. My, kobiety, w pewnych chwilach rozkoszujemy się ciszą. O ileż są miłsi od innych ci, którzy nie gadają o miłości, nie psują jej głupstwami i komentarzami, nie profanują jej przenikliwością. — Która godzina?...”

Wszedł służący.

— Możesz sprzątnąć ze stołu. O trzeciej sprowadzisz taksówkę.

— Otwartą?

— A gdzie znajdziesz zamkniętą — latem?

Siedząc przed swoim laboratorium kokieterii (ileż buteleczek perfum i różnorodnych pudełek pudru!) zastanawiała się nad pytaniem służącego.

— „Otwartą?”

Sprytny młodzian. Trzeba będzie go odprawić.

Gabrio Laurenzi powtarzał tymczasem, po raz sześćdziesiąty, na głos, z kamykiem w ustach, wiersze pełne niewymawialnych spółgłosek, które napisał, aby poprawić swoją wymowę.

Pomimo tej anomalii, kobiety bardzo go ceniły. Musząc używać ograniczonej liczby słów, wyrażał swe myśli w sposób zwięzły, syntetyczny. W chwilach większego wzruszenia — milczał, a milczenie jego zdawało się być oznaką jeszcze większego wzruszenia.

O trzeciej automobil czekał dygocąc w ogrodzie willi.

O tej samej godzinie Gabrio czekał dygocąc, nie tak jak automobil, ale podobnie.

W pół godziny później, taksówka nie dotarła jeszcze do domu Gabria.

Kiedy kobieta przybywa na schadzkę o pół godziny później, znaczy to, że zatrzymała ją chęć uczynienia się piękniejszą, wdziania cieńszej bielizny i prowokujących pończoch.

Ale nie bójcie się!

Czas stracony powetuje sobie, skracając zwłokę w oddaniu się...

Bez długich ceregieli Zuzanna pozwoliła zdjąć sobie kapelusz słomkowy ozdobny piórami *cacatoa*.

— Podnieć rolety, mój przyjacielu. Lubię światło.

— Nie, droga przyjaciółko. Prawnicy, jak to pani lepiej wie ode mnie, mówią, że otwarte okno powiększa przestępstwo.

— Co to znaczy?

— Że czyni je groźniejszym.

Gabrio i Zuzanna całowali się zapamiętale.

Pomiędzy firankami igrał promień słońca i padał na różę, pochyloną na brzeg pompejskiego wazonu, jak gdyby proszącą o światło.

Koszula Zuzanny zapięta na ramieniu, składała się z dwóch części, przedniej i tylnej, oddzielonych aż do pasa. Dość było przewyciężyć opór guzików (opór kobiety już był przewyciężony), by obie części opadły po obu stronach.

Ciało wyłoniło się z nich białe i nagie, jak banan ze swej łupiny.

Była czwarta.

— Dzisiaj, dla odmiany, mnie wbił się kolec — rzekł Gabrio — ale nie w palec u ręki.

— Czyżby poeci brali figi palcami u stóp?

— Mężczyźni, moja droga, w odróżnieniu od kobiet, mają o jeden palec więcej. Jest to szczególny palec, zwany największym palcem wskazującym i znajduje się on mniej więcej w połowie drogi między męskimi palcami u rąk a palcami stóp. Mniej więcej w połowie, gdyż zależy to od tego, jak wysoko w danym momencie trzyma się ręce. Kolec wbił mi się w ten właśnie palec.

— Co za dziwne zwyczaje kulinarne? Jadać figi jedenastym palcem? To grzech przeciw jedenastemu przykazaniu. Ale pozwól, że go obejrzę.

— Nijak nie mogę go odnaleźć — powiedziała po chwili — rejon poszukiwań ciągle się powiększa i będę chyba musiała użyć wczorajszej metody: przy braku szczypczyków, wyciągnę go zębami.

Ustne poszukiwania kolca trwały kwadrans. Przez ten czas pani Zuzanna Mętlikowska-Ljanowicz nie wypowiedziała ani jednego słowa, co mogło przemawiać przeciwko znanej tezie o kobiecej gadatliwości.

Później zaczęły się obopólne, długie poszukiwania czegokolwiek.

O wpół do ósmej, pani Mętlikowska-Ljanowicz wróciła do domu, przyrzekłszy Gabriowi, że przyjdzie na jutro.

Oczekując chwili obiadu myślała:

„To, czego chcę od ciebie, nie jest dreszczem, którego wszyscy mężczyźni żądają od wszystkich kobiet. Nie. Chcę tylko całować twoją szyję, twoje ramiona, piersi...”

Wszyscy mężczyźni — komentowała Zuzanna — przysięgają, że poprzestaną na tym, ale potem chcą więcej... Wszyscy mówią tak, i wszyscy po to, aby mieć to samo...

— Zresztą — skonkludowała — jest to sprawiedliwe. Bo skoro wszyscy chcą tego samego, byłoby absurdem, gdyby używali różnych słów.

— Dobry wieczór, Zuzanno!

— Dobry wieczór, Koko!

Profesor ucałował żonę w czoło z nieokreślonym niepokojem.

Zuzanna była piękniejsza niż zwykle.

Kobiety nabierają tajemniczej urody po grzechu dokonanym w radości.

Była szczebiotliwa, zabawna. Przeskakiwała z jednego tematu na drugi, zwinna, wymowna, pełna kwiecistej ironii i blasku kalamburów.

Ani razu nie zawahała się przed żadnym zdaniem czy dźwiękiem.

Profesor był szczęśliwy jako mąż i dumny jako diagnostyk.

Przy owocach pocałował ją tak jak przy zakąskach, ale z większym zaufaniem i zadowoleniem.

Albowiem w swym mózgu uczonego doszedł do konkluzji — ostatecznej, logicznej, prostej i niezbitej:

— Nie jąka się już. A więc i tamten przestał się jąkać, rozmawiając z nią. Obojętność wzajemna i absolutna. Może nawet antypatia. Nie ma dla mnie żadnego niebezpieczeństwa. Mogę być spokojny. Zresztą, przewidywałem to. Te rzeczy nigdy się nie kończą inaczej.

Profesor Mętlikowski-Ljanowicz miał zupełną słuszość.

Skutkiem jakiegoś fatum w rozkoszy te rzeczy zawsze tak się kończą.

*Kuracja
homeopatyczna*

— Gdzie jesteście?

— W Grosseto.

Młody profesor egiptologii próbował ująć doktoreczkę medycyny za rękę, ale mu ją energicznie wyrwała.

Drzwiczki otworzyły się nagle i do wagonu wgramoliła się stara jejmość z pieskiem, draśniętym jak i ona zębem czasu. Oboje rozglądając się poczęli i węszyć dookoła, a spostrzegłszy, że obie ławki są prawie puste, opadli na nie z westchnieniem ulgi, patrząc z ukosa tak, jakby przepraszali za najście.

Egiptolog przyjrzał się z wściekłością nowym towarzyszom podróży i przygryzłszy wargi, uspokoił się nagle, tak jakby znalazł od razu sposób ocalenia.

— Herodot — wyrzekł z profesorską powagą, pyszniąc się swoją świeżo upieczoną docenturą — Herodot opowiada, iż Egipcjanie, chcąc zabalsamować trupy, wycinali z nich najpierw wnętrzności, robiąc duży otwór w boku, po czym specjalnymi haczykami wyciągali po kawałeczku mózg przez dziurki od nosa i przemywali otwory aromatycznymi olejkami. Chcąc wytrząsnąć całą zawartość czaszki, potrząsali nią energicznie, tak jak się robi z butelkami, na dnie których pozostał osad z wina. Następnie usta i nos napychano mirrą i różny-

mi sproszkowanymi ingrediencjami. Gdy nacięcia zostały już zszyte, kładło się faszerowanego trupa do kąpieli z węglanu sodu i pozostawiało się go w niej przez 70 dni. Po czym lakierowało, smarowało smołą, zawijało w ceratę i w ten sposób powstawała mumia, która była doręczana rodzinie.

Profesor odwrócił się, aby skonstatować, jakie wrażenie zrobiły na leciwej damie jego słowa.

Leciwa dama wstała z ławki, wykrzywiając usta i pociągając za sobą swego pieska na korytarz, gdzie zaczęła się uważnie wpatrywać w przesuwany się szybko krajobraz.

Rozweselona medyczka roześmiała się, promień słońca wydobył na jaw wszystkie piegi na jej twarzączce.

— Miała genialną myśl!

— Niestety, całkiem bezcelową, proszę pani, bo ze swą okazałą tuszą nie pozostanie zbyt długo w ciasnym korytarzu.

Istotnie, stara pani cofnęła się do wagonu, by pozwolić przejść jakiemuś panu, a przekonawszy się, że młodzi nie poruszają już makabrycznych tematów, rozsiadła się na dawnym miejscu.

— Sposoby nowoczesne, będące w najczęstszym użyciu — ciągnęła medyczka, aby nie dać jej łudzić się zbyt długo — polegają na wprowadzeniu do żył substancji przeciwnilnych, a więc cjanu potasu, arsenu i kwasu siarczanego. Dziurki od nosa i żołądek myje się substancją antyseptyczną, po czym otwory naturalne zatyka się masą, smaruje się skórę mieszaniną soli srebra i składa trupa do kąpieli z siarczanu miedzi. Miedź powleka włóki piękną metaliczną barwą, która czyni je podobne do posągu z brązu.

— Niech pani zobaczy, zasnęła, jak Boga Kocham! Pani sposób balsamowania trupów jest tak niezawodny,

że służy także do balsamowania żywych. Zdaje się, że nasza damulka będzie chrapać do samego Rzymu.

Wbrew przewidywaniom, wiedźma na pierwszej stacji obudziła się.

— Wysiada.

Nie wysiadła jednakże. Kupiła sobie gazetę, rozłożyła ją na opisie kradzieży maszyny do pisania, spojrzała czule na swego pieska i zabrała się do czytania.

— W tej walizce — zawołał młodzieniec — mam wspa-
niałą mumię pewnej córki faraonów; skazanej na śmierć
za to, że utrzymywała stosunki miłosne z kapłanem
w świątyni Ozyrysa. Czy pani życzą sobie ją zobaczyć?

Kiedy zrobił ruch, jakby istotnie chciał otworzyć
walizę, wystraszona dama przycisnęła do piersi swoje
zwierzątka i powędrowała szukać sobie miejsca na
samym końcu pociągu.

W godzinę później młodzi wysiedli razem na stacji
i wsiedli do tego samego powozu.

— Pani mieszka tutaj?

— Tak.

— Z rodzicami?

— Sama.

— Przyjdę do pani.

— Niech pan przyjdzie.

— Pojutrze?

— Można nawet jutro.

— Po piątej?

— Po piątej spodziewam się gości w pracowni.

— Przed piątą zatem?

— Wizytuję chorych w szpitalu.

— A więc rano?

— Rano pracuję. Niech pan przyjdzie wieczorem.

Harrieta Wellingson zdała doktorat medycyny w Fila-
delfii i rozmiłowała się w homeopatii według systemu

Samuela Hahnemana. System ten nie cieszy się uznaniem wiedzy oficjalnej w Europie, ale w Ameryce, dzięki ruchliwej reklamie, zapędzał w kozi róg całą medycynę.

— Bo widzi pan — tłumaczyła doktorka egiptologowi — nasze zabiegi polegają na tym, że dajemy choremu maleńkie dawki lekarstwa, a dawki te, zastosowane u osobnika zdrowego, wywołałyby objawy choroby, którą chcemy zwalczyć. Na przykład senes, który jest rośliną strączkową — uspokaja momentalnie kolkę żołądkową, a wywołuje ją w organizmie zdrowym. Gdy się naciera śniegiem zmarzniętego, nie jest że to kuracja homeopatyczna? „Podobne leczy się podobnym” jest naszym hasłem. Ażeby dać panu przykład jeszcze bardziej przekonywujący, przypomnę, że ipekakuana wywołuje wymioty, a jednocześnie służy do zapobiegania im.

— W ten sposób — zauważył ironicznie towarzysz — temu, kto połknął dwadzieścia gramów arszeniku, dałaby pani drugich dwadzieścia i wtedy byłaby pani pewna, że udało się go uratować? Czy tak?

Przed miesiącem pewien bogaty pacjent wysłał z Rzymu depeszę do Filadelfii, prosząc, aby przyjechała go leczyć. Przyrzekł w zamian za życie połowę swoich dóbr doczesnych. A gdy we dwa tygodnie później znalazła się na Piazza di Spagna, usłyszała bicie dzwonów żałobnych z Trinita dei Monti i zobaczyła pogrzeb tak okazały, jakby chowano jakiegoś indyjskiego księcia. Był to pogrzeb jej pacjenta, który nie mógł doczekać się przybycia statku i, zamiast połowy swej własnej fortuny, zapisał jej całkowitą schedę po ojcach.

Wtedy piękna medyczka kupiła sobie wielki pęk kwiatów u podnóża schodów i poszła na herbatę do Babingtona.

Od tego czasu chodziła tam regularnie co dzień przez trzy lata.

„...choroby leczą się z łatwością tymi samymi środkami, które wywołują je w innych okolicznościach...”
Czy mam dyktować wolniej?

— Nie, niech pani dyktuje, jak się pani podoba. Idźmy dalej.

Profesor Emil Giudri poddał się z radością słodkiej niewoli. Co wieczór odwiedzał ją i pisał pod jej dyktando kilka stroniec długiego studium przeznaczonego dla poważnego wydawcy. Nauczył się stenografii dziesięć lat temu, kiedy to nie pozostawał jeszcze pod urokiem mumii, sarkofagów i papirusów; ale od dnia, gdy młodzieńcze jego serce zabiło silniej przed statua Pachtę, małżonki Ptaha, zaniedbał stenografowane hieroglify, ponieważ wydało mu się, że ubliżającym anachronizmem jest zamiana obrazkowych liter „Księgi umarłych” na akrobatyczne zgłoski metody Gabelsberger—Noe. Dzieło sprzed dwóch tysięcy lat przed Chrystusem stanowczo nie odpowiada pismu przyszłości.

— Pan umie stenografować? — zapytała Harrieta Wellingson.

— Nie mam jeszcze wprawy.

— Postaram się aby pan ją zdobył.

Istotnie starała się o to przez szereg miesięcy.

Jednakowoż stenografia, nie będąca niczym innym, jak sztuką szybkiego pisania, powinna pozwalać zyskiwać na czasie; ale zabierała mu co dzień kilka cennych

godzin. Studenci uniwersytetu zastanawiali się ze zdziwieniem, dlaczego profesor Giudri, który z takim zapamiętaniem i taką swadą rozwijał przed nimi swój szeroki pogląd na świat, opierający się na nowych i oryginalnych odkryciach, od niejakiego czasu zanudza ich z uporem osiemdziesięcioletniego grzyba. Chwilami przerywał wykład i odbiegał od tematu albo zamyślał się tak, iż nie słyszał szmerów i szeptów w wielkiej auli. Po czym powracał do przerwane go wykładu, zapominając o czym poprzednio mówił.

— Na pewno jest zakochany — stwierdziła na jednym z wykładów młoda słuchaczka.

— W kim?

— Od czasu, gdy go zdradziła urodziwa Mirit, małżonka Kha, piastującego urząd tępiciela szcurów w grobowcu tebańskim, poprzysiągł na błyszczące wody Nilu, że nigdy nie pokocha żadnej kobiety.

— A jednak widzieliśmy go w herbaciarni z kobietą — oświadczyła w imieniu dwóch koleżanek inna, modnie ubrana panna.

— U Babingtona?

— Tak jest. Z Angielką, która pochłaniała tosty z wdziękiem młodej małpy.

— A jak wygląda jego *sweethearth*?

— Jak pani powiedziała?

— *Sweethearth*, słodkie serce — przetłumaczyła młoda panienka, naśladowując akcent angielski.

— Szczupła.

— Wyperfumowana.

— Czym?

— Powinna tylko perfumować się zapachem sarkofagu, aby się spodobać naszemu profesorowi. A więc ambra, drzewem sandałowym i kauczukiem...

— Aloesem i cynamonem.

- Terpentyną i eukaliptusem.
- Ale co to była za kobieta?
- Z pewnością była *Ibisem*.

Amerykańska doktorka nie była *Ibisem*. Przeciwnie! Była mądrą kobietą. Pewnego wieczoru, gdy żółte światło lampy stojącej na biurku owej tajemniczej strażniczki podnieciło jego zmysły, profesor odłożył pióro, aby wyznać pannie swoją miłość. Ona jednak ze stanowczością, z zawziętością i z zimną krwią dyktowała dalej teorie Edwarda Jennera — tego, co to wstrzykując po raz pierwszy surowicę przeciw ospie, bezwiednie położył kamień węgielny pod gmach homeopatii.

— Ależ ja panią kocham — przerwał wreszcie profesor — pani mnie doprowadza do rozpacz, nie pozwalając mi nawet wyznać miłości. Od dawna kocham panią, a nie mam możliwości powiedzenia pani o tym, tak mnie pani paraliżuje swoim chłodem. Do stu tysięcy diabłów! Nie jestem mumią, mam także serce, nerwy i duszę...

Sama skorzystała z krótkiej przerwy spowodowanej tą tyradą, aby wyszukać w zarysie botaniki kilka uwag o *Euphrasii officinalis*, po to, aby sformułować pewien dość skomplikowany okres, którego termin istniał już w języku angielskim, ale buntował się jeszcze przeciw włoskiemu.

— Pani mi zadała straszne katusze — powiedział młodzieniec, przyciskając ręce do piersi i ściskając w zębach obsadkę pomazaną czerwonym atramentem niby puginał, świecący niewinną krwią. — Dłużej tego nie zniosę!

I zadrżał na myśl, że panna go odrzuci.

— Co pan powiedział, przepraszam, nie słyszałam — odparła spokojnie Amerykanka, zamykając księgę z łoskotem.

— Mówię, że dłużej tego nie zniosę! — skarżył się profesor głosem pełnym rozpacz.

— Dłużej pan tego nie zniesie? No to niech pan sobie odpocznie. Jutro będziemy pisali dłużej.

— Umieram z miłości — jęczał pewnego wieczoru mężczyzna, podczas gdy panna przebierała na stole paznokciami ostrymi jak lancety, a w drugim ręku trzymała ciasteczko, któremu już w myślach przeznaczała następcę.

— Chce pan umrzeć? To są brednie, które wygadują poeci w pańskiej ojczyźnie. U nas się już takich wierszy dzisiaj nie pisze, bo nawet drukarze nie chcieliby ich drukować!

— Na pewno rozchoruję się z miłości!

— Będę pana w takim razie leczyć! Przecież zaciągnęłam względem pana dług wdzięczności. Znajdę w końcu sposób, aby wyrównać nasze rachunki.

W małej herbaciarni pachnącej świeżością białego pokostu, świecącym od luster i od czystości, spotykało się najciekawsze egzotyczne typy z całego Rzymu. Przy stolikach siedzieli: pastor anglikański, jakaś *quacker-girl*, artyści, profesorowie, urzędnicy ambasad, blondyni o błękitnych oczach i blondynki o jasnych, prawdziwie angielskich czuprynach.

Wchłaniano tu napoje i lody, porozumiewano się szepem ze sobą zupełnie tak, jakby spełniano rytuał. Każdego dnia, ci ludzie ze wszystkich stron świata, spotykali się tu o zachodzie słońca, aby odnaleźć kawałek swojej ojczyzny, bo zachodzące słońce rzymskie podniecało ich nostalgię.

— Drogi przyjacielu — powiedziała Harrieta Wellington, opierając się na ramieniu młodego profesora — niech pan nie myśli, że pańskie wyznania nie robią na mnie żadnego wrażenia. Nie dowierzam mężczyznom

z tej racji, że ich prawie nie znam, ale przede wszystkim nie wierzę w miłość. Pan mi się mimo wszystko podoba. Sądzę nawet, że pana kocham. Nie mam w Rzymie nikogo prócz pana i nie chcę pana stracić, bo bym została zupełnie sama, a myśl o samotności przeraża mnie.

— Droga Harrieto — wyszeptał rozmarzony profesor. — Niech pani to powtórzy w swoim własnym języku. Znam angielski, a niedobrze rozumiem pani włoski.

— Wypowiedziałam wszystko bardzo jasno i nie mam zamiaru jaśniej się tłumaczyć. Kocham pana. Czuję, że jestem chora na miłość. Moi koledzy w Ameryce odkryli mikroba miłości, a obecnie stwierdziłam, że miłość jest mikroblem zaraźliwym. Musi pan w to uwierzyć! Jestem chora, a nie chcę być leczona. Gdybym była pana kochanką, moja choroba skończyłaby się. Przestałabym pana kochać.

Doktryna homeopatyczna i fantazja Samuela Hahnemanna zaczęły niepokoić umysł profesora.

— Cóż u licha! Mogę odczytywać hieroglify egipskie, ale nie rozumiem kalamburów?! Przyznam się, że pani teorie homeopatyczne, gdy przekraczają granice medycyny, aby wkroczyć w dziedzinę miłości, stają się śmieszne, głupie i bezsensowne.

Niewzruszona maska twarzy kobiety nie wyrażająca żadnych uczuć, tchnęła lodowatą obojętnością.

— Pan mnie kocha — próbowała jeszcze tłumaczyć. — I ja pana również kocham. Oboje jesteśmy chorzy na miłość. Gdybyśmy zostali kochankami, jedno z nas byłoby lekarstwem homeopatycznym dla drugiego. Czy mam dać przykład? Gdy kochankowie rozłączają się, miłość ich wzrasta. Zbliźmy ich ze sobą, a miłość stopnieje.

Uczucie pozbawiało nieszczęsnego młodzieńca energii życiowej. Jego profesorskie stanowisko było zachwia-

ne, słuchacze uprawiali z wykładów dezercję na wielką skalę i rozgłaszali przesadne plotki o nieścistości danych bo, istotnie, profesor w ferworze wymowy przebywał myślami w Ameryce zamiast wśród ruin Teb i Memfis. Rękopis jego dzieła był przerwany w połowie, a nieogłędny wydawca wydrukował już wcześniej ogłoszenie na okładkach najnowszych wydawnictw: „Niebawem ukaże się w druku wspaniałe dzieło profesora Emila Giudri: *Czy przejście Żydów przez Morze Czerwone miało miejsce za czasów Ramzesa II, czy za czasów Seta XIII, osiem tomów w ósemce*”.

— W tym wszystkim jest jednak cień prawdy — rozmyślał egiptolog. — Jeśli udałoby się mi ją zdobyć, rozdarłbym zasłonę tajemnicy, która ją otacza i przestałbym ją kochać! Nie ulega wątpliwości, że to, co mnie dziś najbardziej podnieca, to jej opór.

A tak mu potrzeba było spokoju i skupienia! Miłość przyprawiała go wprost o rozpacz, odbierała mu siły i spokój do pracy. Trzeba było raz z tym wszystkim skończyć, by powrócić do katedry uniwersyteckiej i do mumii.

Pewnego ranka zerwał się z łóżka i pobiegł do jej pracowni, zdecydowany postawić wszystko na jedną kartę. Doktorka dezynfekowała sobie ręce w spiryтуsie, aby się zabrać do operacji. Przyglądał się tej funkcji, którą spełniała z powagą kapłana przygotowującego się do uczynienia ofiary. Gdy piękne ręce wydobyte zostały z oczyszczającego płynu, zaszeptał w oczekiwaniu na niechybną odmowę:

— Przyszedłem, aby prosić panią o rękę.

— Bierz ją pan! — zawołała panna i wyciągnęła ku niemu prawicę, którą ucałował, wdychając z rozkoszą jej zapach.

— Ach, jak cudnie pachnie! Jest wprost upajająca!

Panna roześmiała się i rzekła:

— Istotnie jest upajająca, bo ją trzymałam w mocnym roztworze spirytusu!

W kilka miesięcy później małżonkowie powracali z Teb i Aleksandrii, przywożąc ze sobą wypchanego krokodyla, bogatą kolekcję skarabeuszy, maście i olejki należące do królowej Kleopatry oraz starożytne sprzęty żałobne, pochodzące z magazynów Lafayette.

Mąż podjął z nowym zapałem swą pracę o panowaniu Ramzesa II i Seta XIII, zaznaczając jej pewne braki, tom ósmy bowiem, streszczając wszystkie dowody zawarte w poprzednich siedmiu, zawierał konkluzję, iż do tego czasu nie można jeszcze ustalić, za czyjego panowania miało przejście Żydów przez Morze Czerwone. W ten sposób pozostawiając w napięciu ciekawość czytelnika, profesor zostawiał sobie furtkę, prowadzącą ku innym badaniom.

— Czy jesteś szczęśliwy w małżeństwie? — spytał go raz docent sanskrytu. — Czy kochasz naprawdę swoją żonę?

— Kochałem ją — odpowiedział zagadnięty z odcieniem ironicznej melancholii — ale potem przebyłem kurację homeopatyczną. Kochałem i cierpiałem z jej powodu. Aby dłużej nie cierpieć, poślubiłem ją. Gdy zostałem jej mężem, przestałem ją kochać! Dziś jestem wyleczony...

Panny

Panna uczuła łaskotanie na kości pacierzowej.

Była to męska broda, która pochyliła się nad nią, aby ją pocałować.

Właścicielem tej brody był doktor Fabiani. Właścicielką kości pacierzowej była panna Rosamunda Aldobrandini. Pomijamy z powodu braku czasu jej tytuły szlacheckie, albowiem w naszym wieku nie wzruszają już one nawet portierów.

Panna Aldobrandini była blondynką, świeżą jak obraz Lawrance'a i miała na twarzy puszek czystości, który wczesnym rankiem — jakby to określił botanik — widoczny jest na śliwkach.

Rankiem nie miała ona jeszcze tego puszku, ale nieco później, około południa, kiedy przeciągała po twarzy puszek z pudrem.

Nie miała brwi. Szczegół ten przypominał madonny dawnego malarstwa umbryjskiego i kusił do dotknięcia palcem łuku orbitowego kości czołowej, i zapytania:

— Przepraszam... czemu pani goli się tak często?

Nie błyszczała zbytnim rozumem, ale mówiła dobrze. Jej wymowa była uprzyjemniona pewnym szczegółem: przetrzącała „s”.

To znaczy, że go nie wymawiała.

Kto nie umie dobrze grać na instrumencie strunowym, trąca go tylko.

Doktor Fabrycjusz Fabiani nie skończył jeszcze trzydziestki.

Miał rysopis, który w paszporcie i na pozwoleniu na broń oznacza się przymiotnikiem: normalny, regularny, i w którym jedynie kobieta zakochana albo sprzedajna mogłaby widzieć coś wyjątkowo pięknego.

Nosił brodę. Taką brodę, jakiej nie widuje się już w naszych czasach.

Stosował w życiu aforyzm, który przybrał sobie jako dewizę: „Jeżeli chcesz mieć powodzenie u mężczyzn, zapuść brodę. Jeżeli chcesz mieć powodzenie u kobiet — nie zapuszczaj brody”.

Od kilku miesięcy był zaręczony, ale nie z panną Aldobrandini.

Był narzeczonym pewnej panny z prowincji, która w ciągu tego opowiadania pojawiać się będzie rzadko, przelotnie, choćby dlatego, że prowadziła życie bardzo odosobnione.

W przeszłości doktor Fabiani golił się co rano i spędzał większą część dnia w pogoni za kobietami. Czytał dużo. Uczył się także. Zwiedzał galerie dzieł sztuki, bywał na komediach, słuchał koncertów. Ale wszystko to, w gruncie rzeczy, było pogonią za kobietą. Gdyby kobieta nie była celem ostatecznym, do którego się dąży aż do trzydziestego piątego lub czterdziestego roku życia, wiele dzieł sztuki, wiele odkryć, wiele znakomitych czynów drzemało by jeszcze w ciemnościach czasów, które będą.

Podobały mu się specjalnie panny.

Nie podobały mu się kokoty.

Kokoty są wobec panien, jak poker wobec gry w sześćdziesiąt sześć.

Zanim pójdziemy dalej, musimy się porozumieć co do słowa „panna”.

Panna — to nie kobieta, która jeszcze nie wyszła za mąż. Kobieta, która jeszcze nie wyszła za mąż nazywa się — niezamężna.

Panna — to nie kobieta, która jeszcze nie straciła dziewictwa. Kobieta, która nie pozbyła się jeszcze dziewictwa — nazywa się dziewicą.

Panna — to stworzenie dziwne, które wegetuje w klimacie umiarkowanym, we wszystkich rodzinach mieszczkańskich lub arystokratycznych. Nie istniała w innych czasach. Jest produktem naszej epoki.

— Biedne panny — mówił niedawno jeden z tych bardzo młodych ludzi, którzy nie czują jeszcze nieprzepracowanej potrzeby śledzenia co dzień kursów giełdowych, ale którzy nadają sobie pozory przeżytych. — Biedne panny. Są to istoty nieokreślone, niedokładne, niešťczęśliwie wykolejone. Muszą wkładać kagańce na požądania, płaszcz nieprzemakalny na idee, kalosze na słowa, maskę na uczucia. Muszą żyć w dręczącym oczekiwaniu, udawać że są tym, czym nie są, przeżywając liturgie na mszy przesądu — gdy ich serce wyrывa się ku miłosnym piosenkom lub do Montmartre.

Światowa pani, która to słyszała, roześmiała się.

Śmiała się trzydziestoma dwoma białyni i zębami i zdrowiem dwudziestu pięciu lat.

— Nie troszcz się o to, mój młody przyjacielu! Panny tego rodzaju nie istnieją. Nie ma już takich, które udają, ukrywają, maskują się! Żadna nie nakłada na ręce łańcuchów przesądu! Na rękach mają złote łańcuchy, ale lepiej nie badać pochodzenia tych darów.

Pani, która rozprawiła w ten sposób w pewnej herbariarni o angielskiej nazwie, ukwieconej długimi łodygami i długimi oficerami grenadierów, miała rację.

Dawniejsze panny udawały naiwność i czystość, przejrzystość duchową i nieprzenikliwość materialną. Udawały, że nie widzą najoczywistszych rzeczy, że nic nigdy nie rozumieją.

Dzisiejsze zamiast naiwności, prezentują złośliwość, odkrywają ciemne intrygi w najjaśniejszych sprawach, dwuznaczność w najprostszych słowach, wyrafinowaną nieczystość w czynach najbardziej franciszkańskich.

Trzeba wydawać się trudną, dziwną, skomplikowaną, ekscentryczną!

Panny, które zdołają naszą epokę to kobiety fatalne — ale nieudolnie fatalne! Są niezręcznymi kuglarzami; patrząc im na palce, widzimy oszustwo.

Naszym młodzieńczym prababkom prawo się komplementy tego rodzaju:

— Jakaż pani jest prostolinijna, kryształowa, czysta!

Naszym współczesnym pannom wyrażenia takie wydawałyby się zniewagą, za które kawalera wyrzuca się za drzwi, a gdy przychodzi znowu, służąca oznajmia: „Pani nie ma w domu”.

Aby podobać się owym snobkom, które konserwują swoją niewinność już nie w czystym spirytusie, lecz w „kummelu”, trzeba umieć mówić z przekonaniem:

— Jaka pani jest dziwna! Jak skomplikowana jest

pani psyche! Jakim gniazdem węży jest pani dusza! Jakież głębie podstępne a przepaściste ukrywają się w pani serduszku, serduszku łagodnej dzikiej bestii!

A one są tak proste, biedaczki!

Ich zagmatwana osobowość wywraca się jak rękaw palla. Nie znajdziesz tam nic, tylko kolekcijkę gotowych frazesów i artystycznych sądów, spreparowanych i uporządkowanych jak liście złotowłosu i malwy...

Gdy dadzą one siedem swych strzałów z pistoletu nabitego siedmioma zdaniem Woltera, Schopenhauera lub Nietzschego, wnet stają się rozbrojone, a wtedy częstują cię aforyzmami bardziej oszczędniejszymi, jak na przykład: „Nieszczęśliwy w grze, ma szczęście w miłość”. Człowiek ma tyle lat na ile wygląda”. „Nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba”. „Pojechać daleko! Do Indii, do Tonkinu, do Szanghaju! Pić barwę!” — dodają z nozdrzami rozdętymi, ponieważ rozdymanie drgających nozdrzy jest oznaką dojrzałości płciowej, rozwiniętej i perwersyjnej. — „Pić kolor czasu, zapachy dalekości, wibracje niczego! Umrzeć z żalu w izbie chłopskiej, z tęsknoty w sawannach. Posiadać kobrę, bajaderę, fakira. Doświadczając wszystkich wzruszeń egzotycznych. Poznać sztuczne raje, betel, haszysz, kokainę, harakiri!”

Ideałem piękności dla tych kobiet nigdy nie jest zwykły mężczyzna, lecz wyjątek: porucznik pułku „*arditi*” („zuchwałych”) albo zwolniony z wojska: piękny bohater lub piękny tchórz.

Ulubione ich słowa to łaskotki językowe: lenno, eucharystia, krzyż; ciasteczka narzecza: mogiły gwiazd, czułość chorobliwa... bułeczki nadziewane kilkoma przymiotnikami: przeguby fal lazurowych, gorączkujące niecierpliwe palmy; słońce jak dojrzała brzoskwinia; perfumerie azjatyckie: hyzop, cynamon, nardy; mineralo-

gia romantyczna: turkus, granat, beryl, chryzolit, chryzopraz, opal.

Ach, opal! Jakaż to prawda, że przynosi nieszczęście! Ileż go przyniósł literaturze!

Wszystko na jego cześć stało się opalizujące. Opalizujące są paznokcie ukochanego mężczyzny; opalizująca — melancholia; opalizująca — źrenica kobiety w trakcie histerycznych spazmów; opalizujący — psi ogon i włosy niewiernej.

Rzeczy zwykłe, proste, równe — wyszły z mody.

Biedni rycerze paradoksu, wygłaszający dookoła swój repertuar dowcipu, obalają z niewielkim wysiłkiem przegrodę obojętności, którą się opancerzają niektóre serca kobiece.

Gdy utkali już pochwałę kobiety o fosforyzujących oczach i rudych włosach, która pali opium i pozwala opalać sobie brodawki papierosem kochanka — pewni są naczelnego miejsca w szumnym towarzystwie panien, zdobnych w duchowe aberracje i zaczadzonych literaturą, tak jak się zatruwają szwaczki: demonstracyjnie, odrobiną chininy.

Przepłukanie żołądka odbiera chininie, moc trującą i rozpuszcza w samobójczyni ponure zamiary.

Przepłukanie żołądka — dla tych niewieścich ogryzków „intelektualizmu” — uosabia mąż, z wszystkimi następstwami, dynastycznymi i domowymi.

W słodyczach nowego życia, bez akrobatyzmu i gry świateł, młode stworzenie niewieście zapomina, że było niegdyś panną poszukującą zwrotnikowych motyli i dziwaczych kwiatów.

W jasne i spokojne godziny nowego życia przemawiać będzie zwykłym językiem, bez zgłębiania tajemnic słowika; językiem który mieści się pomiędzy wygodnymi przymiotnikami rozsądnych ludzi: piękny, dobry,

brzydki, szczególny, i pomiędzy czasownikami miękkimi i szerokimi jak fotele Ducrota: mieć, robić, być.

Wieczorem, w pogodzie czystego uczucia i nieba bez groźb, patrząc w górę, nie będzie już pamiętała, która gwiazda nazywa się Polarna, która — Vega, a która — Bellatrix. Mówiąc o sztuce, nie będzie wciąż miała na ustach Courbeta, Moneta, Cezanna, Picassa i Van Dongena. Będzie przyglądała się obrazom z pierwotną naiwnością dobrych mateczek:

- Te kwiaty są tak dobrze namalowane, że wyglądają jak prawdziwe! Ma się ochotę je powąchać! Te dzieciaki są tak naturalne, że ogarnia cię pokusa wycałowania ich! Te krowy są tak prawdziwe, że rad byś je wydoić!

Ileż metamorfoz przebywają te jednodniowe kreatury konwencjonalne, przechodząc z nierealności oczekiwania do rzeczywistości rzeczy osiągniętych.

Doktor Fabiani był doskonałym inicjatorem.

Matki obawiały się go, a strach ten w oczach córek robił mu wspaniałą reklamę.

A ponieważ reklama jest tajemnicą powodzenia, miał on wielkie szczęście, które zdobyło mu przydomek historyczny: „rzeź niewiniątek”.

On jednak nie lubił panien. Podobały mu się. Był to elegancki rozpustnik, ale daleki od zakochania.

Gdyby był kochał choć jedną z tych panien, nie mógłby był zatrzymywać się tak spokojnie na progu rozkoszy. Instykt męzczyzny nakazałby mu przekroczyć literackie zapory rozpusty i wniść w płonący krzyk miłości, bez wyrachowania i ograniczeń.

Jedną z dziewcząt kochał. Była to panna Rosamunda Aldobrandini.

Gdy weszła do jego domowego ogniska, zaludnionego światłami (lampy ukryte pomiędzy kwiatami, po-

między zasłonami, w kadzielnicach) natychmiast poznała, że on, który zawsze umiał się opanować, chciał teraz zażądać tego, co przysiągł, że odrzuciłby, nawet gdyby ona — w szale — mu ofiarowała.

Uzbroiła się pospiesznie w ostrożność.

Już więcej nie przyszła.

I nie przyszły już do doktora: ani Gina o rękach artystki na harfie, ani Lucjana, zbieraczka motyli, ani Suzy, wirtuozka wszelkich tańców, ani Anna Maria, zakochana w krajach dalekich i bajkowych. Ani nawet owa Francuzeczka, co miała krew królewską w żyłach, ani młoda Skandynawka, którą nazywał Hedda Gabler, ani inna jeszcze, co płakała wdychając zapach kwiatów, ani, na koniec, dwie małe pensjonarki, które kazały się nazywać jednym imieniem, gdyż ich greckie poczynania zlewały je w jedno ciało.

Młody pożeracz czystości, niszczyciel dziewictwa, "rzeź niewiniątek" w parę miesięcy został opuszczony przez Rosamundę, którą kochał i przez wszystkie inne, które mu się podobały.

— To zupełnie proste! — tłumaczył mu przyjaciel, któremu zwierzył się był z goryczy tych rzeczy. — To bardzo proste... Doszedłeś do wieku małżeńskiego. Jesteś doskonałą partią. Jeżeli pragniesz którejś, musisz się z nią ożenić. Nie da ci nic darmo teraz, kiedy możesz ją kupić.

W kilka dni później, doktor Fabiani zaręczył się oficjalnie z panną z prowincji, czytelniczką romansów o nieszczęśliwej miłości biednego skoczka i biegłą interpretatorką muzyki Verdiego.

Nieco ciasnego umysłu, ale szerokiej miednicy, była ona obdarzona tymi akcesoriami, które pozwalają wróżyć w niej dobrą matkę rodziny.

Małżeństwo z interesu narobiło wiele hałasu i skarg.

Kto wie, dlaczego? Małżeństwo nie jest miłością; to więc, czy wynika z interesu, czy nie, nie zmienia i nie powiększa jego wulgarności.

— Czemu nie żenisz się z panną Rosamundą Aldobrandini? — zapytał ktoś doktora.

4- Bo mi się podoba. Ożenić się z kobietą, która się podoba i którą kochamy, to jakby schwytać słowika, aby go zabalsamować. Nie żenię się z nią, bo jej pożądam. Uważam, że dla posiadania pożądanej kobiety można się nawet ożenić, ale głupie jest starać się o jej posiadanie. Gdy się bardzo pożądało, naraża się zawsze na nieuchronne rozczarowanie.

Gdyby mi się jakaś dziewczyna podobała, nie ożeniłbym się z nią, bo, stając się kobietą, zmieniałaby się całkowicie.

Ja zaś, po kilku miesiącach, znalazłbym w niej istotę zupełnie odmienną od tej, która mi się podobała.

Ta kreatura delikatna, subtelna, nierealna — słowem panna, ubrana z prostotą, bez pierścionków, szczupła, jasnowłosa, prawie duchowa — po wyjściu za mąż uklejnociłaby się, opiersiła, ubrała, jak kobieta zamężna.

Nie byłaby to już ona.

W dniu, kiedy postanowiłem ożenić się, wziąłem pannę, która mi się nie podoba, bo — wobec koniecznej, automatycznej zmiany fizjologicznej, którą do stanu panińskiego wprowadza małżeństwo — może ona nawet stać się kobietą, która będzie w moim guście.

Przyjaciel, który słuchał, skinął głową w sposób niezbyt przekonany, i pomyślał:

— Ładny idiota z ciebie!

Ale idiotą był on sam.

*

* * *

Życie kawalerskie było skończone.

Wycofawszy się z zapasów z Wenerą, zapuścił brodę, jak podstarzali torreadorzy, którzy wycofani z areny, obcinają warkocz.

Ten powabny wygląd uczonego przysporzył mu wkrótce liczną klientelę.

Widywał od czasu do czasu Rosamundę i inne małe rozpustnice, ale mieszkanko kawalerskie smutniało w opuszczeniu.

Pewnego wieczoru spotkał Rosamundę na ustronnej ulicy.

— Jeszcze dziewica? — spytał z uśmiechem.

Chciała dać mu ciętą, dowcipną, gniewną odpowiedź. Ale zmieszana się i zarumieniła.

— Tak.

Fabrycjusz ścisnął rączkę w rękawiczce z gazeli.

— Grzeczne dziecko. Trwaj zawsze w dobrym!

Rozstali się: on z uśmiechem na ustach, ona ze łzami w oczach.

Na parę dni przed ślubem spotkał się w teatrze w łoży z Rosamundą Aldobrandini i w skupieniu, którym go natchnęła dziesiąta symfonia Beethovena, ucałował długo jej nagi kark.

— Doktorze — rzekła panna — życzę panu wszelkiego szczęścia. Zwalniam pana od wzajemnych życzeń, bo i ja znalazłam bratnią duszę, którą poślubię bardzo prędko, bez choreografii i zbytecznych formalności.

— Być może, że spotkamy się w podróży poślubnej?

Nie spotkali się w podróży poślubnej, gdyż doktor Fabiani i jego małżonka pojechali do Neapolu, Palermo,

Malty, Tunisu, Casablanki i Madery; a Rosamunda i jej mąż udali się do Klagenfurt, Wiednia, Krakowa, Rygi i Piotrogradu.

Ale nie spotkali się tylko przez przypadek.

Gdyby posunęli się trochę, spotkaliby się po drugiej stronie kuli ziemskiej, jak to bywa przy przebijaniu tunelów, gdy spotykają się z wielkimi ceremoniami dwie eskadry górników.

(Zawsze dobrze od czasu do czasu wynosić pod niebiosy świętość pracy).

W parę miesięcy później spotkali się w mieście.

Dwie pary — bez miłości.

Panna z prowincji była zbyt mdła dla człowieka jak Fabrycusz Fabiani, przyzwyczajonego do przypraw najpikantniejszych i do najśłodszych win.

Rosamunda, przyzwyczajona do trujących szaleństw "przedziwnego kochanka, widziała w mężu tylko wulgarnego gwałciciela swego ciała i duszy.

Widziała słusznie. Małżeństwo wyrozumowane zaczyna się od gwałtu, który nie sprawia przyjemności ani temu kto go popełnia, ani temu, kto go znosi.

Dwie pary małżeńskie bywały przyjacielsko u siebie.

Rosamunda i jej mąż zapraszali Fabianiego z żoną na oglądanie wspaniałej kolekcji puszek od kawioru, którą przywieźli z Piotrogradu.

Fabrycuszostwo ze swej strony zapraszali ich do swej willi, aby podziwiali Yorika, autentycznego Murzyna, którego przywieźli z wybrzeży Afryki, aby mieć wiernego sługę, który pracowałby jak Murzyn.

Yorik był typem na wystawę. Jednym z tych typów, których przedstawia się w traktatach etnograficznych i w markach fabrycznych na pudełkach z szuwaksem.

Ale pani Fabiani, której wuj był aptekarzem w Coatesville w Pensylwanii, słyszała okropną historię o kobie-

tach gwałconych brutalnie przez kolorowych mężczyzn, którzy odpokutowywali potem swą winą, bujając na wysokich latarniach.

Prawo *lynchu*, które pozwala zabić Murzyna winnego zgwałcenia kobiety białej jest nieludzkie, nielogiczne i nieuzasadnione. Murzyn, za taki napad, powinien być sądzony przez trybunał kobiety.

Prawdopodobnie — kara byłaby lekka.

Gdyby zaś brała udział w sądzie także ofiara zgwałcenia, w dziewięciu wypadkach na dziesięć byłby uniewinniony.

Pani Fabiani żywiła nieokreślone trwogi z powodu obecności Murzyna.

— Nie trudno go mi usunąć — uspokajał mąż. — Będę go trzymał w mojej kancelarii.

„Kancelaria”, w której Murzyn objął miejsce nazajutrz jako woźny, była dawnym mieszkaniem kawalerskim, gdzie płonęło, lecz nie niszczało tyle dziewiczości, jak kwiaty pod kloszem z tlenem.

W miłości, którą żywił niegdyś doktor Fabiani dla Rosamundy Aldobrandini, wiła się nić namiętności.

Naprawdę kochał tę dziewczynę, w której przewrotna gwałtowność zmysłowości tworzyła dziwny kontrast z wadą wymowy.

Pożądał jej porywem niepohamowanym.

Miłość, którą jej rzucał pełnymi garściami jak hołd kwietny na ciało, zatruta była nienawiścią. Nienawidził tej panny, na której załamywały się jego najbardziej wrzące żądze jak promień słońca w soczewce podwójnie wypukłej. Nienawidził i gardził tą panną, która oddała-by mu się bez zastrzeżeń, gdyby głupota moralności naszej strefy i naszych czasów nie stanęła w poprzek ich wzajemnych pożądań.

— Ech, wiem to, wiem — powiedział jej raz. — Panny

są jak puszki zapasów żywnościowych w oliwie. Jeżeli otworzysz puszkę musisz zabrać ją do domu, bo jeżeli nie, nikt inny wziąć jej nie zechce. Wy, panny, jesteście ofiarami idiotyzmu moralności. Ktoś tam kiedyś powiedział, że kobieta powinna zachować się bez uszczerbku dla męża. Wszyscy w to uwierzyli, wszyscy to powtarzają. Musicie się stosować do biurokratycznych rozporządzeń.

„Ale ty przynajmniej, ty — taka inteligentna — wyzwól się z przesądów! Widzisz, jak cię pragnę. Widzisz, jak cię Kocham! A i ty mnie Kochasz, jak mówisz sama. Dlaczego więc opierasz mi się?

„Po tych szalonych chwilach, które ci dała nasza rozpusta, sądzisz, że jesteś jeszcze czysta moralnie? Tak, masz dokumenty czystości, ale są to dokumenty fałszywe. Można je podrzeć.

Dziewczyna odpowiedziała:

— Wiem o tym.

— Myślisz ciągle o tym, który się z tobą ożeni. Ale mężczyźni są tak ślepi!

— I o tym wiem.

— Więc co cię powstrzymuje?

— Ba...

Przyjaciół Fabrycjusza, młody sceptyk, do którego uciekał się w cięższych paroksyzmach i, który z abnegacją udzielał spieszenie pomocy i pociechy, powiedział:

— Dziewica? Posiąść kobietę po raz pierwszy? Ależ są to rzeczy niedorzeczne! Oddają się one temu z takim entuzjazmem, jakby otwierały usta u dentysty! A zresztą, ta panna Aldobrandini, której tak chcesz, nie jest nawet ładna. Przypomina mi kwiaty wyrosłe z cebulki, moknącej w szklance.

— Tak — odpowiedział Fabiani. — Nie jest ładna, ale mi się podoba. Kochamy albo pożądamy kobiety

nie dlatego, że ma klasyczne usta albo oczy koloru uspokajającego, ale dlatego, że czujemy pociąg do jej ciała, pociąg niezależny od jej piękności. Można kochać kobietę przekwitłą, prawie starą, ale w której istnieje ta jakaś moc, która nas bierze. Głupio jest mówić: „Jak można kochać kobietę, która ma brzydki nos, obwisłe usta?”

Miłość nie jest podniecana pięknnością.

Fabiani nie mógł się uspokoić.

Nie mógł się uspokoić w żaden sposób.

Małżeństwo Rosamundy dręczyło go nowymi mękami zazdrości.

Pożądał jej jeszcze. Niezaspokojone żądze miłosne pozostawiają niestarte ślady niepokoju. Pożądał i doznawał wstrętu.

I kiedy ta ustawicznie pożądana kobieta przysłała pokojówkę z bilecikiem. „Mój mąż jest w podróży; dziś wieczór nie wyjdę z domu” — odpowiedział na tym samym bilecie: „ani ja”.

Dzień udręki.

Następnego popołudnia Rosamunda przyszła do mieszkania Fabianiego.

Przebiegle włożyła uroczy kostium *tailleur*, który nosiła jako panna i który Fabiani nazywał *l'oiseau bleu*.

Niebieska morskość tego kostiumu zlewała się była już niejednokrotnie z poduszkami w wielkie żółte plamy.

Wysoka, smukła, delikatna, obciążnięta tym lazurem o fioletowych refleksach, o anielsko blond włosach, wyglądała jak ołówek kopiowy zakończony złotą czapeczką.

— Źle zrobiłaś, przychodząc tutaj — powiedział chłodno Fabiani. — Sprawiasz mi ból nie do wytrzymania.

— Przecież trzeba się rozmówić — jęknęła kobieta.

— Nie. Nie podnośmy kamieni grobowych. Wszystko jest już skończone — kłamał Fabiani.

Rosamunda, która przyszła z gardłem przepętlionym łożami, zdusiła łkanie olbrzymią mufką, tym gestem zbołałych samotników, którzy całują swego psa, płacząc.

Duszone w poduszkach łkania Rosamundy nie wzruszały go. Myślał zimno:

— *Cherchez la femme et dans la femme l'hysterisme.*

Potem zwrócił się do dyszącej ciężko:

— Czym mogę cię poczęstować? — zapytał z ostentacyjną obojętnością. — Koniaku? coctailu? opium? kokainy?

— Ty wiesz, czego chcę — zaskomlała, zaciskając pięści, aby opanować gest i głos. — Przyszłam oddać ci się, oddać się twojej żądzy, spotęgowanej w tobie i we mnie przez oczekiwanie. Przyszłam powiedzieć, że jestem twoja. Że chcę być twoja, jak sam niegdyś chciałeś...

Fabiani szepnęła:

— Za późno.

Dwie siły walczyły w nim. Żądza kobiety, której nigdy nie czuł zupełnie swoją i pogarda dla jej wyrachowania, przez które w przeszłości odmawiała mu tak uparcie siebie.

W miarę jak prośba jej stawała się bardziej wyraźna i natarczywa, przywoływał wspomnienie panny, która przed niewielu miesiącami, w chwili spazmu miłosnego, tak czujnie broniła swego efemerycznego i fałszywego skarbu.

Im bardziej upokarzała się w narzucaniu siebie, tym obelżywiej on, pożądam jej, odtrącał i podniecał ją swą obojętnością.

Ciało kobiety drgało, poruszało się, a on nie ustępował.

Cierpienie, które mu sprawiła odmową przed kilku miesiącami, było równe obmierzłości, którą wzbudzała teraz.

Gdyby mówiła: „Wtedy nie podobałeś mi się, dziś mi się podobaś” — uspokoiłby się i upadł jej do nóg w hołdzie oddania i czułości.

Ponieważ jednak namiętna nimfomanka usiłowała, bełkocząc, tłumaczyć swe ówczesne postępowanie, porównyując je z dzisiejszym; ponieważ porywami bachantki i kocim przeginaniem usiłowała zbliżyć się do niego i pocałunkami powiedzieć to, czego dotąd jeszcze nie mówiła — on, otoczony już jej nagimi, miękkimi ramionami, odsunął ją i wolnym krokiem podszedł do biurka. Nacisnął guzik z kości słoniowej.

Kobieta pozostała z tonem przyciśniętym do rzeźbionej gałki krzesła i ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a przyspieszony oddech rozdymał jej nozdrza.

Służący Murzyn wszedł.

— Chodź no tu, Yorik — rozkazał pan.

Murzyn przydzwigał do połowy pokoju swą postać atlety o refleksach aksamitu. Nagi aż do pasa, mając za całe ubranie pasiaste pantalone dokoła bioder, nosił na gołych nogach sandały z rafii.

— Ile centymetrów masz w obwodzie klatki piersiowej? — zapytał Fabiani.

— Metr i pięć centymetrów, proszę pana — odparł sługa.

— Ile kilogramów podnosisz lewą ręką?

— Osiemdziesiąt.

— A prawą?

— Sto dziesięć.

— Pokaż pani bicepsy.

Murzyn zgiął z wolna rękę i ukazał dwie nieprawdopodobne kule mięśni.

— Pokaż pani zęby.

Murzyn odwinął wargi nabrzmiate i rostbefowe, wystawił rząd zębów białych i długich, o uczernionych

tytoniem przedziałkach — zęby podobne do klawiatury fortepianu.

— Opuść pantaloney.

Murzyn z widoczną dumą wykonywał polecenie.

— Ile masz dzieci?

— Sześćdziesiąt.

— Żywych?

— Żywych.

— A zmarłych?

— Żadnego.

— Ile żon?

— Osiem.

— Zuch Yorik! Może być, że pani będzie cię potrzebowała. Bądź zupełnie do usług pani.

I skłoniwszy się w poprawnym ukłonie przed Rosamundą, doktor Fabiani wyszedł.

*Przyjacielska
przystuga*

Umarła mu prześliczna kochanka, którą uwielbiał.

Rodzice, aby go pocieszyć, szukali mu żony.

Tak — jakby komuś — komu amputowano nogę — odjęto i drugą na pociechę. Ale nie chcąc zatruwać starości swych rodziców, nie sprzeciwiał się tym poszukiwaniom, postanawiając tylko odrzucać raz po raz wszystkie kolejne partie.

Ojciec, człowiek dawnych przekonań, powiadał, że prawdziwe szczęście jest tylko w małżeństwie (cudzym — dodawał) i przedkładał wysoce duchowe powody, dla których ma się obowiązek stworzenia rodziny i dania życia innym istotom. Jesteśmy ogniwami nieskończonego łańcucha i nie mamy prawa uchylać się od przedłużania go w nieskończoność. Życie zostało nam dane po to, abyśmy je dawali innym — mówił.

Matka, kobieta prostsza, wypowiadała te same myśli w mniej uczzonej formie:

— Pragnę mieć wnuka, który będzie do ciebie podobny, a do mnie będzie mówił: babciu.

Dziewczyny, która miała zostać żoną Hamilkara Magni, poszukiwano pomiędzy rówieśniczkami, umiejącymi z ogryzków cygar ojcowskich sporządzać doskonałą truciznę na mszyce, a z kawałków materiału — wspaniałe

kobierce do salonów rococo; pomiędzy dziewczętami, które nie lubią teatru, noszą buciki o niskich obcasach, jak księżę gospodynie i czyszczą zęby szatwią.

Jest to typ dziewczeczki zanikającej już jak czewonoskórzy w Ameryce i tramwaje; wszelako w niektórych wioskach jak Carmagnola, Vigevano, Terracina, można znaleźć jeszcze jakąś zabłąkaną owieczkę.

Wyśmienita panna Magdalena Pasquali nie umiała destylować trucizny na pasożyty, gdyż ojciec jej nie palił. W zamian za to przygotowywała ze zmiażdżonego szkła i sera owczego pewne śmiertcionośne pigułki, które nazywała grzecznie „lekarstwem na myszy”.

Podczas gdy rodzice Hamilkara pertraktowali z rodzicami panny Magdaleny Pasquali (Carmagnola, ulica Parady Miejskiej nr 19), Hamilkar, aby im dopomóc skutecznie, szukał sobie w Turynie kochanki.

Znaleźć kochankę to przedsięwzięcie bardziej przykre niż nauczanie się jakiegoś fachu. Gdy ma się lat 18, jest to zajęcie zajmujące, gdyż wszystkie manewry przywabiania posiadają urok nowości, lecz po trzydziestce z trudem plecie się wszystkie łgarstwa, wielokrotnie już odgrzewane na użytek tuzina niewiast. Z trudem ściera się z zakurzonych półek pamięci nedorzeczne kłamstwa, gotowe frazesy, literaturę pożółkłą od nieszczerých obietnic, które trzeba puszczać w obieg: papierowe i bezwartościowe monety słów „zawsze”, „nigdy”, „na całe życie”, „aż do śmierci” itp. Z trudem deklamuje się słowa komedii, której żądają wszystkie kobiety. Ale grać komedię to jeszcze nie wszystko. Najgorsze to słuchanie komedii granej przez kobietę, zanim dojdzie się celu; to przymus paplania i słuchania tyłu paplanin, nim otrzyma się pierwszy pocałunek.

Tak skarżył się w duszy Hamilkar Magni, gdy na scenie tancerka Perłowa, atakowana szumiącymi promie-

niami reflektorów, błyskała w zawitych hieroglifach muzycznych lotnością swej świetlistej skóry i zmienną miękkością sukni, złożonej z leciutkich zasłon i ciężkiego futra szynszyli. Tancerka, przy dźwiękach muzyki prawie świątynnej, poruszała się rytmicznie na wielkim zielonym dywanie, rozpaczliwie wydłużając spojrzenia i ręce, jakby po idealny kwiat nenufaru na jakimś, jej tylko wiadomym stawie.

— Taka kobieta — myślał Hamilkar — byłaby doskonałą kochanką. Musi być tak lubieżna, jeżeli sądzić według drgawek przebiegających jej ciało, jak gdyby uciekała przed ręką, chcącą ją pochwycić. Ale ta kobieta jest taka na scenie, pod reflektorami elektrycznymi, gdy ciałem jej wstrząsa muzyka, gdy puder, cynober, lazurowa powłoka oczu, naszyjniki pereł, jedwab trykotów, diamenty — mnożą jej wdzięki, wyzwalają ukrytą energię.

Ale gdybym zdołał z niej uczynić moją kochankę, znalazłbym poprzez puder i zasłony taką samą kobietę, jak inne. Gdybym ją unieruchomił w moich ramionach, gdybym zdjął z niej te wszystkie ozdoby z pereł, złota i jedwabiu, które służą do obudzenia żądy...

Po długich oklaskach, wzmocnionych uporczywym biciem lasek w posadzkę, tancerka wykonała na bis taniec angielski, podobny do przelewania się z nogi na nogę pewnych ludożerców afrykańskich, gdy dobrze wypasiony misjonarz objaśnia im naukę chrześcijańską.

Kurtyna zapadła i orkiestra zagrała galop końcowy; światła gasły, publiczność pchała się do wyjść (co za uczucie świeżości!), a służba zbierała tu i owdzie porzucone na krzesłach dzienniki.

- Och, patrzaj, Hamilkar Magni! Byłeś tutaj?
- Ja — tak. Pani także?
- Jakże się cieszę, że cię widzę!

— A pani jak się miewa? Mogę panią zaprosić na poncz?

— Możesz.

Hamilkar otworzył drzwi od bufetu i panna Magda Selz weszła w towarzystwie brata, Jerzego Selza. Za nimi wszedł Hamilkar. Atmosfera sali, przeładowana wyziewami kipiących napojów alkoholowych i zimnymi półnagościami kokot, dźwigała ciężkie pasma dymu z papierosów, który opadał na mężczyzn i na kobiety jak miękka mgła, jak pozima zaślona oparów, jak duchy umarłych, tak jak je pojmują teozofowie i spirytyści, wierzący, że dusza zmarłych jest zawsze obok nas, słucha naszych rozmów i czeka, aż ją zagadniemy.

Na szerokich lustrach ściennych wymalowane były przelewające się czary szampana, butelki likierów wielkiej marki i brzuch apoplektycznego Gambrynusa, w ozdobie chmielu i uwieńczonych dziewic niemieckich o długich złotych warkoczach.

Trzech czy czterech grajków w czerwonych kurtkach z czarnymi lamówkami widniało za półkolistym płótem bambusów.

Hamilkar obudził się ziewając, próbował otworzyć oczy — i udało mu się to. Po tym pierwszym sukcesie, odrzucił kołdry, otulające go aż po nos i usiłował interpretować ciemny sens wskazówek zegara.

— Nie mogę zrozumieć czy to 9.20 rano czy trzy na czwartą wieczór. Jednakże sądząc z położenia słońca, powinna by być... Bo tu jest zachód, nie, wschód, bo jeżeli jest dziewiąta, słońce powinno być bardziej na wschód niż na zachód, ale wobec pory roku... Lepiej

nie zgłębiajmy tej sprawy. Twierdźmy, że jest dziewiąta rano.

I usnął ponownie.

— Można? Paniczu, czy można?

— Kto tam? — zaprotestował Hamilkar, budząc się w kilka chwil po dodatkowej drzemce. — Ach, to ty, Katarzyno? Chodź no tu rozwiązać tajemnicę astronomiczną. Która godzina?

Gospodyni, która go znała od urodzenia, była kobietą pięćdziesięcioletnią, tęgą, o potarganych włosach i bujnym ciele. Portret Aleksandra Dumasa ojca (1803—1870).

— Właśnie po to przychodzę, paniczu. Wybiła czwarta.

— Tak? Chciałem to powiedzieć. A więc przynieś mi pierwsze śniadanie. Kawa z mlekiem wczesnym rankiem usposabia do wesołego spędzenia dnia.

— Czy panicz wie, o której godzinie wrócił do domu tej nocy?

— Nie mam pojęcia. Musiało być dość późno, bo wszystkie sklepy już były zamknięte.

— Była za piętnaście czwarta! A nasz pan w każdym liście upomina, aby panicz nie wracał późno.

— Trzy kwadranse na trzecią? To ci się wydaje „późno”? Ja bym powiedział: wczesnym rankiem. Idź tedy, zrób mi kawę z mlekiem. A pokaż, co umiesz!

Hamilkar przypomniał sobie niewyraźnie salę, pełną zwierciadeł i kobiet palących papierosy, i krzak bambusu, i znak zapytania z drzewa, obok którego człowiek w czerwonej kurtce fechtował się kijkiem o białych włosach. Błahie szczegóły i wybitne epizody nocne mieszały mu się w pamięci. Pamiętał, że zapłacił dwieście lirów za poncz, sandwicza i szampana, pięć lirów za paczkę papierosów, i że dał dwa papierki po dziesięć lirów muzykantom za to, że grali walca „Pelikan”.

Pamiętał, że tańczył z...

— Podaj mi lusterko, Katarzyno. Jaki żółty język! Żółty język, prawda, Katarzyno? Jestem odrażający, prawda, Katarzyno? Możesz zabrać lusterko i oddalić się, dyskretnie a troskliwie. Kawę z mlekiem sam sobie naleję.

— Na prześcieradło.

— Nie, afrodiastyczna Katarzyno. Do szklanki.

Przypomniał sobie taniec o tarcu pępkowym z... Oraz z... A potem znowu z... Dziwne to, jak po rekonwalescencji pijaństwa nie ma się pamięci do nazwisk.

Potem odprowadził do domu przyjaciela Selza i siostrę, pannę Selz, pieszo, bo nie znaleźli taksówki. Potem powrócił do domu sam, przechodząc pod portykami. Pamiętał doskonale, że na rogu jakiejś ciemnej ulicy sprzedawczyni czułości po cenach niżonych, o twarzy oświetlonej papierosem, rzekła:

— *Viens avec moi, mon petit. Je serai bien coquette.*

A on odpowiedział z zarozumiałością:

— Och, czuję się na siłach udzielenia ci lekcji!

Gorzka jest ta kawa z mlekiem. Nie ma aromatu.

Jest mdła.

Jest mdła, jak mój przyjaciel Selz.

Jaki on głupi, mój przyjaciel Selz! Pilnuje siostry z zajadłością średniowiecznego małżonka. Mąż pilnujący żony jest śmieszny. Ale człowiek pilnujący siostry jest groteskowy. Każdy człowiek, skoro dozoruje skarbu uczciwości kobiety, nabiera fizjonomii rogacza. Brat także może mieć twarz rogacza. — Ależ to mleko jest wstrętne! — Panna Selz jest urocza. Jaka ona była elegancka wczoraj. W tym płaszczu z czarnego jedwabiu i kołnierzyku z białych piór wyglądała jak kondor.

A gdy zdjęła płaszcz w barze! Co za piękne ramiona! Ma lat trzydzieści, ale wygląda na mniejszą.

Przed dziesięć laty była piękną malarską.

Obecnie jest pięknnością rzeźbiarską.

Za dziesięć lat...

— Katarzyno! — ryknął nagle, rzucając w powietrze prześcieradło i wyskakując na środek pokoju. Katarzyno! Dawaj mi szare ubranie, półbuciki żółte, skarpetki niebieskie, koszulę niebieską w białe paski. Jeżeli nie ma białych pasków, przynieś mi samą koszulę. Ale prędko!

Gwoli dobrej sławy Katarzyny powiemy, że Hamilkar był w najprzykładniejszej piżamie.

Zresztą była ona przy jego urodzeniu i nie dziwiła się niczemu, nawet jeżeli od owych czasów znajdowała jakąś zmianę.

— Panicz się ogoli?

— Co ty mówisz? Trzy kwadranse czasu! Podciąłbym sobie nerw błędny, żyłę gardlaną lub co najmniej obie tętnice. Bardzo długa moja broda? Widać ją gołym okiem? Mniejsza o to, nada mi bardziej męskiego wyglądu.

— Katarzyno, jeśli mi znajdziesz fiakra, daruję ci tę fajkę z korzenia.

— Ale dokąd mam iść, paniczu?

— Do arcybiskupa.

Katarzyna wybiegła.

Hamilkar, wymyty, uczesany, oszlifowany, zapięty, wylał parę kropel *Cuir de Russie* na batystową chusteczkę w chwili właśnie, gdy wierna gospodyni wchodziła, oznajmiając, że powóz czeka w bramie.

— Jesteś aniołem, Katarzyno!

W kilka chwil później powóz zatrzymał się przed kratą willi i Hamilkar wysiadł, zapinając białe rękawiczki zamszowe. Była piąta.

— Punktualnie o piątej będę w ogrodzie — powiedziała mu panna Selz, gdy brat odszedł był na chwilę do telefonu.

W rzeczy samej, panna Selz czekała w parku; wyglądała jak *Josephine assise dans les jardins de la Malmaison*, Prudhona. Ogród pachniał liśćmi, które zaczynają żółknąć, wonią, jaką mają włosy kobiet polane henną. Pośrodku klombu, cokolwiek dźwigała fauna ze szpizu grającego na kobzie. Śpiewał słowik na jakimś drzewie. A faun uśmiechał się.

W teatrze, gdy aktor nie umie grać na skrzypcach, czyni tylko odpowiedni gest. Za kulisami ktoś gra za niego.

Nie tylko w teatrze to się zdarza. Zdarza się to również w życiu.

— A teraz proszę, aby pan sobie poszedł, bo brat mój nadejdzie za chwilę. Jest siódma. Gadamy już dwie godziny. Jak to prędko umyka z panem czas!

Hamilkar ucałował jej palce z większym zapałem, niż nakazywała by etykieta. Kazał się zawieść do klubu, gdzie wiedział, że zastanie przynajmniej jednego z dwóch swych przyjaciół: barona Hirscha (lat 30, samochód o podwójnej karoserii, wielki akcjonariusz kopalni soli w Galicji) oraz adwokata Berniniego, młodego adwokata-kryminologa, który w oczekiwaniu głośnego procesu broni brutalnych mężów, niezręcznych kieszonkowców i złodziejasek warzyw.

Baron Hirsch i adwokat Bernini siedzieli przy jednym stole. Hamilkar przywitał się kolistym ruchem białych rękawiczek i zajął między nimi miejsce.

— Przynieś mi te zwierzątka, co wyglądają jak pchły widziane przez mikroskop — zawołał do kelnera.

— Raczki? — proszę pana. *Crevettes?*

- Tak, krewetki, a potem ozór cielęcy.
 - A jakie wino?
 - Jako wino podasz mi wodę mineralną.
- I zwracając się do Hirscha i Berniniego:
- Potrzebni mi jesteście, drodzy przyjaciele.
 - Pojedynek?
 - Rada. Rada przyjacielska.
 - Gdy prosimy o radę — zauważył żałobny Bernini — powzięliśmy już decyzję. Prezesi sądów dają głos adwokatowi, gdy wyrok już jest zredagowany.
 - Rzeczy te powiesz jutro w sądzie. Teraz pozwól mi mówić. Posłuchajcie co mi się zdarzyło. — Ale ten ozór nie gniewa się pod nożem! Kelner! Prosiłem o ozór cielęcy, a ty mi dajesz ozór hippopotama.
 - Co, proszę pana?
 - Tak łatwo o przejęzyczenie! Daj mi pasztet ze zwierzyny.
 - Wczoraj wieczór wychodząc z Apollo, spotkałem pannę Selz z jej bratem. Idziemy do baru. Brat odchodzi do telefonu, otrzymujemy zaraz połączenie i wraca po minucie. Byliśmy sam na sam minutę, ale to wystarczyło, aby panna Selz...
 - Stała się twoja.
 - Głupiś. Aby mi wyznaczyła randez-vous. Spotkałiśmy się dzisiaj. Rozmawialiśmy dwie godziny. Kocha mnie szalenie.
 - Są to rzeczy, które się zdarzają pomiędzy osobnikami płci odmiennej.
 - Ale sprawiają kłopot.
 - Dlaczego? Jest milutka.
 - Mnie się nie podoba — powiedział Hirsch.
 - Mnie się podoba — powiedział Bernini.
 - Mnie także — poparł Hamilkar.
 - Więc jeśli ci się podoba, czemu pytasz o zdanie?

— Kelner, kompot! — Jesteście fałszywymi przyjaciółmi. Nie rozumiecie stanu mej duszy. Naraz znajduję kobietę, która mi spada jak z nieba, kiedy najmniej się tego spodziewałem. Jest piękna, młoda, ale nie pociąga mnie; jest elegancka, ale nie czaruje; musi być zmysłowa, ale mnie nie porywa. Czuję się nieswojo, jak wtedy, gdy się wygrywa na loterii dobroczynnej przedmiot mający pewną wartość, ale z którym absolutnie nie wiadomo co począć, na przykład strzelbę arabską, maszynę do szycia albo róg myśliwski.

— Niech ci się zdaje, **że** jest rogiem. Graj na nim!

Baron Hirsch był sangwinikiem i sceptykiem. Długie podróże, niezliczone przygody i zwierzenia, które umiał zawsze wyciągać od kobiet, dostarczyły mu głębokiej erudycji w sprawie psychologii niewieściej.

— Miłość jest złudzeniem optycznym — mawiał. — Gra luster. Bywa zręczny kuglarz lub kuglarka, która nie pozwala odkryć podstępu i daje ci szczęście. I bywają inni sztukmistrze niezręczni, którzy dają się przyłapać, **jakkolwiek** w tym wypadku udajemy, że nic nie widzimy i jesteśmy tak samo szczęśliwi, a przynajmniej bawimy się.

Ilekoć jakiś przyjaciel pytał barona, czy dobrze robi, żeniąc się, baron odpowiadał: tak.

Ilekoć jakiś przyjaciel pytał go, czy dobrze robi, żeniąc się z pewną, określoną kobietą, baron odpowiadał: tak.

Gdy przyjaciel pytał: „Czy sądzicie, że należy podejrzewać moją żonę?” — baron przysięgał, iż żywi dla jego żony najwyższy szacunek.

„Bo i w jakim celu odradzać małżeństwo człowiekowi, który ma się żenić? W jakim celu rozczarowywać go do kobiety, którą wybrał? Czemu uświadamiać go o jego niedoli? Co ja na tym zyskuję? Co zyskuje on? Co zy-

skuje ona? Jeżeli oderwę go od jednej kobiety, nawinie się inna. Więc po co? Wszystkie przecież są jednakowe!"

Hamilkar przełknął kilka gotowanych śliwek, wypluł pestki, rzucił dziesięć lirów i wstał.

— Wzięci każdy z osobna, jesteście sympatyczni i można prosić was o radę. Ale gdy jesteście we dwóch, uważacie za obowiązek trenować się w sentencjach. Żegnam.

Wsiadł do tramwaju, zapalił papierosa, złożył dwudziestokrotnie bilet, potem go rozłożył, potem zwinął, następnie spłaszczył i zgiął ślimakowato. Administracja tramwajów każe rozdawać bilety, aby pasażerowie mieli przyjemne zajęcie przez całą drogę.

Wysiadł. Właśnie nadjeżdżał pociąg.

Jego ojciec i matka przyjeżdżali z Carmagnoli, gdzie pertraktowali z rodzicami prowincjonalnej panny.

Po uściskach wstępnych i rozmowach z podróży (Jaka tu pogoda? Tam deszcz pada. O której godzinie dostaniesz depeszę? Obawialiśmy się, że nie nadejdzie w porę) skierowali się ku wyjściu. Hamilkar załadował koszyk winogron, koszyk owoców, a także i rodziców do dorożki i dał adres woźnicy. Ten, jak to czytano w powieściach Barrilięgo, trzasnął z bąta i odjechał galopem. Prawdziwa szkoda, że nie czytuje się już zdrowych książek.

— Nie mówcie mi o tej półtłopcce. Nie mógłbym nigdy ożenić się z taką dziewczyną. Twarz obrosnięta tłuszczem, że ma się ochotę trzeć ją twardą szczotką, aby świeciła. Nie rozumie, że z tymi włosami ściągniętymi w węzeł wygląda jak mleczarka. Ma nogi jak taba-

kierki. Nie mógłbym nigdy kochać kobiety, która nie nosiłaby pięciocentymetrowych obcasów.

— Mój synu — rzekł ojciec z wyrzutem. — To wszystko wiedziałeś zanim nas wyprawiłeś do Carmagnoli. Mogłeś oszczędzić nam podróży.

— Trochę pobytu na wsi dobrze robi, papo. Prawda, mamo? Tymczasem oznajmiam wam, że jutro poproszę o rękę panny Magdy Selz.

Mama wzdrygnęła się, i byłaby postarzała o dwadzieścia lat, gdyby już od dawna nie przekroczyła wszelkich granic wieku.

— Magda Selz! Chcesz ożenić się z Magdą Selz? Ależ ona jest starsza od ciebie o dwa lata!

— Cóż z tego? — odpowiedział Hamilkar. — Żonę kocha się tak krótko, że nic w tym złego, jeżeli jest starsza.

Przyjechali do domu.

Hamilkar pomógł wysiąść swym staruszkom, gwizdnął na gospodynię, aby przyszła zabrać kosze winogron i owoców i otworzył bramę.

— Dobranoc, papo. Dobranoc, mammo. Woźnica, do Klubu Centralnego.

Biedna staruszka, ogłuszona podróżą i przyjazdem, położyła się zaraz do łóżka i kazała sobie podać likier, przyrządzony przez nią podług recepty rodzinnej, przekazywanej od prababek, który w chwilach bolesnych przywracał jej siły i życie. Syn nazywał go „likierem pewności”.

Dwaj przyjaciele, których opuścił przed trzema kwadransami, zamieniali filiżaneczki kawy na kieliszki likieru. Aż do tej chwili rozmawiali o Hamilkarze i pannie Selz, wyliczali jej liczne awanturki, rozpatrywali plotki, wydawali oceny, cyzelowali cześć dziewczyny, wychowanej, że tak powiem, po angielsku.

Pewnego pięknego poranka brat jej wrócił ze Szwajcarii, z wyższej szkoły sztuki tkackiej i zajął się moralnością siostry.

— Drodzy przyjaciele — powiedział Hamilkar, wchodząc do sali i siadając na poprzednim miejscu — odpowiedzcie mi na pytanie: czy sądzicie, że ta kobieta uczyni mnie szczęśliwym?

— Tak — odpowiedział Hirsch stanowczo.

— A ty co myślisz — Bernini?

— Myślę, że to cygaro nie ciągnie.

Hamilkar spiorunował Berniniego wzrokiem:

— Co oznacza ta ostrożność?! Ganisz mój projekt, bo ci się wydaje to małżeństwo dobrym interesem? Czym jest dzisiaj dwieście tysięcy lirów? Nie starczą nawet na proszek do zębów!

— Ależ nie, ależ nie — przybiegł z pomocą Hirsch. — Bernini nie mówi tego! Skądinąd, małżeństwo samo przez się jest już przedsięwzięciem tak brudnym, że wyrachowanie go nie pogarsza. Małżeństwo z miłości czy małżeństwo z wyrachowania — to zawsze małżeństwo, to jest praktyczna kombinacja, przebrana za uczucie. Bernini nie chce się wypowiedzieć, gdyż, jak mówi, ryzykowną jest rzeczą udzielanie rad.

— Skoro powiedział — odparł Hamilkar — że nikt nie słucha rad, nie ponosi się odpowiedzialności za ich dawanie. Prawda, Bernini?

Bernini odpowiedział z ostentacyjnym roztargnieniem.

— Prawda.

Hamilkar nie umiał sobie wytłumaczyć zachowania się Berniniego, który we wszystkich innych okolicznościach życia zawsze wszystkim radził.

Przez całą noc dręczyły go najdziwniejsze przypuszczenia, najróżnorodniejsze wątpliwości.

— Powiedz mi prawdę — prosił Berniniego nazajutrz

w jego kancelarii. — Musisz mi powiedzieć prawdę, jakakolwiek by była.

Bernini milczał. Jednakże nawet w takim wypadku oczekuje się tylko pierwszej sposobności, aby dać upust szczerości.

— Przyjacielu — próbował go podniecić Hamilkar — myślisz o czymś, czego mi nie chcesz powiedzieć.

— A więc?...

— Co o tym myślisz?

— A ty co myślisz? — stanął w pozycji obronnej Bernini.

— Myślę, że to jedna z tych dziewcząt, z którymi nic nie da się zrobić!

— Kobiety, z którymi nic nie da się zrobić, to te, którym trzeba poświęcić trochę czasu lub kilka lirów więcej. Mój Hamilkarze, nie powiedziałbym ci nic, ale skoro sam tego pragniesz...

— Powiedz że, powiedz...

— Sam tego chciałeś!

— Ależ tak, chcę właśnie...

— A więc... Dziewczyna ta, podobnie jak i ty, jak i ja sam, w każdej miejscowości klimatycznej zostawia szczodre wspomnienia swego uroku, swojej piękności. Zmieniała kochanków jak ty krawaty. Czyniła rzecz dobre, bo jest inteligentna i z inteligencją to ukrywała. Uczyniłaby cię szczęśliwym, jakkolwiek nie daje gwarancji wierności. Ale ty, nawet wiedząc, że masz żonę nieskalaną, czy mógłbyś jej przebaczyć przeszłość — skalaną?

Hamilkar wyglądał jak trup.

— Ty, który ją oskarżasz — zawołał Hamilkar — czy znasz nazwiska jej kochanków?

— Znam.

— I sądzisz, że jest taka...

— Sądzę — odparł Bernini — że jest dziewczyną nie dla ciebie. Miała za dużo innych.

Hamilkar wyglądał jak widmo.

— Jakie masz dowody?

— Przed pięciu laty była moją kochanką. Względem niej popełniłem niegodny postępek. Ale jesteś mi droższy od tej kobiety, a mam wrażenie, że ci oddaję przyjacielską przysługę.

— I ona była twoją kochanką?

— Przez kilka miesięcy.

— W jaki sposób?

— W sposób uświęcony przez zwyczaj.

Hamilkar uściśnął mu rękę w milczeniu i wybiegł pierwszymi drzwiami, jakie mu wpadły pod nogi.

W trzy dni później panna Selz udała się do pewnego studenta nauk społecznych, by mu donieść o swych zaręczynach z Hamilkarem Magni i przypomnieć mu, że był jej pierwszą i jedyną miłością, oraz że prosi, aby był dyskretnym gentlemanem.

Jedyna miłość i pierwszy kochanek — to wyrażenia pozbawione sensu. Pierwszy kochanek, to osobistość warunkowa, którą się bierze za punkt wyjścia, na wzór głów wielkich rodów. (Pepin Krótki, Hugon Kapet, Hubert Biancamano).

W istocie jednak głowa rodu nigdy nie istniała, albowiem przed nią był zawsze ktoś inny.

Pierwszy kochanek, jeżeli dobrze rozpatrzeć sprawę, był zawsze poprzedzony przez kogoś.

Poszła następnie do młodego przedsiębiorcy budowlanego, by mu donieść o zaręczynach i przypomnieć, że

był on jej jedynym kochankiem — i że ma obowiązek milczenia.

Nie wiem, do ilu jedynych kochanków swego życia udała się tego ranka, ale gdy weszła na schody adwokata Berniniego, aby mu przypomnieć, że on był pierwszym i ostatnim, taksometr auta wskazywał 120 lirów.

— Czy znasz adwokata Berniniego? — spytał po obiedzie narzeczony.

— Adwokata Berniniego? — odpowiedziała niewzruszona, udając, że uchyla zastłonę pamięci. — Ach, tak, zdaje mi się... Pamiętam, pamiętam doskonale! To kretny; parę lat temu, nad morzem (czy też może w górach) nudził mnie daremnym nadskakiwaniem.

Jeżeli przyszłoby wybierać nam między mężczyzną, który daje niezbite dowody prawdy a kobietą, która zaprzecza z uśmiechem lub z pocałunkiem, jesteśmy zawsze skłonni wierzyć kobiecie, za kłamcę zaś uważać mężczyznę.

Świadcami małżonka byli baron Hirsch i brat panny młodej.

Kwiat pomarańczowy we włosach, przy pasku, wszędzie...

Berniniego nie było ani w kościele, ani w ratuszu.

Hamilkar, stary druh od dziecka, zaczynał nim pogardzać, jakkolwiek szczęście czyniło go jeszcze zdolnym do przebaczenia.

Hirsch zgarnął spuściznę uczuć, które Hamilkar cofnął Berniniemu. Stał się przyjacielem rodziny, dla którego zawsze się zostawia miejsce przy stole, serwetkę w imien-

nej obrączce, osobną sypialnię — i prawie, prawie, miejsce w rodzinnym grobowcu.

Z biegiem czasu szczęście Hamilkara nie zmniejszyło się.

Był on z tych ludzi, którzy nie żałują że się ożenili; którzy, poślubiwszy kobietę, przyzwyczajają się do jej skóry, nie pożądamy innych i z nią tylko doznają wzruszeń.

Tacy są o wiele szczęśliwsi od innych.

— Szczęście, mój drogi Hirschu, że słuchałem tylko ciebie! Gdybym był słuchał Berniniego...

Bernini należał do tego typu ludzi, którzy żywią jeszcze iluzoryczny kult przyjaźni.

Nie mógł przeboleć, że Hamilkar, jego stary Hamilkar, z którym przeżył najbardziej niezapomniane chwile dzieciństwa i chłopięctwa, oddalił się od niego z powodu kobiety.

Obowiązek przyjaźni skłonił go do powiedzenia prawdy, aby ocalić przyjaciela od niebezpieczeństwa, aby go powstrzymać na brzegu przepaści.

Według niego Hamilkar był sceptykiem, któremu można wyznać najokrutniejszą prawdę, wiedząc, że nic nie jest w stanie go zaskoczyć.

Przypomniał sobie cyniczne dialogi o wierności, o uczciwości, o dziewictwie.

"Gdyby mi pokazano dziewczynę, która by od dnia przyścia na świat była pod szklanym kloszem, nie uwierzyłbym w jej czystość".

Innym razem powiedział:

"Gdybym pewnego dnia postanowił zbudować gmach

małżeństwa na ruchomych piaskach mego uczucia, wziąłbym wdowę, bo biorąc wdowę, wiem, co znajdę; biorąc pannę — nie wiem”.

Bernini zachował jeszcze listy, w których Hamilkar komentował własne przygody. j

Miał właśnie przed oczyma kilka urywków.

....dziewice już się nawet nie rodzą...”

....uczciwość kobiety jest wyrazem bez znaczenia...”

....kobiety, które nie upadają, to te, których nikt nigdy nie skłaniał do upadku...” i

....uważać się za pierwszego w życiu **kobiety** to tak bezsensowne, jak przypuszczać w kawiarni, że się pije po raz pierwszy ze szklanki, którą ci podano...”

„...o czystości panny nic mnie nie przekona, nawet badanie lekarskie...”

Tak pisał Hamilkar Magni jeszcze przed paru miesiącami.

W człowieku najbardziej sceptycznym i cynicznym zawsze ukrywa się sentymentalny blondyn.

Człowiek najbardziej karmiony paradoksami kryje w sobie dwie istoty: myślącą i działającą. Pierwsza rzuca śmiałe myśli i palące prawdy. Druga działa, nie przyjmując idei, ciskanych przez pierwszą, lecz uważa za wygodniejsze zamykanie oczu. Zgadza się na moralność, zwyczaje i sposób myślenia zwykły, tradycyjny, bieżący. Łudzi się, że idee pierwszej stosują się do wszystkich, ale przecież nie do *niej*.

Ludzie sceptyczni, najbardziej anarchistyczni, najbardziej buntowniczy w swych ideologiach, są często trochę tchórzami w życiu, gdy nadchodzi chwila wcieleń w czyn teorii.

Są oni, odwracając wartości, jako ów pastor anglikański, który, sprowokowany przez kogoś, gdy wygłaszał kazanie przeciw pojedynkom, posłał mu wyznanie.

Są jako ci, co gardząc pieniędzmi, wynajdują skąpstwo i spekulacje w bliźnim, a wyrzucani bywają z hoteli, bo nie dają służbie napiwków.

Bernini, który myślał tak samo jak Hamilkar przed paru miesiącami, cierpiał teraz bardzo nad niesłuszną urazą przyjaciela i próbował odzyskać jego przyjaźń, wykazując mu, jak bardzo jest w błędzie.

— Z winy twojej żony — rzekł pewnego razu, gdy dzięki zręcznemu manewrowaniu udało mu się zwabić przyjaciela do swej kancelarii — o której wyraziłem moją opinię na twoje żądanie, utraciłem twoją przyjaźń, która jest mi stokroć droższa niż twoja żona dla ciebie. A że zmartwienie, jakie mi sprawiasz, jest wielkie — dowiedę ci, że mówiłem prawdę. Patrz, oto są wszystkie listy miłosne, które pisała do mnie. To mówiąc Bernini rozwiązał wstążki opasujące sto listów. Czytaj ten, gdzie przeprosza, że zdradziła mnie z Alfanim. I ten, gdzie przysięga, że przede mną należała tylko do Mariusza Accorsi. I ten, w którym wyraża obawę, że jest... I ten następny, gdzie oznajmia, że to tylko było...

Hamilkar chichotał szyderczo.

— Biedaku — rzekł drwiąco. — Nie rozumiesz, że pisała tak, aby się naśmiać z ciebie? Kobieta ta nie należała nigdy ani do ciebie, ani do nikogo.

Bernini wydobył z zalakowanej koperty, na której napisał był: „Po mojej śmierci podrzeć, nie otwierając” — fotografie nagiej kobiety i pokazał ją Hamilkarowi.

Hamilkar śmiał się pogardliwie.

— Znam ja te tricki fotograficzne! Daje się inną głowę i podstawia inny tułów!

Bernini padł na sofę oniemiały, wyczerpany. Hamilkar wyszedł i skierował się do domu.

Pani nie była sama. Kochany baron Hirsch, prawdziwy przyjaciel, dotrzymał jej towarzystwa.

Tego samego wieczoru baron Hirsch spotkał się w klubie ze skonsternowanym adwokatem, który prawie w ataku epileptycznym opowiedział scenę z Hamilkarem.

— Mój biedny chłopcze — odpowiedział Hirsch. — Mężczyzna nie wierzy, kiedy wierzyć nie chce.

— Ale wobec dokumentów!

— Zaprzecza ich autentyczności.

— Wobec dowodów materialnych?

— Zamyka oczy.

— Powiedz mi, powiedz mi ty, kochany Hirschu — upierał się Bernini — czy mam słuszność, nazywając tę kobietę pół...

— Pół, nie. Trzy czwarte.

— A więc było czy nie było moim obowiązkiem ostrzec Hamilkara?

— Nie było.

— Ale dlaczego? Przecież Hamilkar to kawał...

— Zakochanego. Nie widzi już nic. Postępuje jak owi arystotelici, którzy nie chcieli patrzeć przez lunetę Galileusza. Przeczenie fatyguje mniej niż przyznanie racji.

— Wiem o tym, kochany Hirschu! Człowiek ten jest zaślepiony do tego stopnia, że wierzyłby w cnotę żony nawet wtedy, gdyby ją zastał z tobą w łóżku!

Hirsch nalał sobie kieliszek likieru i odparł z prostotą:

— Ale my nie damy się złapać. Jesteśmy ostrożni.

Kieszonka z trucizną

— Nie rozumiem, jaka w tym leży właściwie zasługa skłaniać kobiety do grzechu? Przecież chyba o wiele łatwiej pomagać im, aby upadły, niż by stały mocno na nogach. A zresztą, wszystkie moje przygody były już tak dawno, że mogę się nawet dziś już nimi pochwalić! Mam lat trzydzieści dziewięć i niedługo zacznie się piąty krzyżyk. Zacząłem już farbować sobie włosy.

— Tak się pan szczerze do tego przyznaje?

— Za pomocą chemii sprzeciwiam się destrukcyjnemu działaniu czasu. Za kilka lat nie będę posiadał nawet już tych dwudziestu pięciu włosów, na które wylewam obficie farbę!

Pani ułożyła na szerokim tapczanie stos poduszek, który spłaszczył się pod ciężarem jej ciała i, rozkładając je z wdziękiem, zaprzeczyła:

— Ależ, drogi przyjacielu, jeśli mi chcesz wmówić, że wyrzekłeś się już miłości i przygód miłosnych, dlaczego w takim razie się malujesz i dlaczego zastanawiasz się nad starością, która się zbliża i nad urodą, która się oddala.

Lucjan oparł się wygodniej na stosie poduszek, rozłożonych symetrycznie na tapczanie po jego stronie, naśladując tym ruch swej towarzyszki. (Takie bezwiedne

naśladownictwo ruchów w rozmowach poufnych zdarza się często). Po czym pogładził palcem lśniący atlas poduszek.

— Pani ma ręce tak białe, iż wydają się wyrzeźbione w księżycowym świetle — wyszeptał w rozmarzeniu.

— Nie odpowiedział pan dotąd na moje pytanie — powiedziała Maria, cofając rękę. — Dlaczego ma pan zawsze na myśli swoją powierzchowność, jeśli kobiety przestały pana już interesować i nie ma pan zamiaru im się podobać?

— Staram się zapobiec niszczycielskiemu działaniu czasu, bo mam wstręt do wszystkiego, co jest brzydkie. Robię pewne poprawki i retusze jedynie dla siebie.

— To nieprawda. Nigdy nie staramy się być piękni jedynie dla siebie. Nie wierzę w pańską rezygnację. Kochał pan zbyt wiele kobiet, aby zamknąć nagle chińską szkatułkę, w której jest jeszcze dużo miejsca na listy i aby zamknąć serce, w którym jest jeszcze tyle pragnień i ciekawości.

— Ciekawości? Ależ wszystkie kobiety są tak do siebie podobne! Kurtyzana i kobieta wykształcona, kapłanka Wisznu i panna z prowincji, nauczycielka muzyki i święta tancerka, różnią się jedynie między sobą uczesaniem, ubraniem, połyskiem paznokci. Francuzka podczernia sobie oczy nieco lepiej niż Włoszka, Amerykanka woli sporty niż literaturę, Turczynka nie oddałaby ani jednej z tych poduszek za widok wyścigowego pola. Ale ubierzmy je i uczesmy jednakowo, a będą paplać takie same głupstwa, tylko w odmiennych językach, w rozmaitych słowach i z rozmaitym wdziękiem. Dajmy im pokusę, a ulegną jej wszystkie po kolei. To tylko kwestia czasu... dni... godzin... Pierwsza wpadnie zawsze kobieta wykształcona, potem nauczycielka, wreszcie kapłanka i tancerka, a na samym ostatku kurtyzana.

Jeśli jedna z kobiet zachowuje się inaczej niż inne, musimy doszukiwać się przyczyn jej zachowania w nas samych. Czy sądzi pani, że po wszystkich tych smutnych doświadczeniach, po tych próbach, zbieranych po świecie, pragnąłbym jakimiś dubletami wzbogacić moją kolekcję? Nareszcie znalazłem kobietę inną niż wszystkie. Tą kobietą jest pani.

— Powiedział pan, że wszystkie kobiety są do siebie podobne?

— Pani nie jest taka, jak inne kobiety, choćby przez to samo, że pani jeszcze nie upadła.

— Jeszcze, mówi pan? — podchwyciła ze śmiechem — to przecież tylko kwestia czasu, dni, godzin...

— Lat!

— Zrezygnował już pan!

— Tak. Sentymentalne żebractwo nudzi mnie. Odchodzę już...

— Czy to strategia?

— Nie, to po prostu ucieczka.

Gabinet Lucjana Jumilla tonął w liliowym świetle, które rzucała wielka lampa z jedwabnym abażurem. Z obrębu tego abażuru zwieszały się trzy mosiężne łańcuszki z miedzianą, cyzelowaną misą, w której tliły z wolna kadzidła wschodnie. W wazonie majolikowym umierały żółte, czerwono żyłkowane tulipany. Na szkatułce w stylu mauretańskim leżały szale z Kaszmiru, futra astrachańskie, jedwabie z Damaszku, zwieszając się w sutych fałdach na puszysty dywan ze Smyrny.

— Każda z tych rzeczy budzi jakieś wspomnienia. Każdy przedmiot jest czymś, co zostaje z jakiejś podróży, z jakiegoś niepokoju, z jakiegoś niebezpieczeństwa, z jakiejś godziny pełnej smutku. Żyję w tym gabinecie tak", jakbym żył wśród zmartwychwstającej przeszłości. Cała moja przeszłość tutaj się mieści. Widzi

pani co z niej zostało? Trochę bursztynu z Bałtyku, trochę perłowej masy z Zatoki Perskiej, trochę materii z Benyalu... Będę jeszcze żył przez lat kilka w tym domu samotnym, zanurzony w tych poduszkach i pogrążony w lekturze.

Maria Alfani wzięła do ręki tomik oprawny w jasną skórę, który jej podał Lucjan, i przeczytała głośno wyraz, wyciśnięty złotem na grzbiecie:

— Schopenhauer!

Lucjan, skubiący końcem palców poduszkę, zdjął z niej kawałek puchu, który wysunął się z materii i, przeciągając go przez zamkniętą powiekę, westchnął.

— Schopenhauer! Moja codzienna trucizna!

Kobieta sprawdziła w rękę wagę książeczki i pogładziła z przyjemnością okładkę:

— Jaka dziwna oprawa!

— Taki kolor ma barwa skóry Indianek. Podobało by mi się dzieło wielkiego filozofa oprawne w skórę kobiecą! Cóżby to był za wspaniały kontrast!

— A dlaczego nie dzieło poety?

— Bo dzieło poety w kobiecej skórze — to byłby pani obraz.

— I pan ciągle czyta tę książczynę? To takie aforyzmy, jak ten na przykład, inspirują pańską duszę: „Małżeństwo jest pułapką, którą nastawia natura”? To nieprawda! Płakałam bardziej, gdy umarł mój mąż, niż kiedy go prowadziłam do ołtarza.

— Ach, to pani go prowadziła do ołtarza?

— Nie chciał brać ślubu w kościele. Więc musiałam go zaprowadzić! „Ostatecznym celem życia ludzkiego jest cierpienie”. Nieprawda! Pan mordował się tyle lat, przebiegając góry i przepływając morza w poszukiwaniu szczęścia i nie znalazł go do tej pory. A ja go nie szukałam nigdy, ale łudzę się jeszcze, że je znajdę.

Flirt, który prowadził Lucjan z Marią, od czasu, gdy mąż jej cieszył się jeszcze dobrym zdrowiem, spotęgował się w czasie, gdy ukazały się pierwsze objawy choroby cukrowej; a doszedł do swego apogeum w dniu, w którym zmartwiony Lucjan i zrozpaczona Maria powrócili z krematorium, gdzie w urnę z różowej cegły złożyli popioły drogiego zmarłego. Gdy Lucjan zobaczył, z jaką rezygnacją przyjaciółka jego przyjęła stratę męża, uczuł, że łup mu się nie wymknie:

— Za dwa dni będziesz moja — powiedział.

Ale po tych dwóch dniach upłynęło jeszcze kilka miesięcy, nastął sezon kąpielowy, przyszedł październik, w którym to miesiącu, w sukni od Paquin, zanosila na grób chryzantemy, ale już bez łez. Gdy rok żałoby się skończył, powróciła era fularowych sukien o jasnych barwach, etoli szynszylowych i zimowej mimozy; ale kobieta jeszcze nie uległa.

Wtedy to Lucjan polecił staremu, wiernemu służącemu, aby mu przygotował długi, płaski, lekki kufer, taki, jaki się zabiera w podróż morską, i posłał Marii lakoniczny bilecik: „Wyjeżdżam do Japonii”, na co ona odpowiedziała: „Proszę mi przywieźć nefli”.

— Jakież były wrażenia pana na Dalekim Wschodzie? — zapytała go po powrocie Maria Alfani, podając mu filiżankę czarnej kawy.

— Podobał mi się lepiej, gdy go znałem jedynie z powieści Piotra Loti i z tych dziwacznych krajobrazów na

takich oto filizankach. Fudzi-jamy jest górą niczym się od innych nie różniącą, a długonogie bociany wi-
duje się w muzeach, podobnie jak u nas. Nie ma pani
pojęcia, ile szczęścia mieści się w złudzeniu, zamknię-
tym w wątlej srebrnej siatce i ile goryczy tkwi w rze-
czach, które się zna naprawdę. Rzeczy, które mi się po-
dobają najbardziej to te, których jeszcze nie znam. Na
przykład pani...

— A dla czegoż to w moim wypadku chciałby pan, aby
urok przestał działać?

— Bo panią kocham. Niech pani tylko osądzi jak nisko
upadłem!

I gestem amanta w szóstym akcie tragedii, pokazał
małą, srebrną flaszeczkę, z której nalał do kawy kilka
kropel bez barwy.

— Eter objaśnił kobietę, która nie starała się za-
trzymać samobójczej ręki, i wychylił napój trzema
haustami.

— W tej samej kieszeni — wygłosiła Maria z powa-
gą — miał pan kiedyś Schopenhauera.

— Trucizna, którą noszę obecnie jest znacznie moc-
niejsza. Eter! Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co
to jest eter?

— Eter — odpowiedziała Maria ze spokojem — eter
jest mieszaniną kwasu siarczanego, kwasu etylowego
oraz alkoholu. Mój ojciec był aptekarzem. Jak pan chce,
abym o tym nie wiedziała?

— Dziś rano zrobiłem sobie pierwszy zastrzyk morfi-
ny. Niech pani spojrzy.

I z tej samej kieszeni wyjął metalowe pudełko.

— Sam pan go sobie zrobił? Co za odwaga! Ile to
igieł pan stępi, będąc tak kościstym. No, i co pan ma
jeszcze?

— Liście betelu.

— To pan żuje betel? Ale to jest naprawdę kieszeń samobójcy! Pan chyba oszalał, drogi przyjacielu. W tej kieszeni jest pański wyrok śmierci. Niech mi pan odda te wszystkie trucizny. Pan jest naprawdę dzieciakiem. No, niech pan odda.

Postawił filiżankę i powiedział:

— Nie.

— A skąd pan ma te liście?

— Dostałem je od małej przyjaciółki w Benares, od cudnej Hinduski, córki wielkiego plantatora *cannabis indica*, czyli haszyszu. Przyniosła mi szkatułkę z brązu, napełnioną liśćmi, które sama dla mnie rwała, starą, indyjską szkatułkę, z napisami w sanskrycie, inkrustowaną kością słoniową i onyksem. Było to prawdziwe dzieło sztuki: na pokrywce wyrzeźbiona była dziwna tamtejsza roślina, *ficus religiosa*, która zawiesza swoje konary w ten sposób, że gałęzie, spuszczone ku ziemi, zapuszczają w niej swoje korzenie i tworzą wraz z pniem macierzystym niezliczoną ilość cienistych łuków. W owych łukach mieści się pewna zabawna historyjka z Hindustanu...

— Której wcale nie pragnę usłyszeć. Zauważyłam pańską szkatułkę tego dnia, gdy byłam u pana po raz pierwszy. Ale mi się wcale nie podobały żarciki, które były na niej wryte. Już pan wie, co mam na myśli. Kto wie, ile kobiet, trzymając w swych „pięknych i niewiernych” rękach ową szkatułkę, uśmiechało się, czytając sprośną historyjkę...

— Ale pani się nie uśmiechała.

— Dlaczego nie pojął pan za żonę Hinduski z Benares? Czy nie chciał pan być ojcem małych, ciemnych Hindusków?

— Wołałem, aby była moją kochanką. Na żonę była zbyt piękna. Ożenić się z kobietą tak piękną, czarują-

cą, namiętą, znaczyłoby to samo, co oddać wspaniały poemat, nie czytając go, do czytelnika.

*

* *

— Czy pan mnie odprowadzi do domu? Skąd pan właściwie przychodzi?

Lucjan pokazał z daleka pudełko z morfiną.

Maria Alfani szła powoli po prawej stronie szerokiej drogi, pachnącej kwitnącymi lipami, pomiędzy szeregiem willi i rzeką.

Biały samochód przemknął po żwirze z taką szybkością i szelestem, jakby długa blada ręka szerokim gestem przejechała ostrymi paznokciami po szarym jedwabiu.

Przechodzący panowie mierzyli Marię ciekawym spojrzeniem, od czubków lakierków aż po zalotnie zawiązany pod brodą *noeud d'amour* z jedwabnej chusteczki.

Rudy wyżeł zbliżył się do Lucjana.

— Czy pan zna tego psa?

— Nie.

— Zdaje się, że jest głupi. Ma za długie łapy.

Pies polizał obnażoną rękę Marii.

— On jest bardzo dobry. Dobre istoty nie mogą być inteligentne.

Willa, w której mieszkała Maria, tonęła w różowawym świetle zachodu i na tle trawnika podobna była do pomadki, leżącej na zielonej materii.

— Nie możemy się tak rozstać, drogi przyjacielu. Przecież podczas całego spaceru nie zamieniliśmy ze sobą nawet dziesięciu słów. Niech pan wejdzie. Pogawędzimy swobodnie, a jeśli nie będzie pan chciał rozmawiać, pozwolę panu przyglądać się przez okno cudnemu zachodowi słońca nad rzeką.

Zawahał się na progu. Gałązka pnącej róży zwieszała się z muru, i jeden kwiat wychylał się przez żelazną kratę w stronę gościńca.

— Dlaczego go jeszcze nie ukradli? — zapytał Lucjan.

— Ażeby pan sam mógł to zrobić. No, niech pan wchodzi...

Pięć lat później, Lucjan Jumilla oraz Maria Jumilla Alfani wybierali się, jedno do Rimini, drugie do Aix-les-Bains — po jednej z tych okropnych scen, które podniecają budzące się dopiero uczucia, ale za to gaszą doszczętnie wyczerpane już namiętności. Nie po raz pierwszy rzucali sobie w twarz obelżywe słowa, wyrzucając sobie wzajemnie niewdzięczność i płacząc nad własną głupotą.

Właśnie Lucjan zdrzemnął się na tapczanie, z ilustracją w jednej ręce, a z drugą ręką zanurzoną w kieszeni żółtej piżamy, tak przeraźliwie żółtej, jak upierzenie karnarka. Po tego rodzaju ostrych sprzeczkach zasypiał zazwyczaj twardym snem, licząc na to, że taki sen przywróci jego ciału energię utraconą w gniewie. Sny jego, tym razem, sądząc po wyrazie twarzy, musiały być pełne okropnych wizji.

Oparta o okno, Maria śledziła roztargnionym wzrokiem rój motyli unoszący się dokoła żywopłotu z róż.

— Gdyby Lucjan tu był — myślała — powiedziałyby: nie ma nic równie pięknego, jak motyle podzwrotnikowe!

Lucjan znajdował się o kilka kroków od niej, a jej się wydawało, że jest tak daleko! Jak dalecy są sobie ludzie, gdy usta powiedziały sobie wzajemnie tyle brzydkich rzeczy!

Zwrotnik, dziewczęta indyjskie o skórze barwy okładki Schopenhauera, aforyzm, iż „małżeństwo jest pułapką, zastawioną przez naturę”, liście betelu, eter, morfina...

Maria przypominała sobie wszystkie jego grzechy i wspomnienia przesuwają się przez jej mózg z cichą słodyczą. Czy wtedy cierpiała?... Nie mogła sobie tego przypomnieć... Czy cierpi obecnie?... Nie. Człowiek ten sprawił jej ból, a ona go poślubiła jedynie przez litość. Eter oszałamiał go, betel piekł jego wargi, a morfina niszczyła go coraz bardziej.

Kieszon samobójcy! Kieszon, z której takiego samego wieczoru, przed pięciu laty, w willi wśród lip nad rzeką, wyciągnął lśniący rewolwer, tak lśniący, jak jego oczy wizjonera. Wtedy to ona, która czuła się zawsze przy nim jakąś istotą z powieści, postanowiła oddać mu się całą duszą. Trucizny od razu znikły, a na jego postarzałej przedwcześnie twarzy pojawił się uśmiech szczęścia.

W następstwie tego faktu pojawił się u mężczyzny przesył, po czym nuda, w ślad za którą przyszedł gniew. Jego dusza wytwornego włóczęgi szarpała się w monotonii małżeńskiego pożycia, a małżeństwo uwierało go, jak obroża na szyi. Wspomnienia przeszłości szumnej i bujnej kusily go coraz więcej.

Przed oczami przesuwają mu się ciała młodziutkich Hindusek pełne oddania w trakcie aktu miłosnego i nigdy nie protestujące bez względu na to gdzie wkręcał im swój wielki zakrzywiony korkociąg, Wiedział, że dziewczęta, choć brały za to pieniądze, kochały go na swój sposób. Przypomniawszy sobie noce z hinduskimi dziewczętami, które kochały się ze sobą a on kierował całym spektaklem siedząc w pewnym oddaleniu, by lepiej widzieć. Kiedyś kazał im się położyć na wyściełanej miękkimi matami podłodze i utworzyć czworokąt — każda z nich zanurzała swój różowy języczek w nie mniej różowych wargach sekretnych swojej partnerki. Pamiętała

jak chodził od jednej do drugiej, jak przyklękał i oglądał ich podniecone twarze.

Bardziej wszak podniecał go ów wieczór kiedy kazał dziewczętom robić to, co je najbardziej podniecało. Podniecać się czymś podnieceniem to wyższy szczebel niż czuć tylko swoje własne podniecenie. Ich jęki i krzyki rozbrzmiewały mu jeszcze w uszach, gdy patrzył na leżącą przy nim kobietę, która nigdy nie kochała go na żaden sposób. Myśl o tym, że jego żona nigdy go nie kochała wywołała w nim rezygnację i senność.

— Jak można kochać człowieka, który nosi żółtą piżamę — myślała Maria, rzucając niechętnie spojrzenie w stronę męża — jak można znieść obok siebie człowieka, który zasypia po momencie, gdy mu powiedziałam, że nie kochałam go nigdy?

Lucjan, jakby czując przez sen wzrok Marii, przewrócił się na drugi bok.

Wtedy kieszeń z truciznami ukazała się w fałdach kurtki. Maria zbliżyła się zaciekawiona maleńkim różkiem papieru, który wystawał z tej kieszeni i ze zwinnością, z którą niegdyś wydostała z tej kieszeni rewolwer, tak że tego nie spostrzegł, wyciągnęła z niej kopertę.

— Jakaś nowa trucizna!

Otworzyła ostrożnie kopertę, aby nie obudzić śpiącego szelestem papieru, i wyciągnęła z niej powolutku, do czwartej części, do połowy, fotografię. Fotografię kobiety!

Zobaczyła najpierw jedno ramię, potem pukiel włosów, ale już nie pragnęła zobaczyć więcej. Zamknęła kopertę, wsunęła ją do kieszeni, pełnej trucizn, i zapięła ją z powrotem.

Zbyt przykre dla kobiety u schyłku młodości jest zobaczyć własną fotografię sprzed paru lat, z tych czasów, gdy była jeszcze piękna, gdy miała wiele, wiele złudzeń!

Okno matki

Żona nie miała zamiaru towarzyszyć mężowi w jego wędrówkach po kraju. Gdybym zamiast za profesora — mawiała — wyszła za mąż za kapitana okrętu, może musiałabym wędrować z nim przez oceany i zaglądać do wszystkich części świata. Jakżebym jednak mogła przystosować się do życia małomiejskiego, ja, która miałam tak wesołą i bogatą młodość, ja, którą oklaskiwał król syjamski, i która w zimie zasypana byłam wiosennymi różami w Folies Bergeres? Jeśli chciał mieć pielęgniarkę, która by go wyciągała spod pierzyn i gotowała mu ziółka, mógł się nie zwracać do Gobette Cigogne, najbardziej fascynującej tancerki po pięknej Otero, i najcnotliwszej śpiewaczki o Yvette Guilbert.

Profesor Simoni poznał ją w zadymionej piwnicy variete, pewnego wieczoru pełnego melancholii. Dziewczyna płakała z zimna, a także dlatego, że dyrektor nie chciał z nią odnowić kontraktu. On zaś oddał jej własne futro i w oczach boskich i ludzkich zawarł z nią kontrakt na całe życie. Ażeby pobłogosławić ich związek — jak się to pisze w romansach dla panienek — urodziło im się w niespełna rok dzieciątko. Ktoś mimo to twierdził złośliwie, że urodziło się za wcześnie.

Teatr jest koszulą Nessusa, twierdzi Kean. I przez

cztery lata powtarzała to Gobette Cigogne, która, zmęczony się krótką przerwą, powróciła na deski sceniczne z nowym zapałem i nowym repertuarem.

— Mój mąż jest powodem całego zła. Jeśliby zamiast być nauczycielem dwóch języków martwych zabrał się wraz ze mną do zrobienia „numeru buffo”, bylibyśmy już bogaci i szczęśliwi. Z tym nosem jak ogórek i ochrypłym głosem, byłby niezrównanym komikiem. Nie chciał! Wolał, aby się z niego wyśmiewali uczniowie!... Dobrze mu tak!

Z biegiem lat córka podrosła a matka postarzała się. Ta ostatnia usunęła się (a raczej została usunięta) z teatru, zaś pierwsza skończywszy pensję, zgodziła się być asystentką ojca i towarzyszyć mu w jego karierze profesorskiej. Matka urządziła sobie w Mediolanie mieszkanie, przy czym dwa pokoje odnajęła studentowi weterynarii i nauczycielowi śpiewu. Sprzedała początkującej śpiewaczce skrzynie z kostiumami, za wyjątkiem kostiumu Salome, albowiem idąc w niedzielę do kościoła, zastaniała głowę welonami, które przed dwudziestu laty fruwały między anemiczną twarzą Johanaana i półkuli-
mu stym brzuchem Heroda, tetrarchy galilejskiego.

W małej mieścinie piemonckiej, córka jej, Maria, spędzała dni w niewinności hodując w ogródku mirty, syjąc pożywienie turkawkom, szykując obiad ojcu, czyszcząc mu wytarte i zzieleniałe surduty benzyną. W ciepłe letnie poranki przesiadywała w różanej pergoli, czytając żywoty Świętych.

Zanim udali się na nową posadę, profesor z Marią zatrzymali się parę dni w Mediolanie u matki. Jej mieszkanie znajdowało się w głębi podwórza i trzeba się było do niego przedostawać pomiędzy zastawionymi stołami małej ludowej jadłodajni. Na drzwiach był jeden dzwonek na sznurze i drugi elektryczny z białej porcelany,

jakby to miało symbolizować dwie oddalone od siebie epoki: przeszłość i teraźniejszość, staroświeckość i postęp; ale na korzyść przeszłości — dzwonek elektryczny nie wydawał dźwięku.

Pani Simoni otworzyła drzwi w żółtym obfitym szlafroku i zanim rzuciła się na szyję kochanym gościom, poleciała im kilkakrotnie, aby wytarli nogi o mały dywanik, zrobiony przez nią osobiście z kolorowych, najbardziej fantastycznych skrawków tkanin.

— Za nic nie pozwolę, abyś wlokł za sobą moją córkę podczas twojej włóczęgi. Dałbyś jej fatalny przykład swoim rozwiązłym życiem, a Maria, mając szesnaście lat, nie może być ciągle sama. Spędzasz dni między gimnazjum a winiarnią podczas gdy Maria, będąc już dorastającą panienką, potrzebuje opieki. Znam dzisiejsze panny. Jeśli nie są ustawicznie czymś zajęte, popadają w grzech i są stracone. W tym wieku oko matki jest niezbędne.

Przy stole profesor musiał niestety bez końca wchłaniać tę tyradę oraz wodę mineralną. Próbował energicznie stawiać opór, ale żona postawiła na swoim. Wieczorem odjechał, zaś Maria położyła się spać w nowym mieszkaniu, obejrzawszy z zachwytem fotografie, które stanowiły artystyczną i pełną chwały przeszłość Gobette Cigogne, szansonistki i tancerki.

— Naprawdę miałem zamiar studiować medycynę. Sprawy dziedziczności, nerwic i embriologii zaciękały mnie zawsze swoją mglistością i związkami, jaki zachodzi między nimi a pewnymi tajemnicami filozoficznymi. Ale z czasem przekonałem się, że medycyna stoi

w takiej odległości od postępu, iż zwróciłem się ku weterynarii — nie tylko dlatego, że jest ona jeszcze bardziej zacofana, ale dlatego, że zwierzęta nie mogą doprowadzić do szweskiej pasji tych, którzy je leczą...

— Więc pan nie wierzy lekarzom?

— Zupełnie nie wierzę. Hipokrates twierdził, że sztuka leczenia jest podobna do sztuki zgadywania.

— A kiedyż żył Hipokrates?

— W czwartym wieku przed Chrystusem; ale gdyby żył teraz, nie zmieniłby swego zdania.

— Od tego czasu zrobiono jednak olbrzymie postępy!

— Postęp medycyny polega na tym, że zmieniły się nazwy chorób.

— W tamtych czasach używano środków, które istotnie były niezawodne: kamieni magicznych, poświęcanej wody, wyrazów kabalistycznych...

— I dziś nic się nie zmieniło pod tym względem. Wyrazy kabalistyczne zastąpiła *reklama*, kamienie magiczne — *radiu*, poświęcone wody — *wody mineralne*, ale efekt pozostał ten sam.

Pomiędzy studentem weterynarii a panną Marią zadzierzgnięte zostały węzły braterskiej przyjaźni. Młodzieniec wprowadził ją w dziedziny dotąd jej nieznanne, w dziedziny nauki i literatury, pracy i światowości.

Codziennie, pijąc herbatę, podawał jedną filiżankę panience, która zrazu opierała się, a następnie wypijała ją łąpczywie.

Student posiadał piękny imbryk z malachitową rączką, taki, jaki miał Oskar Wilde, a nad jego łóżkiem wisiła reprodukcja *Wyspy Umarłych* Bócklina.

— Malachit. To brzmi jak nazwa nieuleczalnej choroby. Cóż za cudny zielony kolor.

— Tak zielony jak pani oczy, panno Mario...

Po raz pierwszy w życiu Maria przejrzała się w lustrze ze skupieniem i z pewnym zadowoleniem.

— To prawda! Nigdy tego nie zauważyłam!

— Jestem niezmiernie wdzięczny mojemu lustru — komplementował — w którego kryształ odbijała się tajemnica takiej piękności.

Ten weterynarz-esteta, który godził czytanie poezji ze studiami nad wściekлизną, wywierał tajemniczy wpływ na panienkę.

— Będę studiował weterynarię, aby żyć, gdyż sztuka nie daje chleba; i dobrze, że tak jest: sztuka znajduje się poza obrębem życia; sztuka jest czystym pięknem, a czyste piękno — jest niewidzialne.

— To, co się sprzedaje, jest pięknem nieczystym — westchnął, a w jego głosie zadźwięczała nuta melancholii. Anielska dziewczica opisywała mu swoje popołudnia w różanej pergoli, spędzane na czytaniu żywotów Świętych, zaś on wyobrażał sobie malowidła prerafaelitów, mające dookoła wykrochmalone parkany z mirtów.

— Przypomina mi pani pewien stary obrazek, który bardzo lubiłem, będąc dzieckiem. Ach, temat tego obrazka jest prosty! Dziewczynka podaje listek sałaty kanarkowi. Wtedy wydawało mi się, że wszystkie dziewczynki są takie, jak tamta. Teraz już wiem, że taką dziewczynką jest tylko jedna jedyna na świecie. Pani.

Wieczorami, w ciszy swego pokoju, przyglądał się wodzie, która otaczała *Wyspę Umartłych*, tak uporczywie jak się patrzy na ster czółna. Wlepiął oczy w czarne cyprysy stojące na straży wieczności, a jego myśl biegła w utęsknieniu do dziewczęcia, które spało snem niewinnym w domu tchnącym rozpustą.

Wreszcie któregoś dnia wziął ją za rękę i długo do niej przemawiał. Przez ten czas maestro akompaniował na pianinie wydzieraniu się jakiejś szansonistki. A ona

wyobrażała sobie życie pełne przygód i wrażeń, na deskach scenicznych, w nocnych spelunkach, w awanturniczych podróżach po świecie.

Zaś młodzieniec mówił bez przerwy o małym domku swego starego ojca i spokojnym życiu w cichej mieścinie.

Maria znalazła w pudełku mały przedmiocik z kościaną rączką i wieczorem, gdy nalewała herbatę, student zauważył, że jej paznokcie błyszcząły jak słońce.

— Zmieniła pani także fryzurę. Dlaczego? Tak pani było do twarzy w tych gładko zaczesanych włosach związanych czarną wstążką!

— Wyglądałam jak panna z prowincji, jak lafirynda. Czy się panu nie podoba loczek na uchu? Nazywa się *accroche-coeur*. Zrobiłam go sobie jedynie dlatego, że się ładnie nazywa.

Maestro przedstawił jej sympatycznego francuskiego artystę z nastroszoną zawadiacko czupryną. Śpiewał w *Taverna Rossa* i naśladował Mayola.

— *La jolie musique americaine...*

Miał ogromną dezynwolturę i był niezmiernie elokwentny. Mówił dziwaczną włoszczyzną naszpikowaną paryskim *argot*. Opowiadał z werwą o nocnym życiu na Montmartre i zabawach w lunaparku; opisywał jej poranne przejażdżki autem przez *Avenue des Champs Elysees* i swoje sukcesy w *Casino de Paris*.

A ona wyobrażała sobie wtedy, jak to damy w zamszowych pantofelkach na wysokich obcasach drepcą po miejskim bruku, w towarzystwie panów w cylindrach i rozpylają dookoła wiosenny zapach *lilas pourpre* i jesienną woń *origanu*.

— Pani mnie nigdy jeszcze nie słyszała, panno Mario. Niech pani przyjdzie koniecznie dziś wieczór.

— Dziękuję bardzo. Ale wieczorem matka mnie nie puszcza z domu.

— Niech pani dziś przyjdzie na próbę. Nie ma w tym nic zdrożnego. Niech pani poprosi mamę, aby pozwoliła.

— Niech pan jej to powie.

Właśnie nadchodziła matka, kręcąc młynkiem do kawy, co czyniła nieraz ostentacyjnie, by dać dowód, że w kawie znajduje się nie tylko cykorja.

— *Absolument, monsieur. N'insistez pas. Je ne permettrai jamais que ma filie frequente les music-halls, les varietes. Je connais ces lieux-la malheureusement!*

— Ach, wiemy o tym dobrze — przerwał maestro. — Pani dobrodziejka była gwiazdą! Oklaskiwał ją sam król Syjamu!

— *Aux „Folies Bergeres”, au coeur de l'hiver, je fus litteralement ensevelia sous plus merveilleuses roses printanieres arrivées pour moi de la Côte d'Azur.*

— Jak się pani nazywała?

— Gobette Cigogne.

— Ach! — wykrzyknął naśladowca Mayola. — Gobette Cigogne! Cała Francja mówi jeszcze dzisiaj o pani, słynnej, słynnej...

— Tancerce i szansonistce — przyszedł mu z pomocą maestro.

— Oczekują wciąż jeszcze pani powrotu na scenę...

— *Oh, flatteur! A mon age!* Jestem dziś już tylko...

Pani domu odstawiła młynek, który czuł się nieswojo w tych rączkach, co znały wagę brylantów i wyprężyły się podczas słynnego wężowego tańca Salambó.

— A więc? — nalegał śpiewak.

— O której kończy się próba? — zapytała matka, jeszcze wibrująca radością po usłyszanych przed chwilą komplementach.

— O trzeciej.

— *C'est bien. Mais qu'a trois heures et quart ma filie soit rentree a la maison.* — I zwracając się do maestra: — Żeby o kwadrans po trzeciej była w domu.

Próba skończyła się o trzeciej. Maria nie później jak o wpół do ósmej biegła na górę po schodach, podśpiewując:

La jolie musique americaine...

— Droga mateczko — odezwała się zasiadając do stołu — chcę się uczyć śpiewu.

— Nigdy na to nie pozwolę!

Nazajutrz Maria brała pierwsze lekcje i robiła matce wyrzuty, że sprzedała skrzynię z kostiumami. W ciągu kilku tygodni zrobiła tak znaczne postępy, że sam maestro wyjednał dla niej kontrakt. Matka towarzyszyła jej we wszystkich *tournee*, a gdy w Paryżu pewien hrabia, który ją kochał, kazał jej zejść ze sceny i ofiarował willę w Bois de Vincennes, stara dama zażądała także pokoju dla siebie. Hrabia trzy dni w tygodniu spędzał tam wieczór, a Maria, aby nie umrzeć z nudów, przyjmowała paru przyjaciół hrabiego. Pani Simoni zjawiała się od czasu do czasu, by goście mogli ją ucałować, lecz po chwili usuwała się dyskretnie, rada ze swej troskliwej opieki i spełnionego obowiązku.

A do niepokieszonego studenta, który jej przestał stary obrazek przedstawiający dziewczynkę podającą kanarkowi listek sałaty, odpisała z podziękowaniem w tych słowach: „I ja również osiedliłam się w Paryżu, gdyż młoda dziewczyna nie powinna samotnie żyć w tak zepsutym mieście. Oko matki jest konieczne”.

*Przewoźnik
pięknych kobiet*

Pani Donatella wkroczyła w ów krytyczny okres, kiedy mężczyźni przestają ustępować miejsca w przepełnionym tramwaju, z jednej strony nie czując już podziwu dla zanikającej niemal urody, z drugiej zaś — nie poczuwając się jeszcze do obowiązków, jakie stwarza przywilej wieku.

Właśnie w tym czasie poznała Attilia, młodzieńca w spodniach tak nieposzlakowanie gładkich, jak gdyby kładł je na noc pod prasę drukarską. Przyjaciele nazywali go „przyjacielem wyłatacalnych” właśnie dlatego, że kochał się tylko w kobietach przekwitających, w okresie likwidacji ich urody.

Siedząc przed lustrem, mydlił sobie twarz, by osłabić ostrze brzytwy, gdy zobaczył Donatellę, wychodzącą z hotelu, z japońskim psem na smyczy, który miał oczy krągłe i wyłupiaste, jakby cierpiał na chorobę Basedowa.

Okno parterowego mieszkania Attilia wychodziło na ogród.

— Co pan gwizdże? — spytała.

— Melodię węgierską — odpowiedział młodzieniec, nie przestając się mydlić. — Nie poznaje pani duszy czardasza?

W ten sposób zawarli znajomość.

Później często miała sposobność słyszenia tej węgierskiej melodii.

Attilio był przez dłuższy czas oficerem artylerii, aż niespodziany spadek po wuju wyniósł go do rzędu ludzi bogatych. Wysłał wówczas depeszę do ministerstwa spraw wojskowych tej treści:

„Ponieważ powód, który skłaniał mnie do służby Królowi i Ojczyźnie, przestał być aktualny, niniejszym mam zaszczyt prosić o dymisję”.

Poprzedni zawód nadał jego wyglądowi zewnętrznemu pewien nieprzymuszony wdzięk, w zachowaniu zaś pozostawił uśmiechniętą pobłażliwość, dla wszystkich przesądów, konwenansów i stanowisk.

Kobiety nie mają własnego zdania; tym nie mniej przechylają się zawsze na stronę opinii bardzo krańcowych. Albo imperializm, albo anarchia; albo bigoteria, albo herezja; nie rozumieją stopniowania, niuansów, półtonów.

Attilio wywarł na pani Donatelli wielkie wrażenie swymi światoburczymi poglądami, w które ją wtajemniczał podczas długich spacerów brzegiem morza, w cieniu tamaryszków. Zaskarbiła sobie jego miłość pilnością, z jaką nosiła zawsze w kieszeni kostiumu pudełko zapatek i podsuwała mu je, gdy sięgał po papierosa.

Była to współczesna westalka, strażniczka świeckiego ognia.

Prawdziwa miłość często zaczyna się wśród bardzo skromnych okoliczności. Donatella i Attilio zamienili pierwszy pocałunek na zakończenie żartobliwej gawędy o uczuciach patriotycznych i nacjonalistycznych, przy czym w zupełności zgadzały się ich opinie.

Pierwszy pocałunek w usta, które właśnie zamierzają wyzdrowieć z tej ostrej i wyniszczającej choroby, jaką jest młodość, które bliskie są tego, by zapomnieć, co to miłość — pocałunek taki jest jak ziele, trujące na śmierć.

Dziewczęta, dopiero rozkwitłe, młode kobiety — nie domyślają się nawet, jak poważne mają rywalki w tych przekwitających kobietach. Są one bowiem najbardziej stężonym ekstraktem samiczki. Inne mają w sobie jeszcze coś dziecięcego. Młodość jest antytezą absolutnej kobiecości. Pierwsze białe włosy, oznaki znużenia, zmarszczki, zwiotczałe mięśnie — wszystko to oznacza początek złotej ery w życiu kobiety. Zbliżanie się tej nieubłaganej chwili, która wyłącza macierzyństwo, przypada jednocześnie z epoką właściwej miłości, owej miłości, która już nie ma na celu zwierzęcego utrzymywania gatunku, ale jest celem sama w sobie.

W rozkładzie dnia frywolnej paryżanki istnieją dwie godziny, zarezerwowane dla rozkoszy: *de cinq a sept*. Tak samo w życiu kobiety właśnie rozpoczyna się owa godzina przedwieczorna, od piątej do siódmej, przeznaczona wyłącznie dla miłości.

Antillio mówi:

— Jak nieszczęśliwy będę w dniu, kiedy będę musiał zadowolić się niepełnoletnimi dziewczątkami, gdy kobiety czterdziestoletnie nie będą chciały już na mnie patrzeć!

Lubił kobiety u rubieży młodości, o wypłowiałych duszach, o oczach pełnych jesieni, o ledwo dostrzegalnej trupiej woni. W tym okresie życia przełamały już wszystkie fazy zbytecznych słów, pisemnych formalności, zakłamanej minoderii, konwencjonalnej rezerwy. Oddają się mężczyźnie, który pożąda z rozpaczą wygnanie i z nadzieją rozbitka, i składają na całopalenie wszyst-

ko, co w nich pozostało z ducha i zmysłów, z ufności i z otuchy. Są związane z przeszłością, która prześwieca przez ich wyznania i przez ich milczenie, przez niedopowiedzenia, przez łzy, westchnienia, szlochy, pauzy, spojrzenia pełne wspomnień, zawiedzione nadzieje, nie zaspokojone tęsknoty i wymuszaną namiętność sytego już ciała.

Ale za to nigdy nie grają komedii zawstydzenia i nigdy nie pisują sentymentalnych listów. Młodość, nad którą zapada wieczór, broni się pudrem sypanym na twarz, ochrą i karminem nakładanymi na policzki, podnieca uśpione nerwy malowniczą złudą namiętności i pożądania. Sugeruje żal mężczyźnie, że nie znał naturalnej świeżości tych lic, młodzieńczego ognia tych warg, błysku źrenic, spazmu rozkoszy, przesywającej młodziutkie, niewinne zmysły — zazdrość o przeszłość, o nieodwołalnie minioną urodę, pożądanie upojeń bezzwrotnych, darowanych, być może, wielu, wielu innym.

Gdy przeciskasz ją do siebie, ostatni kochanku, wydaje ci się, że poprzednicy wydrążyli w jej ciele rozkoszne dołeczki, abyś ty miał gdzie złożyć głowę.

Wszyscy ci mężczyźni nieświadomie pracowali dla ciebie — dla ciebie hodowali tę kwintesencję kobiecości, ten cudowny ekstrakt niewieściego czaru.

Lata kształtują jej charakter, rozwijają jej inteligencję. Stare fotografie dowodzą, że niegdyś była świeższa niż dziś — ale za to dziś jest bardziej sobą. Czas ustalił jej typ.

I gdy odda się tobie, ostatniemu kochankowi, poczujesz, że jej serce to zaciszny schron, przesiąknięty wewnętrznym ciepłem — kiedy pokona w sobie pierwszy wstyd nad swym przekwitem, znów zobaczysz ją w krasie młodości i wdzięku, jakby kochała po raz pierwszy w życiu.

Ostatnia miłość jest jak ostatni pociąg nocny — po

krótkiej podróży masz wrażenie, że to pierwszy pociąg poranny.

Była piękna, trująca, jesienna jak chryzantema.

Rosła, szczupła, smukła niby chłopak, potrafiła wzbudzić zainteresowanie dla swojej osoby. Ubierała się zawsze na czarno, nosiła zgrabne angielskie kostiumy. Wąskie czerwone usta przecinały matową bladość policzków. Głęboko zapadłe, ciemne oczodoły ukrywały znużenie pod cieniem woalki lub też rondem niewielkiego kapelusika, który pokrywał jej czoło, zbrzdżone troskami.

Gdy ktoś widział ją z tyłu, mógł przypuszczać, że jest to młoda dziewczyna, wracająca z tenisa. W jasne słoneczne przedpołudnia nie wychodziła z domu, ukrywając się za firankami o niewyraźnych, zwodniczych barwach. Z wielką zręcznością, która stała się jej drugą naturą, umiała zawsze i wszędzie ustawić się do światła tak, by wyglądać ładnie i interesująco.

Ubierała się według ostatniego krzyku mody, umiejętnie podsycając w ten sposób swój urok. Zazwyczaj starsze się kobiety niechętnie rozstają się z modą z ich lepszych, minionych lat — i przestarzały krój sukni, i niemodny fason kapelusza podkreśla tylko ich ruinę; zachowują i powtarzają postawę czy też osobisty gest, który je niegdyś wyróżniał, lecz dziś — skoro młodość je opuściła — gesty te czy zachowanie wywołują wrażenie wręcz groteskowe. W poszukiwaniu wdzięku i kokieterii przesadzają, uderzają w niewłaściwy ton i przypominają małe dziewczynki, które bawią się w dorosłe damy. I ta komedia, która u młodych osób wyglądałaby co najwyżej na pewną afektację, u kobiety podstarzałej

staje się niemiłym natręctwem — zbyt głośny śmiech przekształca się w histeryczny grymas — nagły smutek w oczach otoczenia wydaje się niedokwasotą i te piękne niegdyś kobiety wywierają wrażenie, jakby występowały z kart starych almanachów.

Stają się własną karykaturą z minionych dni, karykaturą coraz okropniejszą, która w końcu wygląda jak *danse macabre*.

*
* *
*

Donatella natomiast stosowała się posłusznie do wszystkich nakazów, dyktowanych przez wymagających, nieubłaganych mistrzów igły.

Szła za głosem epoki i odnawiających się nieustannie wymagań smaku, skrupulatnie przestrzegając wszystkie żądania mody: co pewien czas przekształcając się całkowicie, od szpilek do włosów począwszy, a skończywszy na wykroju klejnotów i zapachu perfum.

Wyposażona w ciało nieskazitelnej budowy, w spadziste ramiona, drobną pierś i wąskie biodra, jak gdyby zapożyczone od starożytnych egipskich boginek — Donatella miała szczęście osób szczupłych — mianowicie niespożytość. Potrafiła być bądź rzeczywiście szczupłą, bądź *fausse maigre*. A w oczach mężczyzn, którzy bardzo sobie cenią kobiety z podwójną karoserią, jest to atutem.

Poza tym miała wielki talent do przemian: pomiędzy zakończeniem jednego romansu a początkiem drugiego odświeżała fryzurę i barwę włosów, podobnie jak transatlantyckie parowce, które przed nowym rejsem lakieruje się na świeżo.

Nie dokuczała mężczyznom obłudnym oporem, lecz skoro postanowiła upaść, to „padała uśmiechnięta”, jak starożytni herosi.

Nie przyrzekała nigdy wiecznej miłości, namiętności a *forfaits*. Nie groziła zdradą, ani też nie przysięgała dozgonnej wierności. Wiedziała bowiem dobrze, że zdrada kobiety jest tylko owocem jej woli. Wierność natomiast jest nieprzewidywanym wytworem przypadku.

Attilio ze swej strony nie chciał wybiegać ponad tok zjawisk, ponad kulminacyjny punkt swego szczęścia. Nie usiłował śledzić, czy kochanka go czasem nie zdradza. Nawet pozwalał jej czasem na niewielkie odchylenia od utartej drogi.

Jeżeli kobieta, którą kochasz, chce iść za głosem serca, czy zmysłów, raczej pozwól jej odejść, niż miałbyś ją zatrzymać siłą lub powagą własnego autorytetu. Może się bowiem zdarzyć, że jeszcze do ciebie powróci. Jeżeli zaś będziesz jej przeszkadzał, utracisz ją na zawsze.

Nawet gdybyś cierpiał z powodu jej niewierności, nigdy nie pytaj:

— Dlaczego to zrobiłaś?

Kobieta, która zdradziła, zawsze przerzuci na ciebie odpowiedzialność: bo ty ją zaniedbujesz, bo ty ją śledzisz, bo ty nosisz żółty krawat. Naiwne wyjaśnienia? Ale racja jest po jej stronie: nie powinieneś żądać żadnych motywów. Kobieta zdradza bez powodów, zdradza, bo miała ochotę zdradzić. Skoro jej to sprawia przyjemność, możesz jej wpakować kulę w skroń, ale nie wolno ci żądać wyjaśnień. I nie mów jej nigdy: „Zdradziłaś mnie z człowiekiem, który jest mniej wart ode mnie” — gdyż kobieta nie zdradza po to, by zrobić zamianę na lepsze, ale po prostu po to, by zrobić zamianę — jakakolwiek.

Na początku znajomości Attilio nie chciał nic wiedzieć o Donatelli. Zagłębiać się w przeszłość kobiety, którą zaczynamy kochać, jest równie nieostrożne, jak zaglądać do kuchni restauracyjnej w momencie, gdy zamierzamy zasiąść do stołu.

Nie odgrywał przed nią komedii wzruszeń ani też nie udawał zblazowanego młodzieńca. Popisywał się raczej pewną przeciętnością na pokaz.

Mówił:

— Wszystkim ludziom zdarzają się różne dziwaczne przypadki. Mnie zaś — nigdy. Nic mnie nie dziwi. Nawet gdybym miał się położyć do łóżka z królową Gagatangaru, nie widziałbym w tym nic nadzwyczajnego: ostatecznie, nawet królowa Gagatangaru musi z kimś kłaść się do łóżka. Gdybym został ojcem dziecka o czterech głowach, jeszcze nie widziałbym w tym nic szczególnego: przecież podobne żywe fenomeny można zobaczyć na każdym jarmarku. Gdybym został skazany na czterdzieści lat ciężkiego więzienia za to, że ukradłem i schowałem sobie do kieszeni katedrę mediolańską — nie dziwiłbym się także, gdyż przecież pomyłki sądowe wynaleziono, bądź co bądź, w jakimś praktycznym celu.

Nie starał się olśniewać swych najbliższych ekstrawaganckimi paradoksami. Każdy zna ich formułkę. Goli-broda, strzygąc włosy, produkuje ze dwadzieścia sztuk — dzieci uczą się abecadła z elementarza paradoksów. Emerytowani kolejarze, pułkownicy w służbie czynnej, starsze panie — wszyscy wyrażają się używając paradoksów. Pośród tych improwizowanych *Larochefoucaults* wciąż jeszcze *La Palisse* jest najoryginalniejszy.

Po tym przydługim wstępie łatwo można pojąć, że Attilio i Donatelli nic nie brakowało do szczęścia — jak mówią poczciwcy.

Wiele miesięcy minęło i wiele lat. W jaki sposób?

Spędzali czas w kawiarniach, w teatrach, w uzdrowiskach, w hotelach, na wyścigach, u antykwariuszy. Objeżdżali świat w poszukiwaniu temperatury, która zgodnie z nakazami kalendarza w danym okresie omijała ich ojczyznę.

Kobieta najbardziej kocha takiego mężczyznę, który przywiązuje się do niej coraz goręcej, który nie dostrzega — czy też może nawet dostrzega? — że z nią razem chyli się ku upadkowi.

Były chwile w życiu Atillia, że dręczyła go niespokojna tęsknota za młodością, że pragnął poszukać sobie innej, mniej farbowanej towarzyski, która odczuwałaby zdziwienie i ciekawość, w której oczach mógłby odczytać młodzieńczy dar zdumienia i entuzjazmu. Ale po krótkotrwałych przygodach wracał do swej starej kochanki.

— Dlaczego ty, na miłość Boga, nie zrywasz z tą kobietą, która cię więzi od ośmiu lat? — zapytał go pewnego dnia jeden z aspirantów do znawstwa psychologicznego, jakimi są tak zwani „światowcy”.

— Od ośmiu lat! — westchnął Atillio — od ośmiu lat! Właśnie cała sztuka polega na tym, że można rzucić kobietę po miłostce, która trwa trzy miesiące, ale nie po ośmiu latach współżycia. Po tym czasie następuje polaryzacja naszych nerwów współczulnych — nasze ciała utworzyły jakby spław chemiczny. Gdybyśmy zerwali, niektóre molekuły jej ciała zostałyby we mnie, niektóre zaś moje molekuły uwięzłyby w niej. Nie tylko że moja kochanka zbudowała dla mnie cały świat, ale nauczyliśmy się żyć tymi samymi sympatiami i antypatiami, mamy te same upodobania i te same nałogi. Myślimy podobnie i wyrażamy się podobnie. Znamy wzajemne błędy, znamy wzajemne słabości. Każde z nas stanowi dla drugiego soczewkę, przez którą musimy patrzeć na świat, aby mieć odwagę żyć w dalszym ciągu.

— A zresztą — dorzucił po chwili wahania — uczepiłem się tej starszej pani, aczkolwiek jej trudny charakter, jej podejrzliwość postarzają mnie z dnia na dzień, gdyż u jej boku wciąż mam złudzenie, że jestem

jeszcze młody. Ale kiedy — gnany potrzebą świeżości — uciekam od niej i szukam zbliżenia z dziewczątkami, dopiero obok tych młodych wiośnianych panienczek czuję, jaki jestem już stary. Tak więc żyję w atmosferze wędnącej kobiety, która mnie przedwcześnie postarza, gdyż starzejąc się, istotnie przy niej czuję się jeszcze młody; natomiast dziewczęta, które mogłyby mi przywrócić młodość, właśnie przypominają mi starość swą młodością.

— Jeżeli ci się to, co powiedziałem, wydaje rebusem, albo jeśli przypominam ci psa, który kręci się w poszukiwaniu własnego ogona — to możesz podziękować Panu Bogu, żeś sam na własnej skórze nie przeżył podobnej tragedii.

Istnieje jedna przeszłość, której nie można całkowicie zgładzić, zniszczyć bez śladu: to przeszłość kobiety, która należała do wielu mężczyzn, nim wybrała jednego. I ból, który ta świadomość sprawia, może załagodzić tylko jedna odtrutka: nadzieja, że ów wybrany będzie ostatni.

Ten, kto nie zna prawdziwej miłości, nigdy nie karmit się nadzieją, że będzie ostatnim kochankiem.

Nie zaznał bowiem wstrząsającego poczucia, że jest przewoźnikiem odchodzącej młodości, która odbija od brzegu z kobietą jeszcze piękną i z wolna w swej barce przepławia się na drugi brzeg, gdy jej piękność już zwietrzała. Był świadkiem jej wysiłków utrzymania się na powierzchni. Widział jej borykanie się z czasem, jej rozpacz kojoną ostatnim złudzeniem, przemiany jej nastrojów od zaślepienia do dalekowzroczości, od zniechęcenia do nadziei, od rezygnacji do buntu.

Kobieta przekwitająca jest pełna optymizmu. Widząc pierwszy siwy włos, wzdycha:

— Mam jeszcze dwa lub trzy lata młodości przed sobą. Najwyżej cztery.

I jest wtedy zupełnie szczera.

Po kilku latach mówi:

— Mam przed sobą zaledwie sześć lub siedem lat młodości.

I wtedy jest także szczera.

Na widok pierwszej zmarszczki wybuchu płaczem. Kiedy cała jej twarz pokryta jest siecią zmarszczek, pociesza się myślą:

— To wcale nie są zmarszczki ze starości tylko mimiczne.

I kiedy w okresie między myciem głowy a nowym farbowaniem spostrzega całe promienie siwych włosów, przypomina sobie przyjaciółkę, która była całkiem siwa, choć jeszcze nosiła krótką sukienkę.

Dla każdego symptomu, który wskazuje na zbliżającą się starość, mamy w zapasie pocieszające wyjaśnienie. Otyłość spowodowana zbliżającym się klimakterium? To skutek zbyt obfitej kuchni i siedzącego trybu życia. Wąsiki, mech na brodzie, owłosienie twarzy?

— Ach, miałam jeden czy dwa włoski, wyrwałam je i dlatego tak rosną.

Głos zgrubiał, nabrał męskiego dźwięku?

— To nie ma żadnego znaczenia, to pozostałość chrypki.

A jeśli nawet dorzucą: — To starość! — śmieją się zażenowane, jak gdyby powiedziano jakiś niezgrabny dowcip.

— Podarowałam ci najlepsze lata mego życia — oświadczają z wyrzutem pierwszemu kochankowi.

I wobec drugiego, trzeciego, dwudziestego powtórzą to samo oskarżenie.

Gdyby jakiś mężczyzna zdobył się na tak wielkie samozaparcie, że kochałby ją, gdyby nie miała już ani jednego włoska na głowie, ani jednego zęba w ustach, powtarzałaby mu niezmiennie:

— Podarowałam ci najlepsze lata mego życia.

Kobiety, mając lat czterdzieści, z przekonaniem rezygnują z zamążpójścia, mając lat sześćdziesiąt wierzą, że jakiś mężczyzna może się w nich zakochać.

Donatella nigdy nie domagała się od Atillia, by się z nią ożenił. Kochanka pragnie zaślubin tylko wtedy, gdy nie jest już pewna wiążącej siły miłości. Tak samo rzecz się ma z posłem, który zwątpiwszy w wierność swego okręgu wyborczego, pozwala się mianować senatorem.

Lecz Donatella wierzyła w miłość kochanka; gdyby utraciła tę pewność, zapadłaby w przepaść nagłego obłędu. Cóż jej innego pozostało w życiu oprócz tej miłości? Krewni o niej pozapominali, ognisko domowe przygasło w ciągu wielu lat wędrówki po świecie i po cudzych alkowach. Nie mogła nawet uciec do wielkiej pocieszycielki, wiary, gdyż od dawna nie wierzyła w żadną religię.

— Wierzyć w Boga? — zadawała sobie pytanie. — Modlić się? Do tego, który nie usłuchał błagań dziesięciu milionów matek w latach 1914—1918?...

Pozostawał jej tylko Atillio. Atillio jej nie opuści.

— Nie mogę się od niej oderwać — mówił. — Nie potrafię o niej zapomnieć. Wiem, że jest brzydka, stara, zniszczona, ale ja ją widzę młodą i piękną, jak dawniej. Zagłada dokonywała się stopniowo, na moich oczach, a przeto niemal niedostrzegalnie.

— Gdy spoglądam na jej twarz postarzałą, myślę sobie: wystarczy, żebym odszedł, a będę mogło jej zapomnieć. Lecz skoro ją tylko opuszczam, męczy mnie jedno marzenie: jak najprędzej zobaczyć tę najdroższą twarz, która z oddali wydaje się znów jaśniejąca urodą.

— Krótko mówiąc: aby zapomnieć, muszę ją trzymać nieustannie w objęciach. Aby móc się od niej oderwać na zawsze, nie powinienem się od niej odrywać ani na chwilę.

— Przeklęty problem! Znajdźcie kwadraturę tego błędnego koła, a będziecie mieli rozwiązanie nie wyjaśnionej zagadki: *wiecznej miłości*.

*
* *

Od czasu do czasu Donatella wyjeżdżała do pewnego portowego miasta, gdzie mieszkała jej stara ciotka, sparaliżowana na jeden bok i prawie ociemniała.

Wyjeżdżała wesoło, przewidując z góry powrót i smakując już w wyszukanej radości przywitania.

Było to, co prawda, dość dziwne, że sparaliżowana ciocia pisywała męskim charakterem pisma pocztówki ze wszystkich portów świata.

Lecz Attilio nie oglądał tych kart i święcie wierzył w przykutą do łoża ciotkę, która tylko czekała na przybycie śmierci.

Gdy pewnego dnia Attilio wrócił do domu, zastał Donatellę w łóżku, śmiertelnie bladą i skąpaną zimnym potem. U wezgowia stał lekarz, który przepisywał jej jakąś tajemniczą receptę.

Był to jeden z tych eskulapów, którzy mają w kieszeniach pełno wycinków z gazet fachowych i którzy — by stwierdzić niestrawność żołądkową wskutek przejedzenia się śliwkami — żądają dla postawienia diagnozy analizy czerwonych ciałek krwi i prześwietlenia rentgenowskiego.

Doktor wymienił nazwę choroby, wręczył chorej receptę, obiecał nazajutrz zajrzeć i wyszedł.

— Jeżeli sobie życzysz, wezwiemy specjalistę — zaproponował Attilio.

— Specjalistami nazywają się ci lekarze — odparła chora — którzy ograniczają swoje nieuctwo do ciasnego zakresu.

Po upływie dwóch tygodni stan zdrowia Donatelli pogorszył się znacznie.

Lekarz przypisywał to pogorszenie nerwom.

Doktorzy obwiniają nerwy w przypadkach, z którymi nie umieją sobie poradzić. Podobnie spirytualiści rozwiązywali wszystkie metafizyczne szarady przy pomocy interwencji Boga.

Jest to nader wygodne.

— Proponuję zastosowanie absolutnie pewnej metody — rzekł lekarz poufnie, gdy znalazł się w przedpokoju sam na sam z Attilio. — Jest to metoda, która dała najlepsze wyniki u pacjentek neuro- czy psychopatycznych: — mianowicie sugestia. Chce pan, żebyśmy spróbowali?

— Spróbujemy!

— Mam dla pani znakomite, uzdrawiające lekarstwo — oznajmił lekarz, wchodząc do pokoju chorej. — Ale, niestety, nie mogę go przepisać, nim pani nie uprzedzę, że otwierają się przed panią dwie bardzo poważne alternatywy. Albo ten środek uleczy panią w jeden dzień, albo też przytłaci pani tę kurację życiem.

Donatella zażądała pół godzinki do namysłu. Doktor zjawił się po godzinie.

— Co za środek pan jej daje, panie doktorze? — pytał zaniepokojony Attilio.

— Ocukrzoną wodę. Chora pomyśli, że dostała Bóg wie jakie lekarstwo i wyzdrowieje wskutek autosugestii.

Donatella wypita cudotwórczą wodę.

— Albo wyzdrowieję, albo umrę — jęczała w ramionach Atillia. — A co będzie, jeżeli umrę?

— Na pewno wyzdrowiejesz! — przysięgał kochanek,

który wiedział, że słodzona woda nie może nikomu zaszkodzić i że wszyscy chorzy wracają do zdrowia, jeśli są przekonani, że lekarstwo ocali ich życie.

Oczywiście, nie przychodziło mu na myśl, że Donatella — w odróżnieniu od innych pacjentów — wmówi sobie, że zbawienne lekarstwo właśnie ją przyprawi o śmierć.

I zamiast wyzdrowieć wskutek autosugestii, umarła na skutek tejże.

Owego popołudnia, kiedy oczekiwała przybycia zbliżającej się śmierci, poprosiła pokojówkę, by wysłała depeszę do starej cioci, mieszkającej w portowym mieście — a od kochanka zażądała, by podał jej lusterko. Drżącymi rękoma umalowała sobie wargi i upudrowała policzki. Łudziła się, że jest jeszcze młoda, ładna i zdrowa. Ręka jej tak dygotała, że nie mogła utrzymać puszku do pudru. Karminową pomadką do ust nasadziła wielki, czerwony kleks na nosie.

Po krótkiej agonii spokojnie wyzionęła ducha, mając przed oczyma wizję ukochanego Atillia.

Ostatni kochanek płakał gorzko nad ciałem biednej kobiety, która całymi latami łudziła się, że można zwieść świat przy pomocy białej i różowej szminki. W gruncie rzeczy zводziła tylko samą siebie.

Nie pozwolił, by jej ciało tknęli karawaniarze. Sam złożył ją do trumny — on, przewoźnik pięknych kobiet, on, ostatni kochanek.

Przed samym prawie pogrzebem zjawił się jakiś marynarz, którego Atillio nigdy w życiu nie widział i zbliżył się do trumny.

Musiał być bliskim krewnym ten przybysz z dalekiego portu, gdyż całował wystygłą skroń i płakał nad zwłokami tak długo, aż karawaniarze przyszedli zamknąć wieko trumny.

Attilio więc, ostatni kochanek, nie był ostatnim, który ucałował czoło nieboszczki.

Nie mógł być ostatnim kochankiem, gdyż ostatni kochanek w ogóle nie istnieje.

Każda kobieta uważa się za niezastąpioną i sądzi, że sama mogłaby zastąpić bez trudu każdą inną.

— Nigdy mnie nie zapomnisz; beze mnie nie będziesz mógł żyć — mówi opuszczona kochanka. — Żadna kobieta nie da ci tego, co ja ci ofiarowałam.

Ta sama kobieta będzie wierzyła, że potrafi zająć w twoich zmysłach i w twym sercu miejsca, które przed nią zajmowały: wielka dama, doświadczona kurtyzana, sławna aktorka i radioaktywna kobieta o dynamicznym temperamencie i pobudliwej inteligencji.

Niepocieszony Attilio znalazł po kilku dniach ciężkiej melancholii kobietę, która wierzyła, że jej uda się go pocieszyć.

Była to płomienna Hiszpanka, zgrabna, pulchniutka i tak właśnie zaokrąglona, jak to się wszystkim podoba.

Wiek? Była właśnie w wieku, który nęcił wieczystego przewoźnika piękności na tamten brzeg.

Brunetka, naturalnie.

I naturalnie, nazywała się Micaela.

Monumentalna fryzura, ozdobiona szylkretowym grzebieniem. Ogromne oczy. Policzki przykryte grubą warstwą kremów i pudru barwy — *brun* — wargi, wykraczające przeciwko dobremu smakowi.

Attilio zakochał się w tym żywym zbiorku próbek możliwie jaskrawych farb.

Zwłaszcza zachwycony był jej przejrzałością, która go szczególnie podniecała.

— Jest taka umalowana — myślał — że aby mieć odwagę ją objąć, trzeba się przedtem zaopatrzyć w fartuch aptekarski albo w kurtkę skórzaną.

Kobieta, która miała zastąpić Donatellę, musiała być od nieboszczki zupełnie inna, powinna mieć niezwykły, nawet trochę dziwaczny charakter.

Kto chce otrząsnąć się z nostalgii, powinien szukać nowych widnokręgów, zupełnie różnych od tych, które opłakuje.

A Micaela była zupełnie inna niż Donatella!

— Płomienna, zazdrosna, mściwa Hiszpanka — myślał Attilio. — Podobno Hiszpanki noszą między pończoszką a podwiązką ukryty sztylet.

Może właśnie temu obyczajowi należy przypisać, że na ulicach Madrytu widać tyle zgrabnych nóżek w cerowanych jedwabnych pończoszkach.

Bogaty małżonek Micaeli nie mógł towarzyszyć jej w podróżach, gdyż musiał pilnować w kraju interesów.

Handlował talkiem — tym białym proszkiem, którego panie używają do pantofelków, mężczyźni do twarzy, a dzieci — do przesypywania odparzonych brzuszków.

Żona jeździła od jednego uzdrowiska do drugiego w towarzystwie jedynej córki, która śmiała się, pokazując śliczne zęby i której skóra lśniła jak aksamit w słońcu.

— Czy to pani siostrzyczka? — spytał Attilio matkę wiedząc dobrze, że nie ma dla matki większej przyjemności, niż przypuszczenie, że jest siostrą swej córki.

Pani Micaela roześmiała się perliście:

— Jestem jej mamusią!

I jak wszystkie matki, które mają dwudziestoletnie córki, dorzuciła:

— Wysłałam za mąż kiedy byłam prawie dzieckiem.

Panienka miała na sobie lekką, powiewną sukienkę z pomarańczowego muślinu i wyglądała, jak rzeźwiąca oranżada.

— Biedne dziecko! — litował się nad nią Attilio. — Takie delikatne, takie niematerialne, i musi studiować naukę tak ścisłą i cudaczną! Dla pani należałoby wskrzesić szkołę, jakich pełno było w Grecji i Małej Azji — gdzie uczono muzyki, śpiewu i wicia wieńców.

Panience bardzo pochlebił ten komplement.

Matka zaś czuła się zeń równie dumna, jak owego wieczoru, kiedy Attilio pocałował ją po raz pierwszy w usta, aczkolwiek nie omieszkała wtedy zawołać:

— Co pan robi? Przecież to szaleństwo!

Wołają tak wszystkie kobiety, zaskoczone pierwszym pocałunkiem, na którego przyjęcie są już od dawna przygotowane.

Ciało Hiszpanki nie było tak gibkie, jak ciało Donatelli. Nieboszczka posiadała niczym nie zmacony powab bezpłodnych kobiet, natomiast skóra na kształtnym brzuszku Micaeli układała się w faliste linie, z pewną skłonnością do zwiotczeń.

Micaela była młodsza od poprzednich kochanek Atillia. Lecz miesiące ciąży liczą się podwójnie w okresie starzenia, podobnie jak lata, spędzone w Afryce, liczone są podwójnie oficerom idącym na emeryturę.

Micaela całowała z zaciśniętymi zębami, lecz usta jej wsysały się chciwie w usta kochanka.

Attilio i Micaela kochali się namiętnie, począwszy od pierwszego wieczoru, a szczególnie od pierwszego pocałunku. Owe z nagłą wybuchające pożądanie przy blasku magnezji jest najniebezpieczniejsze. Miłość, która spada

jak grom z jasnego nieba, zazwyczaj kończy się kulką rewolwerową.

Co noc, kiedy Juanita — córeczka — usypiała z włosami rozsypanymi na poduszce i z rytmem ostatniego tanga w uszach, Micaela — mamusia — przekradała się cichutko i czujnie po korytarzu hotelowym do pokoju Attilia.

Kuracja jodobromowych solanek skończyła się — przyszedł więc czas na kurację powietrzną. Dopiero wtedy, gdy Juanita nie mogła znaleźć już żadnego tancerza na dancingu, zdecydowały obie panie wrócić do Barcelony.

Attilio podążył wraz z nimi.

Na pokładzie parowca spotkali pewną Francuzkę, która podawała się za paryżankę, ale była co najwyżej jej nędzną imitacją. Sprytna i piegowata, uzbrojona w binokle i w złośliwość, zapytała prosto z mostu, którą z tych kobiet kocha Attilio, gdyż widać go zawsze w towarzystwie obydwu.

— Córka — odpowiedział — to dopiero zarys kobiety. Podłotek, który się kształtuje.

— Już lepszy podłotek, który się kształtuje niż starucha, która się szminkuje — brzmiał komentarz ironicznej Francuzki. — Nie rozumiem, dlaczego ta pani nie nosi szyldu: „Ostrożnie, świeżo malowane”! Na Montmartre nazywają takie oczy, zakopcone sadzą: „*au beurre noir*”.

Złośliwe uwagi pseudo-paryżanki nie dotknęły Attilia; biedaczka kiedyś miała przyjaciela, który, nasyciwszy się jej miłością bez żadnego powodu rzucił ją, nie pozostawiając jej nic w spadku, oprócz pary oczu do płakania i pary rąk do drobnych przyjemności.

Gorycz nieładnych kobiet — to nic innego, niż zawiedziona miłość i nienasycone żądze.

Micaela nie nosiła sztyletu za podwiązką i nie posiadała fajerwerkowego usposobienia Hiszpanek.

Barcelona była miastem jak każde inne: mieszanina staroświeckości z nowoczesnością. Zresztą dla gości hotelowych w ogóle nie istnieje lokalny koloryt — wszystkie hotele są do siebie podobne, wszyscy kelnerzy mówią po francusku i przed każdym numerem stoi para obuwia, należąca do tej lub innej płci.

Attilio mieszkał w Barcelonie przez trzy lata. Przyglądał się walce byków, szedł za trumną męża Micaeli, pojedynkował się z pewnym *hidalgo*, który chciał — aby nie wyjść z wprawy — przeszyć mu dwunastnicę. Nim udał się na pole walki, kazał się sfotografować. Dopuszczalny grzech próżności! — Jezus Chrystus także miał tę słabość, że kazał przed śmiercią wykonać swój portret świętej Weronice, pierwszej propagatorce zdjęć migawkowych.

Gdy Attilio wrócił, lekko zadraśnięty w palec, poczuł w objęciach Micaeli, że jest jeszcze bardziej kochany. Tuląc się do niego we wdowim łóżku z niezwykłą namiętnością, wyszeptała mu do ucha:

— Ożeń się ze mną!

— W dniu, w którym będzie równie łatwo o załatwienie rozwodu, jak teraz o załatwienie ślubu, ożenię się z tobą — przyrzekł.

— A więc nie będziemy się kochali przez całe życie? — pytała Micaela, patrząc oczyma o kroju migdałów (gorzkich). — Byłoby lepiej, gdybym ja się urządziła wcześniej, niż moja córka.

Kiedy masz ochotę zakończyć rozmowę telefoniczną, przerwij połączenie: kiedy masz ochotę zakończyć rozmowę w łóżku, uczyn wprost przeciwnie. Attilio wybrał to drugie. Temat małżeństwa wypłynął znów dopiero po

pewnym czasie, kiedy Micaela zaofiarowała mu rękę Juanity.

— Wiesz dobrze — odpowiedział na tę propozycję — że młode niewiasty nie interesują mnie wcale. Nim twoja córka zacznie mi się podobać, musi upłynąć przynajmniej dwadzieścia lat.

Juanita poszukała sobie innego męża, a Attilio został niezmiennie wierny matce, choć w międzyczasie stała się sentymentalna jak zachodzący księżyc.

Prawdopodobnie ich nierozsądna miłość ciągnęłaby się nie wiadomo jak długo, gdyby Micaela nie uległa pochlebstwom pewnego starego, zdegenerowanego bankiera, który skusił ją obietnicą przejażdżki samochodem po Maroku i Algierze.

Samochód ponosi wielką odpowiedzialność w przypadkach wiarołomstwa, demoralizacji i zdrady. Gdyby serdeczny przyjaciel Romea zaproponował Julii spacer limuzyną naokoło Werony, najpewniej dziś, we wspólnym grobie kochanków spałby wiecznym snem szofer, zamiast Romea.

Attilio wsiadł na okręt idący w kierunku Genui, ku piwszy uprzednio parę kastanietów na pamiątkę z Hiszpanii.

*

* *

Wieczorem, na pełnym morzu Attilio siedział przy burcie i wspominał przy świetle księżycy Hiszpankę o gorzkiej piękności, przypominającej kwiat oleandra. Myślał o chwilach, gdy szczebiotała mu nad uchem o nieważnych drobiazgach, przywoływał w pamięci momenty wspólnego, nieskończenie długiego milczenia. Bywała czasem nierozważna, jak miłość, a czasami — rozsądna, jak siostra. Czasem płonęła jak celuloide, a czasem gła-

dziła go po włosach czule i miękko jak pielęgniarzka, nuciąc przy tym gorącą kastylijską piosenkę.

— „Kocham twoją miłość bardziej niż tve życie”...

I Attilio przytapał się na tym, że mimo woli zaczął nucić słowa:

— *Yo amo mas a tu amor que a tu vida...*

Wyboraźnia, ta podstępna i przyprawiająca o szaleństwo trucizna, rysowała przed nim wizerunek Micaeli, jak gdyby utkanej z ducha namiętności i przywoływała na ekran pamięci tylko najwznioślejsze momenty ich wspólnej miłości, upiększając je jeszcze bardziej. Pewne braki zacierały się na tym wyidealizowanym obrazie, pozostawiając w pamięci tylko epizody piękne i szczęśliwe.

Zapominał, że teraz Micaela w cieniu palm i sykomorów już nawet nie przypomina sobie trzech lat miłości. Nie wiedział, że w pamięci został już pochowany jak we wspólnym grobie jej licznych kochanków.

Zapomniał także i o tym, że Micaela była po prostu niedobra.

Wierzył natomiast, że teraz płacze ze skruchy i żalu, że rozpacza nad utratą kochanki, że czyni sobie wyrzuty za nierozumną zdradę.

Micaela lubiła go szczerze, lecz on kochał — kochał ją bardzo. Namiętność mężczyzny ma się tak do namiętności kobiety jak prawdziwy płomień do odbicia w lustrze. Pierwszy daje światło i ciepło, drugi tylko światło.

Namiętność i ciepło mężczyzny nie mijają bez śladu — pozostawiają ciepły osad: miłość i światło kobiety — skoro zgasną to ostatecznie i na zawsze.

Porzuciła Attilia nagle, niespodziewanie. Możliwe, że jej wspaniała kobieca wrażliwość przeczuła rychły koniec — i zamiast upadnąć się w kurczowym wysiłku utrzymania odchodzącej miłości, wołała ten kres wyprzedzić —

bez katastrofy, bez bolesnych wyrzutów, bez zaprawionych łzami pocałunków.

Lepiej — o wiele lepiej się rozejść!

Gdy wrócił do ojczyzny, czuł się nie jak repatriant, lecz jak banita.

Szukając rozrywki, zaczął uczęszczać do klubu, gdzie spotykał młode dziewczęta, według jego smaku — istoty prawie bezpłciowe. Pewnego dnia zobaczył tam jakąś starszą panią o włosach barwy jasnego metalu, która go zapytała po kilku chwilach konwencjonalnej rozmowy:

— Jak pan sądzi: ile mam lat?

Nie odpowiedział od razu. Jeżeli powiesz kobiecie czterdziestoletniej, że wygląda na trzydzieści dwa, będzie się czuła obrażona, jak gdybyś jej dołożył lat osiemnaście, a nie odjął osiem.

Po chwili namysłu rzekł:

— Ile pani ma lat? Nie wiem. W każdym razie mógłbym pani podarować jeszcze kilka lat miłości.

Została więc jego kochanką.

Przemierzał z nią razem kręte, pagórkowate uliczki, po których wędrował jako chłopczyk pod rękę z małymi dziewczynkami — wstrząsanymi pierwszym, nieuświadomionym dreszczem miłosnego rozbudzenia. Krążył po tych okolicach z nową kochanką, przeżywając od nowa wspomnienia odległej młodości, błąkał się po łąkach; wciąż tych samych, choć co roku kwitną wśród ich zieleni świeże fiołki i małolatki. Poznawał stare sztachety podmiejskich willi, porośnięte zielonym mchem i zżarte szarym liszajem — szukał dobrze znajomych zakrętów, za którymi spodziewał się znaleźć zaciszny kącik, lecz

droga biegła dalej, zda się nie skończona, ciągnąca się między murami a szpalerem przydrożnego chrustu.

Attilio znów poczuł się młody — tak, młody, że stare, zapomniane piosenki sprzed piętnastu lat znów mu wracały na usta.

Niekiedy przychodziło mu na myśl wspomnienie Hiszpanki. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że poświęcił jej tak długi szmat życia. W świetle wschodzącej miłości jakże godną pożalowania wydaje się miłość, która wczoraj zagasła!

Nowa kochanka — oprócz sztucznej barwy włosów, owego anglosaskiego koloru blond, lśniącego, jak zielonkawe stare złoto — nie miała w swej osobie nic sztucznego. Dusza jej była przejrzysta i dziecinna mimo naporu przeżyć — przyznawała się z całym spokojem do cyfry swych lat i do liczby kochanków, twierdząc, iż oddawała się wielu mężczyznom po prostu dlatego, że znajdowała upodobanie w miłości.

Była fenomenem naturalności i prostoty — nawet nie pozowała na brak pozy.

— W dniu, kiedy przestaniesz mnie kochać — mówią inne kobiety — musisz mi to otwarcie powiedzieć.

— W dniu, kiedy przestaniesz mnie kochać — mówiła kochanka Attilia — musisz zrobić wszystko, żebym tego nie spostrzegła. Skoro cię utracę, wszystko dla mnie będzie skończone. Wiem, że jestem niedaleko tak zwanego drugiego brzegu. Żaden mężczyzna na mnie nie już nie spojrzy. Będę skazana na towarzystwo starych plotkarek, które będą się do mnie odnosiły nieufnie ze względu na moją dwuznaczną przeszłość. Gdy ty mnie opuścisz, nie będę miała nikogo na świecie: ani męża, który by mnie zdradzał, ani syna, który by mnie z całą niewdzięcznością odtrącił. Nie pozostanie mi nic innego,

jak spędzić resztkę dni moich w schronisku dla opuszczonych staruszek.

Tak pokornie przemawiała kobieta o włosach, które wyglądały jak ze złota i niklu. I w jej głosie brzmiała taka dziękczynna uległość, jak gdyby Attilio składał jej bezcenny dar w postaci swej miłości.

Ale któregoś dnia wybuchła między kochankami gwałtowna kłótnia bez poważniejszej przyczyny, spowodowana tylko niewłaściwą interpretacją jakiegoś słowa czy tonu.

Kobiety nie umieją dyskutować. Apelacja do ich rozsądku jest równie beznadziejna, jak strzelanie do ruchomej tarczy, gdyż w dyskusji nie robią nic innego, tylko starają się przesunąć punkt ciężkości zagadnienia według rządzącej nimi logiki podległej emocjom.

Uległa, oddana kobieta, wcielenie cierpliwości i wdzięczności, nagle przekształca się w perfumowaną "blond bestię", o ostrych, różowych pazurkach. Wyrzucała kochankowi brak słuszności w sposób mętny i nie przekonywujący; przypominała mu całkiem niewinne, wypowiedziane przez niego słowa, które w jej pojęciu nabrały znaczenia zatrutych pocisków — sięgała do swej szczupłej skarbnicy słownej i godziła w kochanka kamieniami obelg i wymysłów.

Attilio, ogłuszony tym atakiem, znieruchomiały ze zdumienia, nawet nie próbował się bronić przed bezsensownym aktem oskarżenia. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w pokoju znajdował się tapczan. Jeżeli kobieta naciera na ciebie stekiem poważnych zarzutów, staraj się tak urządzić, aby ten napad odbywał się w pokoju, gdzie stoi tapczan lub wersalka. Jest nadzieja, że kłótnia skończy się twoim zwycięstwem.

Attilio otrzymał rozgrzeszenie.

Pobłażliwość kobieca sprowadza się do tego, że wybaczą *nam*, mężczyznom, własny brak racji.

Attilio nie zdawał sobie sprawy, czemu zawdzięczał tę nagłą przemianę. Kochanka jego, dotychczas tak rozsądna, nagle zaczęła się postugiwać drobiazgowymi szykanami, jątrząc go niczym nieuzasadnionymi twierdzeniami.

— Jak ty się bardzo zmieniłaś! — wyjawiał głośno swe uwagi Attilio co dwa lub trzy miesiące. — Dawniej nigdy nie mówiłaś nieprawdy, teraz bez powodu postugujesz się głupimi kłamstewkami. Dawniej nie byłaś kokietką, teraz prowokujesz mężczyzn płomiennymi spojrzeniami. Dawniej byłaś skromna i pełna prostoty, teraz jesteś niepohamowana w pogoni za elegancją. Dawniej twierdziłaś, że nie przeżyjesz, jeżeli cię opuszczę, dziś sądzisz, że skoro mnie zabraknie, będziesz miała u swych stóp maharadzę lub króla trustu stalowego.

Przestałem cię rozumieć. Masz trudny, nieznośnie trudny charakter, zmienne nastroje, przechodzące od niczym nie usprawiedliwionej egzaltacji do nagłej depresji. Są dni, kiedy jesteś łagodna i powolna jak siostra klaryska; kiedy indziej znów jesteś naładowana elektrycznością jak butelka lejdejska.

Przewoźnik dogasających piękności nie rozumiał, że ta kobieta broniła się rozpaczliwie przed jej pretransportowaniem na drugi brzeg. W przeciwieństwie do do innych kobiet, które starzeją się, świadome swej ruiny i rozkładają się pod narkozą pochlebnego optymizmu — przywiązanie jej do młodości było wprost konwulsyjne, optymizm — kurczowy. Ostatni kochanek, przewoźnik pięknych kobiet, nie nękał jej swoją młodością — gdyż w międzyczasie sam osiągnął wiek kobiet, które przeprowiał na tamten brzeg.

Attilio musiał zgarniać skąpe resztki włosów na coraz

wyższym czole. Zapadnięte policzki, zmarszczki pod oczami zdradzały wzrastające z biegiem lat znużenie. Jako kochanek przestawał się odznaczać rozpasaną zmysłowością, raczej rzadkie wysoki stanowiły rezultat żądz, starannie gromadzonych przez wiele dni.

Miłość, którą ofiarował starzejącym się kobietom, już nie była drogocennym darem — stała się wymianą wartości, równoważnych zarówno ilościowo jak i jakościowo.

Pewnego dnia zmęczony kochanek patrzył w lustro, trzymając jednocześnie w ręce kalendarz i szeptem powtarzał sobie nieubłaganą cyfrę.

— Niegdyś kobiety zaczynały mi się dopiero podobać, gdy wkraczały w ową cyfrę, która pochłaniała ich młodość. Teraz ja sam osiągnąłem zenit tej paraboli.

I tza byłaby się potoczyła po jego zmarszczonym policzku, gdyby jej w porę nie przełknął, przypomniawszy sobie, że nie przystoi płakać byłemu oficerowi artylerii, który przed laty w niemodnej już Hiszpanii pojedynkował się z *hidalgo*, przy akompaniamencie jakiejś niewidzialnej dziewczynki, która, uderzając w struny katalońskiej gitary, nuciła smętną piosenkę "Ole ole".

— Ubierz się, kochanie.

— Nie mam ochoty.

— Pójdziemy do teatru.

— Kiedy mnie to nie bawi...

— Zobaczymy aktorkę, która ci się podoba.

— Nie cierpię jej.

— Włóżysz nową sukienkę, w której jest ci tak bardzo do twarzy. Twoja najlepsza przyjaciółka, która nie opuszcza żadnej premiery, pęknie z zazdrości.

Ostatni argument zwyciężył: poszła się przebrać.

Przed rozpoczęciem spektaklu, kochanka Atillia niedwuznacznie zaczęła kokietować pewnego eleganckiego młodzieńca, gołowiącego *viveura*, w którego monoklu załamywały się wszystkie światła sali.

— Nie mów tak głośno — poprosił Atillio.

Lecz ona, podnosząc jeszcze bardziej głos, ciągnęła z emfazą:

— Jeszcze nigdy dotychczas nie kochałam naprawdę. Godziłam się czasem na miłostki — bądź z nudów, bądź z ciekawości, czasem z upodobania do grzechu.

Nie spuszczała przy tym oka z młodzieńca, siedzącego w sąsiedniej łoży.

— Brałam sobie kochanków po to, by lepiej poznać mężczyzn — pozwalałam się adorować, by przyjrzeć się im z bliska.

Młodzieniec uśmiechnął się; uśmiechnęła się i ona: Atillio spochmurniał.

Na sali spochmurniało także, gdyż kurtyna uniosła się w górę.

Tego wieczoru jej zielonkawo-złote włosy były bardziej zielone niż zazwyczaj. Jej niepokój wzrastał stopniowo, aż stał się wybuchem bezsensownej nienawiści:

— Byłam ci tak długo wierna! Nie pozwalałeś mi się zbliżyć do żadnego mężczyzny! Podarowałam ci najlepsze lata mego życia!... Sądzisz pewno, że najlepsze lata w życiu kobiety to jej pierwsza młodość. Mylisz się, mój drogi, ostatnie jej lata są dla niej najcenniejsze, skoro wszystko już utraciła w życiu.

— Ale najdroższa, któż się z tobą spiera? Jesteś przeznaczeniem; bardzo cię kocham..

— A jednak robisz mi sceny za to, że się obejrzałam.

— Nie robiłem ci żadnych scen. Prosiłem cię tylko usilnie, żebyś nie przyglądała się tak natarczywie panu z są-

siedniej łoży i żebyś nie rozmawiała tak głośno, bo to zwraca powszechną uwagę.

— Patrzą na kogo mam ochotę i rozmawiam, jak mi się podoba.

— Jeśli będziesz dalej w ten sposób patrzyła na naszego sąsiada, w tej chwili wychodzę.

— Więc kto mnie odprowadzi do domu?

— To mnie już nie obchodzi.

Młodzieniec z sąsiedniej łoży oczyścił chusteczką szkiełko monokla i z pewnym wysiłkiem wpakował je w oko.

— Dlaczego ty nie nosisz monokla? — zapytała śpiewnie jak flet.

I podnosząc ton o oktawę, dorzuciła:

— To wygląda bardzo elegancko.

Attilio wstał i bez słowa opuścił łożę.

Przez cały następny akt liczyła, że Attilio jednak wróci. Przez dwa antrakty jeszcze nie traciła nadziei. Gdy przedstawienie się skończyło, dała znak młodzieńcowi z sąsiedniej łoży, który przybiegł natychmiast, kłaniając się ruchem pełnym gracji.

— Wskutek pańskiego zachowania się — rzekła — mój przyjaciel zostawił mnie samą. Czy zechce mnie pan wobec tego odprowadzić do domu?

Podał jej futro i zeszedł razem ze schodów.

W sztucznym oświetleniu wyglądała jeszcze ładnie i młodo.

Szofer otworzył drzwiczki. Kobieta wsiadła do samochodu otulona w futro.

— Via Trentun Febraio — rzucił adres młodzieniec.

— Ale ja mieszkam na Via Dina Galii trzy — zaprotestowała.

— Na Via Trentun Fabraio czternaście mieszkam ja — wyjaśnił młodzieniec.

I samochód ruszył, kołyszając się miękko na cichym, białym śniegu.

Minęło kilka miesięcy. Przy stoliku wytwornej kawiarni w cieniu barwnego parasola siedziało młode dziewczątko, dopiero co sprowadzone z drogi cnoty i delektowało się, jak małe dziecko, piramidą z kremu i poziomek.

Attilio siedział naprzeciw niej i chcąc ją rozśmieszyć, szeptał po cichutku:

— Wysuń języczek, gdy kładziesz łyżeczkę do ust, zobaczysz, że w ten sposób dostanie ci się więcej kremu!...

W kąciku tejże kawiarni siedziała samotna starsza pani, ciągnąc przez słomkę zielony napój, niechętnie i bez przekonania, jak gdyby wykonywała jedno z ćwiczeń, pomniejszających rzekomo rozmiary ust, co jest piekielnym wymysłem tych sadystycznych iluzjonistów, którzy zwą się „profesorami” instytutów piękności. Co chwila spoglądała na zegarek, nie spuszczając oka z wchodzących.

— Nie weźmiesz mi za złe, że zostawię cię na chwilę samą? — spytał Attilio, wstając. — Chciałbym się przywitać z tamtą panią.

— Czy to twoja babcia? Ze strony mamusi czy ze strony tatusia?

— Z której strony chcesz.

Kobieta ujęła jego obie ręce i wpiła w jego twarz wielkie, bolesne, oczy, koloru rezedy.

Po kilku wymijających zdaniach wyznała mu to, co już wiedział od dawna:

— Żyję z tym smarkaczem. Ma lat osiemnaście i jest bardzo bogaty. Jestem jego pierwszą miłością.

— Powiedział ci to?

— Mówi mi to jego brak doświadczenia. Wydaje mi się, że raczej jestem jego nauczycielką miłości niż kochanką. A ty?

— Żyję z tym dzieciątkiem, które siedzi przy tamtym stoliku — wskazał głową kierunek. — Ona twierdzi, że będę jej ostatnią miłością. Możliwe, że kocha mnie naprawdę, gdyż jest bardzo biedna.

— I jesteś szczęśliwy?

— Jestem w wieku, którego zawsze się obawiałem — w wieku, kiedy muszę się zadowalać małolatkami, gdyż kobiety czterdziestoletnie nie chcą już na mnie patrzeć.

Dawni kochankowie pożegnali się wielomównym spojrzeniem, które miało w sobie coś z nie dopowiedzianej pieszczoty i Atillio wrócił do swego stolika, do swojej dziewczynki.

Przewoźnik pięknych kobiet został sam przewieziony na drugi brzeg przez zmierzchającą młodość, a jego była kochanka potrafiła jeszcze rozkochać w sobie osiemnastoletniego smyka o twarzy tak różowej, jak szynka na wystawie u rzeźnika.

*Drgające
prześcieradła*

Słyszałem o pewnych Polakach (a może Serbach czy Bośniakach?), którzy grają jednocześnie na dziesięciu szachownicach i wygrywają wszystkie partie — oraz o pewnych kobietach, które mają jednocześnie trzech kochanków plus męża i wszystkich ich uszczęśliwiają.

Pani Urszula Bargis z domu Fileti mogłaby zadowolić pięciu kochanków i męża, gdyby mąż sam nie liczył za trzech.

Seweryn był rachitykiem, cherlakiem, był chudy i tak długi, że nie wiedział nigdy, co robić z rękami i nogami.

Wydawał się zrodzony z nielegalnego związku wierzby płaczącej i czułka. Pomimo swych przekonań anarchistyczno-rewolucyjnych, miał łagodne spojrzenie zgwalczonej dziewczycy.

Koledzy utrzymywali, że był impotentem. Jest rzeczą nader pożyteczną mieć taką opinię, gdyż w krótkim czasie pozyskuje się zaufanie przyjaciół i budzi owocodajną ciekawość ich żon.

Tam, gdzie nos wszczepia się w policzek, usadowił mu się guz okrągły, symetryczny, utoczony tak doskonale jak rączka cukierniczki. Pani Urszula Bargis z domu Fileti przyrzekła mu kazać go obciąć na imieniny.

Kamil za to był pięknym mężczyzną, silnym, zdrowym, o bujnej męskości.

Seweryn był trochę głupi.

Kamil był inteligentny. Kamil był elegancki.

Seweryn ubierał się jak komiwojażer. Kurtkę miał rozpiętą, kieszenie zewnętrzne wypchane próbkami, kieszenie wewnętrzne — pełne notesów; buty żółte, o żółtości, która zatrzymywała krążenie krwi i fioletowe skarpetki.

Seweryn nie był już pierwszej młodości.

Kamil był jeszcze młody.

Nie potrzeba rozwodzić się w tym tonie chóru tragedii greckiej i chrześcijańskiego błogosławieństwa (Bóg niech będzie błogosławiony — błogosławione Jego Święte Imię), albowiem od razu się pojmuje, że jeden z nich był kochankiem, a drugi mężem.

Jednakże, wobec smętnego zwyczaju wierzenia, że kochanek jest zawsze uwodzicielem, a mąż zawsze odpychający, uprzedzimy zaraz, że w naszym wypadku mężem jest Kamil (lat 25, porucznik kawalerii, wielki znawca dróg serca i przyległych) a Seweryn — kochankiem, pod czterdziestkę, jednym z osobników, którzy co rano, pierwszą pocztą, dostają programy, prospekty i fotografie o rozmaitych warunkach i specjalnych uławieniach z trzech lub czterech sanatoriów.

Kiedy mówi, kąciki ust napełniają mu się śliną, która za każdym słówkiem wyciska się i rozlewa, budząc w słuchaczu chęć wepchnięcia mu gąbki w usta.

Czas już skończyć z osławioną chwałą kochanka na szkodę męża.

Rehabilitujemy męża!

Czemu to mąż zawsze musi być wołem — i to wołem roboczym, niezdolnym do zrozumienia skomplikowa-

nej, chciwej, tajemniczej, klinowej, symbolicznej duszy swej żony?

Kobieta woli kochanka niż męża, nie dlatego, aby Kochanek posiadał zalety fizyczne i moralne, których brak legalnemu towarzyszowi, lecz dlatego tylko, że ten jest mężem, a tamten kochankiem.

Wszystkie walory jednego polegają na tym, że jest kochankiem, a wszystkie wady drugiego — na tym, że jest mężem.

Gdyby przed popełnieniem zdrady kobieta porównywała tego, którego zdradza, z tym, z którym zdradza — wypadki niewierności zmniejszyłyby się o jedną trzecią.

Kobieta nie woli Omikrona od Ypsylona, nie woli Ypsylona od Omegi, ale oddaje się z tą samą abnegacją, obojętnością i ciekawością Omikronowi, Ypsylonowi, Omedze i wszystkim innym literom zwierzęcego alfabetu.

Kobieta, gdy czuje się pożądana, widzi w tym hołd dla swej piękności. W rzeczy samej, kobieta dosięgająca wieku, w którym przekwita, rozpaczliwie szuka przygód, aby mieć złudzenie, że jest jeszcze szukana.

Pozostawia niedomknięte drzwi pokoju hotelowego, aby wmówić samej sobie, że dyszący żądzą mężczyzna wyłamał je, aby owładnąć jej ciałem.

Jest szczęśliwa, gdy mężczyzna zrobił jej zaszczyt pójścia z nią do łóżka, bo sądzi, że został nieprzepracie pociągnięty elektromagnesem jej licznych powabów.

Nie wie biedaczka, że mężczyzna nie ulega jej włosom koloru czystego złota, ani licami, wychudłymi ze zmysłowości, ani ustami płonącymi młodością; ani zębami, które wyglądają jakby wyszły z fabryki *Wolff und Timmer* we Frankfurcie.

Mężczyzna pociągany jest do kobiety wyłącznie przez

jej płeć, przez ten zbiór tkanek, gruczołów, błon śluzowych, wydzielin, lepów, skurczów i spazmów, które gnieżdżą się w hektogramie odnośnych organów.

Wszystko inne — to poezja; wszystko inne — to pornografia a la Fogazzaro; wszystko inne — to różowa literatura dla panienek.

Mężczyzna udaje, że jest zahipnotyzowany pięknoscią aktorki, rozgłosem damy intelektualnej, herbem arystokratki, ale w gruncie rzeczy — piękność, intelekt, herb to tylko preteksty do opróżniania trzy lub cztery razy torebek nasiennych.

A potem — odchodzi.

Może wróci zresztą, ale wówczas dopiero, gdy przejdzie dość czasu, by torebki te napełnić na nowo.

Mężczyzna, gdy zajeżdża do hotelu lub przybywa do jakiejś miejscowości kuracyjnej, pierwszego zaraz dnia rozgląda się, pytając — siebie lub napotkanego przyjaciela:

— Gdzie można znaleźć pannę lub mężatkę do łóżka?

I wybór pada na tę lub ową, niezależnie od formy jej nosa, owalu twarzy, talentów muzycznych, pochodzenia historycznego i wszystkich innych szczegółów zewnętrznych lub wewnętrznych, prawdziwych lub sztucznych, które służą tylko do sfastrygowania oświadczyń miłosnych.

— Rączki pani uduchowione, czyste czoło, włosy o drażniącym zapachu — zapaliły we mnie miłość!

Słowa!

Słowa konieczne.

Słowa, których kobieta żąda, aby móc się łądzić, że została porwana w wieńcu róż dokoła kibici.

Słowa; literatura, wykrety retoryczne — wszystko to: odrobina stroju, którym ludzie naszych czasów chcą ozdobić gest wyboru i spółkowania. Spółkowania do-

rażnego, chwilowego, przelotnego, ulicznego, który w czasach odległych odbywał się z pierwszą lepszą kobietą, spotkaną w lesie lub w chacie sąsiada.

Bądź przekonany, że i dama i służąca pożądamy w jednaki sposób.

Jedna ma mózg do pisania wykładów, druga — ręce do mycia talerzy. Ale wydzieliny jajnikowe są identyczne u obu.

Oddanie się jest w rzeczywistości celem samo dla siebie. Oddanie się nie ma celu, wyjąwszy wypadki, gdy dzieje się za pieniądze.

Pani Urszula Bargis, z domu Fileti, oszukiwała męża, w którym była bardzo zakochana, oddawszy się Sewerynowi, którego kochała o wiele mniej.

Kobiety nienawidzą i gardzą swoim posiadaczem — kiedy go nie kochają — jeżeli jest zazdrosny; ale byłyby straszliwie upokorzone, gdyby człowiek, którego kochają, nie był zazdrosny.

Kiedy kobieta mówi: „Twoja zazdrość doprowadza mnie do rozpaczki” — oznacza to, że nie kocha.

Ale pani Urszula, jakkolwiek zadowolona z zazdrości męża, znajdowała w niej wygodne usprawiedliwienie, którego potrzebę czuje kobieta, gdy zdradza, przypadkowo lub systematycznie:

— Gdyby mąż mój nie był tak wściekle zazdrosny, nie zdradzałabym go.

Gdyby zaś mąż nie miał tej wady (czy choroby?) byłaby powiedziała:

— Zdradzam go, bo nie jest zazdrosny.

Kochała więc jednocześnie Kamila (męża) i Seweryna (kochanka).

Obydwaj dawali jej te same wrażenia, gdyż — choć kobiety chcą wmówić, że to co czują w ramionach jednego jest przyjemnością, a w ramionach innego jest wstrętem — w gruncie rzeczy, w chwili wzruszenia fizjologicznego, nie odczuwają nawet różnicy pomiędzy jednym zwierzęciem a drugim, albowiem mechanizm jest ten sam.

Kiedy kobieta bierze kochanka, mówi mu:

— Od kilku miesięcy jestem tylko siostrą dla mego męża. Kiedy mnie chce, odmawiam mu. Gdyby wziął mnie siłą, czułabym tylko obrzydzenie.

Kłamstwo!

Kobieta może doskonale — bez cierpień, bez wyrzutów sumienia, nie odczuwając zgrozy — biec, jeszcze ciepła od objęć jednego, w ramiona drugiego!

Ponieważ zaś nie czuje żadnej odrazy wnoszenia spermy kochanka do łóża męża; gdyż czuje, że przynależność do Seweryna nie przeszkadza jej należeć z takim samym oddaniem do Kamila — nie rozumie zazdrości fizycznej.

Mężczyzna zdradzony czuje się dotknięty na ciele.

Kobieta oszukana jest zaledwie dotknięta w miłości własnej, w próżności.

Mężczyzna zakochany nie zapomina zdrady.

Kobieta zakochana zapomina (zaraz) i przebacza.

Dla mężczyzny — zdrada jest raną fizyczną.

Dla kobiety — obrazą moralną.

Pomiędzy zdradą, jak ją odczuwa on — a zdradą, jak ją odczuwa ona, jest taka różnica, jak pomiędzy ciosem noża a impertynencją.

Kobiety nigdy nie jest w stanie zrozumieć zazdrości mężczyzny. Tłumaczyć jej — jest tak bezużyteczne,

jak opisywać kolory ślepemu, dźwięki głuchemu, miłość eunuchowi.

2 tych wszystkich względów — niewierność kobiety nie tylko zasługuje na przebaczenie, ale nie powinna być uważana za przewinienie, gdyż zrozumienie bólu człowieka zdradzonego i uczuwanie dla niego litości jest dla niej niemożliwością fizyczną i organiczną wynikającą z jej budowy.

Urszula Bargis rozumiała, że zazdrość musi być czymś rzeczywiście silnym i dynamicznym, pierwszego dnia, kiedy mąż z błażej przyczyny zrobił jej scenę z *grand guignolu* tak, że po upływie wielu lat nie chciała nawet o niej mówić.

Scena ta powtarzała się bardzo często, wywoływana przez głupie drobiazgi, jako to: oczekiwanie z jakimś przechodniem, lornetkę uporczywie zwróconą na nią, pocztówkę widokową...

Porucznik Kamil Bargis był straszny. Nieprzejednanie straszny, czujny, uważny, gotów do wyciągnięcia z najdrobniejszego szczegółu ostatecznych wniosków.

Człowiek ten, wobec dowodów wiarołomstwa, zabiłby niechybnie.

Toteż Urszula zdradzała go wtedy tylko, gdy była pewna, że jest daleko i że nie wróci niespodziewanie.

Zdradzała go dla zdrady; zdradzała, ponieważ — jak wszystkie kobiety — miała we krwi, prócz ciałek białych i czerwonych, również ciałka zdrady.

I cóż w tym złego?

Ból zazdrośników pochodzi stąd, że nie chcą zrozu-

mieć, iż kobieta jest taka z natury i że chcą, aby była inna.

Czy to wina kobiety?

Gdyby mężczyźni uroili sobie, że kobieta powinna mieć dwadzieścia cztery palce u rąk, czyż to jej wina — że od natury dostała tylko dziesięć?

Tak więc Urszula Bargis i jej kochanek, anarchista Seweryn, leżą w łóżku. Mąż jest daleko. Wróci za kilka dni.

Pada śnieg. Zimno. Lustra, refleksy mahoni i ozdób brązowych na meblach cesarstwa dają nieco światła i złudzenia ciepła.

Urszula i amant, zagrzebani w kołdrach, mówią sobie zwykłe słówka, które zawsze mówią sobie mężczyzna i kobieta, kiedy przylegają jedno do drugiego.

Urszula obejmuje ustami strategiczne miejsce Seweryna. Seweryn wsuwa język w strategiczne miejsce Urszuli. Ich strategiczne miejsca robią się mokre i gorące.

Półtorej minuty spazmu. Urszula udaje, że oblewa się rumieńcem. Naprawdę twarz ma oblaną czymś innym.

Śnieg wciąż pada. Światło latarni maluje na żółto płatki śniegu.

Urszula szuka ręką za plecami zabłąkanej szpilki od włosów. Kładzie ją na nocnym stoliku.

Zdania okolicznościowe — głupie.

Ona układa się na plecach. On zakrywszy jej oczy rzuca monetę. Orzeł oznacza mały — reszka duży sekret. Tak to los kieruje życiem człowieka.

Trzy minuty spazmu. Wypadła reszka.

Godzina dziesiąta wieczór. Willa jest w głębi parku, park w głębi pól.

Rzecz dzieje się w jakimś mieście, pomiędzy 45° a 48° stopniem szerokości geograficznej.

Seweryn usnął na wspaniale *zarośniętym wzgórzu*.

Urszula usnęła oddychając przez nos.

Seweryn drgnął. Budzi się, budząc przy tym Urszulę.

Seweryn uśmiecha się głupio do Urszuli.

Urszula odwzajemnia uśmiech.

Urszula (bez przekonania); "Och, coś ty mi kazał robić — łobuzie!"

Seweryn (bez przekonania): „Jesteś aniołem!”

Usypia na chwilę. Gdy się budzi, zdaje mu się, że spał wiele godzin.

Opowiada Urszuli jedną z tych historyjek, które krążą z ust do ust w pensjonatach katolickich, w koszarach i w łózkach, gdzie leży mężczyzna i kobieta — podczas pauz.

Urszula spłaca dług, opowiadając mu historyjkę równie sprośną.

Sen przywraca siły nie tylko chorym. Sen przywraca dolnym piętrom chcenie. Są rzeczy, które przedkłada się nad jedzenie i zmniejszanie zawartości cieczy w organizmie.

Urszula leży na brzuchu. Seweryn nie musi już zakrywać jej oczu ręką. Znowu wypada reszka. Seweryn rzuca jeszcze raz. Tym razem reszka nie miała szczęścia. Człowiek ma jednak pewien wpływ na los. Siedem minut spazmu.

Długie westchnienie Seweryna, który budzi się i zasypia znowu.

Ale nie śpi długo.

Nerwowo wysiłek czyni go niespokojnym.

Podnosi się na łokciach, opiera na poduszkach i kobiecie, słuchającej z uśmiechem, wykłada swe teorie o wolnej miłości, o barbarzyństwie dzikich i średniowieczu skryzalizowanym w wyłącznym posiadaniu kobiety.

Dwa czy trzy uderzenia w drzwi.

— Proszę pani — krzyczy wierna pokojówka — pan jedzie! Widziałam jego samochód na zakręcie wzgórza!

Anarchista zeskakuje na ziemię z jednej strony łóżka.

Pani jednocześnie zeskakuje z drugiej.

Układa kołdry, wygładza poduszki. Łóżko jest uporządkowane, jak sprofanowana szkatułka.

Pokojówka nie myliła się. Poznała pana z tarasu, gdy samochód wjeżdżał ścieżką pod górę. Poznała, jak służebne dawnych czasów ze wzgórza zamku, poznawały pańskiego rumaka i zbroję, gdy pani i paż uprzyjemniali sobie długie oczekiwania.

Dla anarchisty, który głosi, że kobieta należy nie do osobnika, ale do zbiorowości, smutne jest, kiedy nagli

się go do wciągania spodni, butów, palta i do ucieczki z kołnierzykiem, krawatem i kamizelką pod pachą, dlatego tylko, że przybywa prawy właściciel.

Ten zaś wprowadził auto do garażu i wszedł do sypialni, gdzie żona, trzęsąc się, biegła od lustra do toalety i usiłowała przybrać spokojną minę.

— Ukochany mój, cóż za miła niespodzianka! — wykrzyknęła, wyciągając ręce, nagie i spokojne i zarzucając je na zimną, wilgotną szyję męża.

— Maleństwo moje, nie całuję cię, bo mam pełno śniegu na wąsach.

— Nic nie szkodzi, najdroższy, całuj, całuj!

Mąż położył na krześle mokrą walizkę,

— Umyję sobie ręce i... zaraz idźmy spać, bo jestem zmęczony.

— Wypij trochę kawy, kochanie! Kieliszek koniaku!

— Nie, maleńka, chodźmy do łóżka. Spałaś już?

Zawahała się. Rzuciła okiem na postane łóżko o niepokalanych pozorach i powiedziała:

— Nie.

Porucznik wszedł do przyległej łazienki, pozostawiając drzwi otwarte.

Ona drżała.

— Jakaż ja głupia — myślała — jakaż ja głupia, że powiedziałam, że nie spałam jeszcze.

Zgubiłam się!

Teraz gdy poczuje prześcieradła ciepłe, jeszcze drgające, zrozumie...

— Jakaż ja byłam głupia! Kiedy się ma małe grzeszki na sumieniu, myśli się, że deska ocalenia leży w tym, aby opowiadać inaczej niż było.

Gdybym mu powiedziała: "Tak, leżałam już w łóżku" — nic by nie podejrzewał. A tak... Jest zbyt przebiegły i zazdrosny, aby nie poznał...

Jakże będę się wypierać?

Gotów mnie zabić.

— Przyjechałem o parę dni wcześniej — mówił Kamil, wycierając ręce — bo ta inspekcja, którą mi nakazał odbyć pułkownik, wiesz... Ale powiem ci jutro.

— Powiedz, powiedz teraz — nalegała Urszula, bosko blada i złocista, jak chartreuse — opowiedz teraz, interesuje mnie to...

— Ach, nie, to długa historia, jestem zmęczony.

Kamil rzucił ręcznik na krzesło.

Urszula podniosła go i powoli zaniosała do umywalni.

Wszystkie preteksty są dobre, aby odwlec katastrofę.

— Chcesz, żebyśmy wypakowali walizkę, Kamilu?

— Nie, wypakujemy ją jutro.

— Bielizna niszczy się, kiedy jest złożona.

— Nic nie szkodzi. Chodźmy spać.

Urszula czuła gorączkę.

— Przykro mi, Kamilu, że nie chcesz wypić nawet szklanki rumianku.

— Nie trzeba.

Porucznik Kamil Bargis zdjął kurtkę, koszulę, złożył pierścionki, podrapał się w plecy, rozebrał się do reszty, rzucił na ziemię but, potem drugi, założył piżamę, wsunął chusteczkę pod poduszkę, położył na nocnym stoliku zegarek, skoczył na łóżko, usiadł na poduszkach, z kolanami pod brodą, wyciągnął nogi, przykrył się kołdrą, i spoczął w pozie marsowej.

Urszula nie wiedziała, co robić.

Rzucić się na ziemię w napadzie hysterii?

Czy uciec wpół naga?

Czy zwołać ludzi?

Czy strzelić w męża z rewolweru, zanim mąż strzeli w nią?

W każdym razie, ma co najmniej dziesięć minut życia...

Ten samiec, którego zazdrość czyniła zawsze tak podejrzliwym, który w każdej drobnostce upatrywał możliwość zdrady, który swym policyjnym węchem pomógł już wielu przyjaciółom do odkrycia niewierności żon — ten człowiek o chorobliwej wrażliwości, który ze spojrzenia, z zapachu ciała, z tonu głosu poznawał, czy kobieta była wierna, czy wiarołomna — ani przez chwilę nie będzie wątpił, że prześcieradła, ciepłe jeszcze, jeszcze drgające, były terenem czegoś...

Urszula rozpuściła włosy, aby ukryć twarz. Z trwogą odwróciła się od łóżka, podniosła z wolna oczy na męża.

Twarz męża uśmiechała się.

— Chodź na tu Urszulko, chodź — moja śliczna żoneczko, chodź do mnie... Jaka jesteś dobra! Jaka subtelna! Tylko ty umiesz się zdobyć na te drobne dowody pamięci. Ucięłaś sobie drzemkę, zanim przyjechałem, co? aby mi wygrzać łóżko? prawda? Jakaś ty dobra! Ale skąd wiedziałaś, że dziś przyjadę?

Urszula opanowała się, zebrała włosy, odstąpiła twarz i, z najniewinniejszym w świecie uśmiechem, odparła:

— Czekałam co wieczór na ciebie, najdroższy... I co wieczór wygrzewałam ci łóżko!

Postowie

Pewnego wieczoru, w pewnym mieście nadmorskim, Pitigrilli siedział za stołem rulety — i przegrywał.

W natłoku graczy, którzy wstawali i siadali, i zmieniali banknoty i żetony, ujrzał żonę pewnego karykaturzysty, zmierzającą ku wyjściu.

Pitigrilli powiedział:

— Pani X.Y. zanosí organy płciowe do domu.

Tym brutalnym wyrażeniem syntetyzował całkowicie funkcje żony.

Nieprzyjaciel literatury, retoryki i tradycyjnego fałszu sprowadza rzeczy do ich istoty. Mówiąc o zagadnienia religii, sprowadził ją do pierwiastków najprostszych, streszczając na pół stronicy argumentacje, które — rozwodnione, rozciągnięte i uzupełnione — nie przekonałyby nikogo.

— Nie mam wiary — rzekł — a starzejąc się, czuję nieprzepartą chęć wierzenia. Lecz jest to pragnienie bezpłodne.

Szukałem wiary w klasztorze dominikanów u boku mnicha o wspaniałej erudycji.

Niestety, na pytania odpowiadał on formułami tak zimnymi, suchymi i mało przekonującymi, że zagasit

we mnie zapał i pozostawił mnie ateuszem większym niż przedtem.

Innym razem pewien braciszek o wielkiej brodzie i długich włosach, zagarniając szerokim gestem kilka metrów sześciennych powietrza, powiedział mi poważnym głosem:

– *Ja* wiem, że Bóg istnieje. *Ja* panu mówię, że Bóg istnieje.

To mną wstrząsnęło. W jego czcigodnej jego postaci była pewność przekonywująca.

Długo pozostawałem pod wrażeniem tych magnetycznych słów. Ale pewnego dnia wyobraziłem sobie tego samego braciszka ubranego w modne palto *demi-saison*, starannie uczesanego, wygolonego, z wąsami podciętymi po amerykańsku.

I jego słowa nie robiły już na mnie wrażenia.

To co robiło na mnie wrażenie — było właśnie tą brodą.

Następnie szukałem wiary w naukach biologicznych i przyrodniczych. Ale wiara ma tę własność, że umacnia się w tym, który do niej jest skłonny, natomiast umiera w tym, który jest skłonny do ateizmu. Gdy się ma skłonność do wiary w Boga, na każdym kroku wynajduje się oznaki jego wysokiego intelektu.

Mistykujący rzeźnik powiedziałby. „Jak wielki jest dobry Bóg! Stworzywszy wieprze w celu napychania kiełbas, pomyślał również o zaopatrzeniu ich w kiszki, dla nabicia zawartości!”

Szukałem również wiary pomiędzy szeregami „Armii Zbawienia” i pomiędzy teozofami: Bojownicy Armii Zbawienia to historycy w mundurze; teozofowie są opętani halucynacjami.

W żartobliwej autobiografii, o którą go prosił pewien przegląd, przedstawia Pitigrilli w następujący sposób swą osobę i swoje życie:

Pisać autobiografię — to ukazywać publiczności swoją bieliznę. Uczynię to, jakkolwiek sądzę, że czyn taki nigdy nie jest szczyry, albowiem na tę okazję wdziewa się czystą bieliznę.

Mogę napisać tylko pierwszy rozdział, gdyż drugi muszę dopiero przeżyć.

Wiek: lat 26.

Wysokość: 1 m 75.

Koloryt: różowawy.

Budowa ciała: wysmukła.

Uzębienie: zdrowe.

Nos: prawidłowy.

Podbródek: jak wyżej.

Usta: jak wyżej.

Znaki szczególne: żadne.

Nic się nie znajduje w mym rejestrze sądowym.

Studia dopełnione: Uniwersytet, pozostał jakiś doktorat.

Ospę szczepiono mi w r. 1914.

Nosze kołnierzyki nr 37.

Nie miałem jeszcze syfilisu.

Budowa czaszki: średnica długości cm 31; średnica poprzeczna cm 31. Jestem przeto średnioczaszkowcem.

Średnioczaszkowcem jasnowłosym.

Tyle co do antropologii.

Aż do lat 2 — nic ciekawego.

W wieku lat 4 — tyfus.

W wieku lat 12 — dojrzałość.

W wieku lat 13 — pierwszy papieros, wymioty; ostatni papieros.

W wieku lat 19 — porywająca miłość do kobiety w okularach. Nie ma nic bardziej groteskowego niż naga kobieta w okularach. To odstrasżające widowisko miało wielki wpływ na moje życie; tak samo jak niektóre leki, których doświadczyłem jako chłopiec.

W wieku lat 20 — miłość do kobiety, która mnie nie kochała.

W wieku lat 21: kobieta nie kochała mnie jeszcze.

W wieku lat 22: również, ale pod koniec roku zdecydowała się.

W wieku lat 23, 24, 25, 26: szalona miłość do tej samej kobiety. Jestem wspaniałym przykładem stałości i wierności, godnym co najmniej uśmiertelnienia w libretto operowym — albo w uperfumowanym kalendarzu kieszonkowym.

Jestem mściwy jak czerwonoskóry; mam mściwą pamięć słońca.

Mieszkałem długi czas w Turynie, tym mieście marzeń i głupców.

Wydałem kilka ohydnych książeczek nader moralnych, które wielce podobały się idiotom.

Napisałem monografię pewnej poetki aby dowieść, że fałszem jest to, co szeptano o naszych stosunkach. Ale nie musiało mi się udać, albowiem, jeżeli wprzód szeptano, to teraz się wyje.

Mam w mych pasywach wiersze. Wiersze to coś, czego nikt nie czyta, ale każdy pisze.

Drukowałem artykuły w najlepszych przeglądach włoskich. Niektóre z nich nie są wstrętne.

Niejednokrotnie miałem drukować książki o czterystu stronicach. Posiadam jednak dar owej zbawczej kanalizacji, jaką jest autokrytyka. Wiersze moje ukazały się

w piśmie *La Donna*, biedzie intelektualnym. Ale to nic! Pisałem także w *Numerze*, dzienniku turyńskim, tak zwanym humorystycznym. I, co gorzej, byłem do tego stopnia nieświadomy swego czynu, że podpisywałem swoje utwory. Jest to smutne przyzwyczajenie z czasów dzieciństwa.

W Turynie mówiłem zawsze każdemu to co myślę i stworzyłem sobie mnóstwo wrogów. Zamknęło mi to drzwi dziennikarstwa turyńskiego. Ale znalazł się redaktor nie turyńczyk — Italo Minunni — który mi je otworzył.

Pewien tygodnik mediolański dał gościnę wielu mým grubiaństwom, skierowanym przeciw współrodakom, co powiększyło moją kolekcję nieprzyjaciół. Ogłoszono mnie pederastą, utrzymankiem kobiet i kochankiem własnej siostry (Jakiej?).

Pierwszy zarzut najmniej mnie obraża, gdyż im lepiej poznają kobiety, tym bardziej szanują pederastów.

Udawszy się do Rzymu w celu uczestniczenia w pewnej interesującej mnie komedii, poznałem Tullio Giordana, dziennikarza wulkanicznego, dynamicznego, uformowanego w szkole Gordona Benneta, który wziął mnie ze sobą do redakcji *Epoki* i umożliwił mi w rok zrobienie kariery, jakiej w dziennikarstwie turyńskim nie robi się po latach trzydziestu.

Nie umiem pisać po włosku, bo my, ludzie z północy, musimy uczyć się własnego języka jak języka obcego.

W Paryżu mówię po francusku. Mam chyba doskonały akcent, bo nikt nie poznaje że jestem Włochem. Zdaje się, że mnie biorą za Mołdawo-włocha.

Nie znam się wcale na polityce. Niekiedy czytam artykuł wstępny mego dziennika, aby wiedzieć, co myśli dyrektor, tj. jakie mają być moje szczerze i spontaniczne przekonania polityczne.

Nieczułość na politykę zagraniczną i na politykę we-

wnętrzną jest najlepszą gwarancją mojego sądu. Wyślany jako specjalny korespondent do Jugosławii, nie spostrzegłem, że ci sympatyczni Chorwaci są naszymi nieprzyjaciółmi i pisałem artykuły ukwiecone czułością i braterstwem. W Fiume zapomniałem, że powinienem być od razu być przejęty wybitnie włoskim charakterem tego arcywłoskiego miasta i napisałem artykuł, którego sam tytuł: *Fiume, miasto azjatyckie* był całym programem, który sięgnął na moją głowę klątwę Rady Narodowej miasta Fiume, nieco wymyślań na łamach dzienników rzymskich i wieczną miłość Chorwatów płci obojga.

Wyślany specjalnie do Neapolu na kampanię przedwyborczą, napisałem 24 artykuły, z których nic nie zrozumiałem. Wtedy właśnie zacząłem wierzyć w potęgę podświadomości.

Musiałem również zajmować się sportem, jakkolwiek nie odróżniam konia od piechura ani cyklisty od roweru.

O mało co nie zrujnowałem pewnego tygodnika artykułem o egoizmie starców. Starcy w kraju naszym mają wysokie mniemanie osobiste. Artykuł mój wywołał taki alarm, że wielu przerwało abonament; inni poprzestali na zbiorowych obelgach skierowanych do redaktora i do mnie.

Moje upodobania?

Podobają mi się komedie. Trzeba więcej geniuszu, aby napisać *Zajmij się Amelią* niż *Maskę Brutusa* i *Glauka*.

Nie znoszę literatury opiewającej ludzi bez koszul, którzy grają w karty, wycierają nos palcami, i gdzie kobiety nazywają się „Mama Róża” a mężczyźni „kum Tonio”. Czytam jedynie powieści i nowele, w których ludzie używają jedwabnych koszul a kobiety co dzień się kąpią.

Jestem jaroszem, ale w towarzystwie jem mięso, aby

nie wyglądać na pozera. Ponieważ jednak nie jestem do mięsa przyzwyczajony, jem je również gdy jestem sam, aby się przyzwyczaić.

Nie piję alkoholu. Myślę, że niewielu tylko pije alkohol. Ale piję białe wino i likiery.

Trzymam pióro pomiędzy palcem wskazującym i środkowym, jak wszyscy intelektualni fryzjerzy, ale nie kazałem się jeszcze fotografować przy biurku na tle księgarni, z tęskną różą przed natchnionymi oczami.

Nie posiadam motta na papierze listowym, ale gdybym miał wybrać, kazałbym wydrukować upomnienie Jang-Czu: "Gdybyś miał jednym swoim włosem ocalić świat, nie ucinaj włosa!"

Żadna kobieta nie podcięła sobie żył z mego powodu. Nie mam bajecznego szczęścia do kobiet, gdyż nie wiem, jak z nimi postępować: kiedy je pożadasz, mówią, że jesteś wulgarny jak wszyscy mężczyźni; kiedy ich nie pożadasz, mówią żeś impotent.

Nie zazdrozczę nikomu. Jedyna rzecz, której im zazdrozczę, to siła fizyczna.

Wszystkie kobiety, nawet księżniczki krwi — jak mówi wielki mój przyjaciel Angiolo Paschetta — osiąść można, jeżeli się je opłaci. Jest to kwestia ceny.

Pieniądze się zarabia, albo się je kradnie. Rozgłós osiąga się bluffem.

Siłę jednak trzeba otrzymać w darze od natury jak garb lub kretynizm. Chciałbym być silny, aby dać w pysk 75-ciu na 100 moich bliźnich.

Dostawało się w me ręce wiele dziewic, ale pozwalałem im oddalić się bez rozlewu krwi.

Nie szukałem żony. Nie mam dzieci. Cierpię z tego powodu. Chciałbym, aby jakaś kobieta urodziła mi syna, a potem poszła rodzić na rachunek innych, jeśli chce — ale żeby mnie uwolniła od swojej osoby.

Syna, który miałby dziesięć lat, kiedy byłbym jeszcze na tyle młody, aby móc dać mu wychowanie bez przesądów, nie zepsute nieuchronnym starzeniem się ojca.

Gdy mnie jakiś głupiec lub jakaś panna pytała, czy utleniam sobie włosy, odpowiadałem, że nie.

A wszyscy byli przekonani, że je utleniam.

Obecnie mówię, że je utleniam.

Ale nikt mi nie wierzy.

Nie mam najmniejszego szacunku ani dla mężczyzny, ani dla kobiet.

Kobiety cnotliwe to pojedyncze wypadki, jak oporni i niezdolni do służby wojskowej mężczyźni.

Kobiety, które — będąc same — chodziłyby raczej kilometry, niż wydały dwadzieścia centymów na tramwaj, w towarzystwie mężczyzny wymagają auta do przejechania na drugą stronę ulicy. Wszystkie kobiety sprzedają się; jedna za kawę, druga za kolację, inna za bilet do kina; ta oddaje się za awans dla męża, tamta — aby nakarmić syna, owa dla szlachetnej zemsty, inna znów dla ocalenia honoru rodziny.

Wszyscy mężczyźni to złodzieje, wyjąwszy naszego ojca i człowieka, z którym rozmawiamy. Uczciwość mężczyzn podlega taryfie. Każde sumienie ma swoją taryfę. Jeden popełnia podłość za osiem soldów, inny nie popełniłby jej za milion.

Ale jeżeli mu dać dwa, to się zdecyduje.

Stopień sprzedajności rozmaitych sumień — to jak punkt topienia rozmaitych metali. Każde sumienie ma swój punkt topienia.

Straszliwie gorzki sceptycyzm czyni z Pitigrilli'ego tragicznego humorystę. Jego nowela *Kapelusz na łożku* to dramatyczne rozgoryczenie komizmu.

Bardzo poważnie ujmuję spirytyzm — pisze Pitigrilli — gdyż mogę powiedzieć, że widziałem na własne oczy poruszający się stolik.

Nikt z nas nie był podejrzany. Nikt go nie podnosił.

Poruszyłem go ja.

Bywam na cmentarzach, aby obeznać się z nimi. Chciałbym, aby wszyscy wierzący w nieśmiertelność duszy zbudzili się na pięć minut z wiecznego snu, aby zrozumieć, jak ich nabrano.

Jestem mało towarzyski. Szanuję wielce osoby, których nie znam, przeto staram się nie znać nikogo.

Nie wierzę w przyjaźń.

Główna rzecz — to być przygotowanym na wszystkie brudne kawały.

Śledzę z wielką uwagą literaturę i sztukę humorystyczną, albowiem są to najgłębsze formy sztuki.

Nie trawię powieści pisanych w pierwszej osobie i autobiografii. Nie pojmuję, jak można opowiadać — tak jak ja to czynię tutaj — o swoich przejściach sercowych i zaburzeniach gastrycznych, nie zapytawszy raz przynajmniej siebie: "Co to kogo obchodzi czy jestem chrzczone, czy obrzezany? Diabetykiem czy chorym na nerki? Kawalerem, czy rogakczem?" Lubię ironizować z miłości. Ale nie rozumiem, czemu o miłości, która jest sprawą prostą, naskórkową, gruczołową i poważną, wypisuje się zwykle sprośności i facecje.

Myślę, że już dosyć. Dodam jeszcze, że pożądam trzech rzeczy, których nigdy nie mogłem posiadać.

Mapy globu ziemskiego.

Małpy.

Pałta nieprzemakalnego.

Gdybym, otulony w nieprzemakalny płaszcz angielski, z małpą gibraltarską w objęciach, mógł spędzać długie godziny na wędrówkach po mapie, podróżując w marzeniu poprzez bajeczne morza i fantastyczne lądy, sądzę, że osiągnąłbym szczęśliwość.

Ktoś dotknięty widocznie krótkowzrocznością lub podwójną kataraktą, dopatrywał się w dziele Pitigrilliego, negującym i opornym — niemoralności.

Jeżeli przez niemoralność rozumie się opisy części ciała, które zakryte bywają na ulicy, to jest — jak mówi Pitigrilli — tych organów, do których schronił się brud moralny, nie będąc godny szlachetniejszych części; jeżeli przez niemoralność rozumie się opowiadanie o spazmach żądz i szczegółowe, miniaturowe, akwarelowe opisy przewrotności zmysłów; jeżeli to wszystko uważa się za niemoralność — to podobne oskarżenie nie może nawet musnąć młodego autora, który gardzi takimi środkami, albowiem są one zbyt łatwe i dostępne dla każdego, kto włada piórem.

Kiedy dwie osoby z jego noweli idą razem do łóżka, Pitigrilli mówi: „idą do łóżka” i więcej o tym nie wspomina — chyba, aby powiedzieć, że wstali.

Jeżeli natomiast przez niemoralność rozumie się wyśmiewanie zazdrości, ślepoty wszechwiedzących, przesądów, hipokryzji, kłamstwa, jakim są przesiąknięte akty miłości, rozkoszy i żądz; jeżeli to nazywa się niemoralnością, to Pitigrilli jest bezwątpienia pisarzem nie-

moralnym, gdyż cała jego sztuka ironiczna, drwiąca, negująca jest ustawicznym rzutem uperfumowanego wiotriolu na kłamstwa i przesady.

Jego, szydercze opinie o życiu — owoc szybkich doświadczeń, a przede wszystkim intuicji — przedstawione są w formie humorystycznej, która nie jest „zdrowym humorem”, tylko obrzydliwym „zdrowym humorem” którego się używa, gdy książka jest barwna jak rozkład kolejowy. Humor Pitigrilliego jest perwersyjny i straszliwie napięty.

„Pitigrilliemu zarzucam jedynie, że jest zbyt dowcipny”, pisał Luigi Antonelli.

„Jest to narrator rasowy — pisze Mario Puccini. — Pitigrilli umie opowiadać jak niewielu dzisiaj. I umie bawić”.

„Jest to prawdziwy humorysta, jeden z nielicznych humorystów we Włoszech” — powiada Enrico Seretta.

„Jeżeli wszyscy humorzyści włoscy — mówi znany powieściopisarz francuski Pierre Mac Orlan — posiadają moc komizmu i ironii Pitigrillie’ego kto śmie mówić o dowcipie paryskim jako o naszej specjalności?”

Paweł Reboux oznajmia, że opowiadania Pitigrilliego są „koncentracją filozofii okrutnej, wyłożonej w uśmiechniętej formie”.

„Gorzki humor Pitigrilliego — oświadcza Aleksander Varaldo — jest jedną z rzeczy, które mi ułatwiają życie. Czytam jego nowele z żywą przyjemnością, choć nie zgadzam się niekiedy z jego poglądami. Czytam jednak, gdyż Pitigrilli jest jednym z niezmiernie rzadkich pisarzy włoskich, którzy nie nudzą biednego, pełnego dobrej woli czytelnika”.

Podług Salvatora Gotta, Pitigrilli jest „prawdziwym humorystą, zajmującym i głębokim: posiada on pierwszorzędną wrażliwość i zupełnie swoistą technikę”.

Nieprzyjaciel konwencjonalizmu moralnego i literackiego, Pitigrilli odgania się od komunałów myśli i formy. Jego proza jest żywa, syntetyczna, zwięzła; ucieka on od opisów, którymi zapchana jest literatura, od opisów zmierzchów ognistych, wiosek szmaragdowych, południa słonecznego i nieba usianego gwiazdami. Nie używa porównań, epitetów uprawianych przez większość pisarzy i publiczności.

Jego opisy są rzeczywiście *jego*.

„Kobieta zwinna jak spacerowa laseczka”.

„Jej ciało wyglądało z koszuli, białe i nagie, jak banan ze swej łupiny.

Sędzia jest „szeroki, mały, okrągły jak wazon chiński, żółty jak telegram i brzydki jak cnota”.

Panna z prowincji: „niestrawna jak łosoś na zimno, o przechowywanym w lodowni dziewictwie; uprzejmie prowadzi dzieci, aby zrobiły siusiu, lubi poezje Fusinata, gramofony, książki do nabożeństwa oprawne w masę perłową — nosi pończochy domowej roboty i buciki podobne do futerału skrzypiec. Przeczytała już dziewięć razy „Chatę Wuja Toma” — a za dziesiątym razem płacze jak za pierwszym. Wysoka, długa, chuda jak cygaro Virginia, ma włosy jasnoblond, tak jasnoblond, że budzi to chęć ciśnięcia jej w głowę pełnego kałamarza”.

Krytycy mogą wylać dużo gryzącego atramentu na dzieła Pitigrilli'ego, gdyż trzeba przyznać, że ten negujący humorysta może wyrządzić niejaką krzywdę, zrywając złudzenia o uczciwości mężczyzn i o czystości kobiet. Jednakże krytycy nie mogą mu odmówić wielkiej oryginalności.

nalności myśli i formy, i nie mogą oskarżać go o pornografię.

„Nie cofam się przed słowem „spótkowanie” — pisze Pitigrilli — po prostu dlatego, że nie przypisuję funkcji fizjologicznej, którą słowo to oznacza, znaczenia większego niż krążeniu krwi, wydzielinom, jedzeniu, trawieniu lub spaniu. Pojęcie spótkowania wytworzyło całą moralność, religię, literaturę. Otóż nie jestem zdania, że akt ten zasługuje na tyle uwagi. Nie można mnie pomawiać o pornografię, gdyż nie będę się nigdy lubował w wyszukany i dokładnym opisywaniu tej nic nie znaczącej funkcji lub organów, które jej dopełniają”.

A.G.